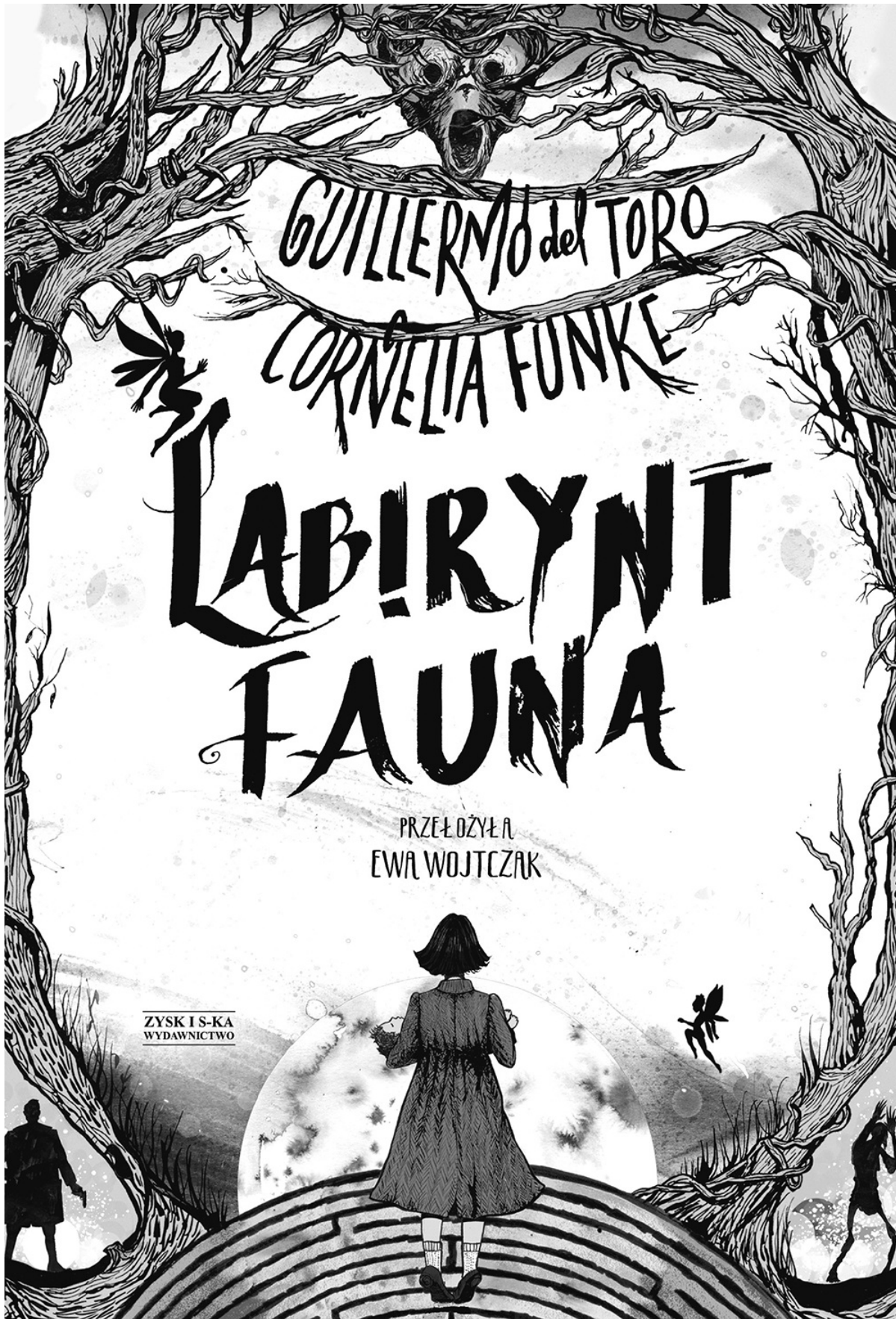




GUILLERMO del TORO
CORNELIA FUNKE

LABIRYNT
FAUNA



GUILLERMO del TORO

CORNELIA FUNKE

LABIRYNT FAUNA

PRZEŁOŻYŁA
EWA WOJTCZAK

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Cornelia Funke, Guillermo del Toro
Labirynt fauna

Tytuł oryginału
Pan's Labyrinth: The Labyrinth of the Faun

ISBN

Text Copyright © Guillermo del Toro and Cornelia Funke 2018

All rights reserved

Copyright © 2019 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Ilustracja na okładce
Sarah I. Coleman/Inkymole

Ilustracje wewnątrz książki
Allen Williams
Copyright © 2018 Necropia, Inc.

Redaktor prowadzący
Dariusz Wojtczak

Redaktor
Marta Stołowska

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 2519, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione. Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

1 – Las i wróżka

2 – Wszystkie kształty, jakie przyjmuje zło

3 – Po prostu myszka

4 – Róża na ciemnej górze

5 – Ojcowie i synowie

6 – Do labiryntu

7 – Zęby brzytwy

8 – Księżniczka

9 – Mleko i lekarstwo

10 – Drzewo

11 – Stworzenia lasu

12 – Ropucha

13 – Żona krawca

14 – Trzymaj klucz

15 – Krew

16 – Kołysanka

17 – Brat i siostra

18 – Drugie zadanie

19 – Jaskinia w lesie

20 – Błady Mężczyzna

21 – Nie ma wyboru

22 – Królestwa śmierci i miłości

23 – Jedyne sposoby na honorową śmierć

24 – Złe wieści, dobre wieści

25 – Tarta
26 – Tylko dwa winogrona
27 – Złamany
28 – Magia nie istnieje
29 – Człowiek innego typu
30 – Nie skrzywdź jej
31 – Kocur i myszka
32 – To nic
33 – Tylko kobieta
34 – Ostatnia szansa
35 – Ranny wilk
36 – Siostra i brat
37 – Ostatnie zadanie
38 – Imię jego ojca
39 – Powrót księżniczki
Epilog – Małe ślady
Nota autorska

Przypisy

Dla Alfonsa Fuentesesa i jego ludzi, którzy ocalili mój dom, moje drzewa, moje osiołki,
moje wspomnienia i moje notatki przed pożarem Woolsey Fire.

— C.F.

Dla K

za rozwiązanie wszystkich zagadek, za pokazanie drogi wyjścia z labiryntu.

— G.D.T.

Prolog

* * *

Mówi się, że dawno, dawno temu w Podziemnym Królestwie, gdzie nie ma ani kłamstwa, ani cierpienia, mieszkała pewna księżniczka, która marzyła o świecie ludzi. Księżniczka Moanna śniła o idealnie błękitnym niebie i nieskończonym morzu chmur, o słońcu i o trawie, i o smaku deszczu... Dlatego pewnego dnia uciekła swoim strażnikom i wkroczyła do naszego świata. Wkrótce potem słońce wymazało wszystkie jej wspomnienia i zapomniała, kim jest i skąd pochodzi. Wędrowała po ziemi, doświadczając zimna, chorób i bólu. Aż w końcu umarła.

Jej ojciec, król, nigdy się nie poddał, nigdy nie przestał jej szukać. Wiedział bowiem, że dusza Moanny pozostała nieśmiertelna, i miał nadzieję, że pewnego dnia córka do niego wróci.

W innym ciele, w innym czasie. Być może w innym miejscu.

A on będzie na nią czekał.

Aż do ostatniego tchu.

Aż do końca czasu.

1 – Las i wróżka

* * *

Niegdyś północ Hiszpanii porastał las tak stary, że mógłby opowiedzieć dawno minione i zapomniane przez ludzi historie. Tamtejsze drzewa wbijały się tak głęboko w pokrytą mchem glebę, że oplatały korzeniami kości zmarłych, koronami zaś sięgały gwiazd.

„Tak wiele rzeczy utraconych” — mruzczały liście, kiedy trzy czarne samochody przejeżdżały gruntową drogą wśród paproci i mchów.

„Ale wszystkie rzeczy, które zaginęły, można ponownie odnaleźć” — szeptały drzewa.

Był rok 1944 i dziewczynka, siedząca w jednym z samochodów, obok ciężarnej matki, nie rozumiała, co drzewa szepczą. Miała na imię Ofelia i choć ukończyła dopiero trzynaście lat, wiedziała wszystko o bólu utraty. Ojciec dziewczynki zmarł przed rokiem i Ofelii brakowało go tak bardzo, że czasami własne serce wydawało jej się pustym, niewypełnionym niczym poza echem jej bólu, pudełkiem. Często się zastanawiała, czy matka czuje to samo, ale w jej bladej twarzy nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie.

— „Biała jak śnieg, czerwona jak krew, czarna jak węgiel” — mawiał, patrząc na żonę, ojciec dziewczynki pełnym czułości głosem. — Tak bardzo ją przypominasz, Ofelio.

Utracone.

Jechały przez wiele godzin, oddalając się od świata, który znała, coraz głębiej i głębiej w ten niekończący się las, na spotkanie z człowiekiem, którego matka wybrała na jej nowego ojca. Ofelia nazywała go Wilkiem i w ogóle nie chciała o nim myśleć. Ale nawet drzewa zdawały się szeptać jego imię.

Jedyną pamiątką z domu, jaką mogła ze sobą zabrać, były niektóre książki. Zacisnęła mocno palce wokół tej, która leżała teraz na jej kolanach, i pogładziła

okładkę. Kiedy otworzyła książkę, białe stronice jasno błysnęły na tle wypełniającej las ciemności, a słowa, które się tam znajdowały, dawały poczucie bezpieczeństwa i pociechę. Litery były jak ślady stóp na śniegu, w bezmiernym białym krajobrazie nietkniętym przez ból i wspomnienia zbyt mroczne, by je zachować, zbyt słodkie, by je porzucić.

— Po co wzięłaś te wszystkie książki, Ofelio? Będziemy mieszkać na wsi! — Jazda samochodem sprawiła, że twarz matki zbladła jeszcze bardziej. Innym powodem bladości było dziecko, które nosiła w łonie. Matka wyrwała z rąk Ofelii książkę i wszystkie przynoszące ukojenie słowa zamilkły. — Jesteś za duża na bajki, Ofelio! Musisz zacząć patrzeć realnie na świat!

Jej głos brzmiał jak pęknięty dzwon. Za życia ojca matka nigdy tak nie mówiła.

— Och, spóźnimy się! — Westchnęła, przyciskając chusteczkę do ust. — To mu się nie spodoba.

Jemu...

Matka jęknęła, a Ofelia pochyliła się i złapała kierowcę za ramię.

— Stój! — zawołała. — Zatrzymaj samochód. Nie widzisz, że moja mama jest chora?

Rozległo się stęknienie wyłączzonego przez kierowcę silnika. Wilki — tym właśnie byli oni wszyscy, żołnierze, którzy towarzyszyli im w drodze. Wilki, które pożerają ludzi. Matka powtarzała często, że baśnie nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, ale Ofelia wiedziała lepiej. To przecież baśnie nauczyły ją wszystkiego o świecie.

Wysiadła z samochodu, podczas gdy matka, potykając się, dobrnęła do pobocza drogi i zwymiotowała w paprocie. Rosły wśród drzew tak gęsto, że przypominały ocean pierzastych liści, z którego pnie o szarej korze wyłaniały się jak żywe istoty sięgające w górę z zatopionego poniżej świata.

Pozostałe dwa samochody również się zatrzymały i las zaroił się od szarych mundurów. Drzewa ich nie lubiły. Ofelia to wyczuwała. Serrano, dowódca, przyszedł sprawdzić, co z matką. Był wysokim, masywnym mężczyzną, który mówił zbyt głośno, a mundur nosił jak kostium teatralny.

Matka poprosiła go o wodę, a Ofelia nieco się oddaliła, spacerując nieutwardzoną drogą.

„Woda — szeptały drzewa. — Ziemia. Słońce”.

Liście paproci muskały sukienkę Ofelii niczym zielone palce, a kiedy dziewczynka weszła nagle na jakiś kamień, spuściła wzrok. Kamień był szary jak mundury żołnierzy. Leżał na środku drogi, jakby ktoś go tam zgubił. Usłyszała, że matka znów wymiotuje. Dlaczego kobiety, sprowadzając na świat dzieci, tak chorują?

Ofelia pochyliła się i zacisnęła palce na kamieniu. Czas pokrył go mchem, ale gdy cała starła, zobaczyła, że kamyk jest płaski i gładki i że wydrążono w nim oko.

Ludzkie oko.

Rozejrzała się.

Dostrzegła jedynie trzy kruszejące kamienne kolumny, niemal niewidoczne pośród wysokich paproci. Szara skała, z której je wyrzeźbiono, była pokryta dziwnymi koncentrycznymi wzorami, a środkowa kolumna miała sędziwe kamienne lico wpatrujące się w głąb lasu. Ofelia nie mogła się powstrzymać. Zeszła ze ścieżki i zbliżyła się do posągu, chociaż zaledwie po kilku krokach buty miała już mokre od rosy, a do jej sukienki przylgnęły osty.

Twarz nie miała jednego oka. Dokładnie jak w układance, której brakuje kawałka i która czeka na ukończenie.

Ofelia mocniej ścisnęła kamień z okiem i podeszła bliżej.

Poniżej wyrzeźbionego liniami prostymi w szarej powierzchni nosa, w rozwartych ustach widać było zniszczone przez upływ czasu zęby. Dziewczynka aż się cofnęła, kiedy poruszyło się w nich skrzydlate, cienkie jak gałązka stworzonko, które później wycelowało w nią długimi, drżącymi czułkami. Z kamiennych ust wysunęły się owadzie nogi i stworzenie, większe niż ręka Ofelii, pospiesznie wspięło się po kolumnie. Kiedy dotarło na wierzchołek, podniosło patykowate przednie kończyny i zaczęło gestykulować w kierunku dziewczynki. Ten widok wywołał uśmiech na twarzy Ofelii. A miała wrażenie, że od jej ostatniego uśmiechu minęło sporo czasu. Jej usta zdążyły się odzwyczaić.

— Kim jesteś? — zapytała szeptem.

Stworzenie jeszcze raz zamachało przednimi nogami i wydało z siebie kilka melodyjnych dźwięków przywodzących na myśl klekotanie. Może to świerszcz? Czy świerszcze tak wyglądają? A może to ważka? Ofelia nie była pewna. Wychowała się

w mieście, wśród murów zbudowanych z kamieni, które nie miały ani oczu, ani twarzy. Ani otwartych ust.

— Ofelio!

Stworzenie rozłożyło skrzydła. Kiedy odlatywało, Ofelia podążyła za nim wzrokiem.

Matka stała na drodze, ledwie kilka kroków dalej, towarzyszył jej oficer Serrano.

— Popatrz na swoje buty! — zbesztła córkę z tą cichą rezygnacją, która ostatnio tak często pojawiała się w jej głosie.

Ofelia spojrzała w dół — jej przemoczone buty pokryte były błotem. Nadal jednak się uśmiechała.

— Chyba widziałam wróżkę! — powiedziała.

Tak. Tym właśnie była ta istota. Ofelia była tego pewna.

Ale matka nie chciała słuchać. Matka Ofelii nazywała się Carmen Cardoso, miała trzydzieści dwa lata, zdążyła już owdowieć i nie pamiętała, jak to jest patrzeć na coś nieznanego bez lekceważenia i obawy. Znała jedynie świat, w którym to, co było dla niej najważniejsze, odebrano jej i zniszczono. Kochała córkę, bardzo ją kochała, a jednak wyszła ponownie za mąż. Światem rządzą mężczyźni (córka jeszcze tego nie rozumiała) i tylko mężczyzna mógł im obu zapewnić bezpieczeństwo. Matka Ofelii nie zdawała sobie jednak sprawy, że ona także wierzy w bajki.

Carmen Cardoso wierzyła bowiem w najbardziej niebezpieczną ze wszystkich baśni: tę o księciu, który przybędzie i ją uratuje.

Skrzydlate stworzenie, czekające na Ofelię w otwartych ustach kolumny, wiedziało o tym wszystko. Wiedziało wiele rzeczy, ale nie było wróżką — przynajmniej nie w tym sensie, w jakim lubimy o nich myśleć. Prawdziwe imię stworzenia znał tylko jego pan, ponieważ w magicznym królestwie ten, kto znał czyjeś imię, stawał się właścicielem noszącej je istoty.

Z gałęzi jodły patrzyło, jak Ofelia i jej matka wracają do samochodu i kontynuują podróż. Stworzenie od bardzo dawna czekało na tę dziewczynkę: dziewczynkę, która tak dużo straciła, a będzie musiała poświęcić jeszcze więcej, aby odnaleźć to, co jej się zgodnie z prawem należało. Nie będzie łatwo jej pomóc, ale takie było zadanie

wyznaczone przez pana, który nie tolerował, gdy nie wykonywano jego rozkazów. O nie, na pewno nie.

Samochody z dziewczynką, matką i nienarodzonym dzieckiem jechały głębiej i głębiej w las. A istota, którą Ofelia nazwała wróżką, rozpostarła owadzie skrzydła, złożyła sześć patykowatych nóg i poleciała za karawaną.

2 – Wszystkie kształty, jakie przyjmuje zło

* * *

Zło rzadko od razu nabiera kształtu. Często na początku jest niewiele wyrazistsze od szeptu. Jest spojrzeniem. Zdradą. Ale potem rośnie i się zakorzenia, nadal niewidoczne, niezauważone. Tylko baśnie nadają mu właściwy kształt. Wielkie złe wilki, okrutni królowie, demony i diabły...

Ofelia wiedziała, że człowiek, którego będzie wkrótce musiała nazywać ojcem, jest zły. Miał uśmiech cyklopa Ojancanu, a w jego ciemnych oczach czaiło się okrucieństwo potworów Cuegle i Nuberu^[1], stworzeń, o których czytała w książkach. Ale jej matka tak naprawdę nie знаła tego mężczyzny. Ludzie, kiedy dorastają, często tracą umiejętność widzenia i może Carmen Cardoso nie zauważyła wilczego uśmiechu, ponieważ kapitan Vidal był przystojny i zawsze nienagannie ubrany w galowy mundur i oficerki, a do tego nosił rękawiczki.

Matka tak bardzo pragnęła ochrony, że pomyliła jego żądzę krwi z charyzmą, a brutalność wzięła za siłę.

*

Kapitan Vidal popatrzył na swój kieszonkowy zegarek. Szkiełko szpeciła rysa, ale wskazówki na tarczy wciąż pokazywały godzinę, sugerując, że karawana się spóźnia.

— Piętnaście minut — mruknął Vidal, który, jak wszystkie potwory, i tak jak Śmierć, zawsze był punktualny.

*

Gdy w końcu dotarli do starego młyna obranego przez Vidala na kwaterę, tak jak obawiała się Carmen, były spóźnione. Kapitan nienawidził lasu. Nienawidził wszystkiego, co nie przestrzegało właściwego porządku, a drzewa zdawały się aż nazbyt chętnie ukrywać mężczyzn, których przybył tu ścigać. Mężczyzn walczących

z tą samą ciemnością, której on służył i którą podziwiał. Mężczyzn, których przyjechał złamać. Och, tak, nowy ojciec Ofelii uwielbiał łamać kości wszystkim tym, których uważał za słabych, przelewać ich krew i porządkować ich niechlujny, nędzny świat.

Przywitał karawanę. Z uśmiechem.

Ale Ofelia dostrzegła pogardę w jego oczach, gdy witał ich na zakurzonej podwórzu, gdzie kiedyś, dawno temu, chłopcy z okolicznych wiosek dostarczali młynarzowi zboże. Jej matka jednak uśmiechnęła się do Wilka i pozwoliła mu dotknąć ciężowego brzucha. Podała się nawet, kiedy kazał jej usiąść na wózku inwalidzkim, jakby była zepsutą lalką. Ofelia obserwowała to wszystko z tylnego siedzenia samochodu, lekceważąc perspektywę podania Wilkowi ręki, tak jak poleciła jej matka. Ostatecznie jednak, ponieważ nie chciała zostawiać matki samej z tym mężczyzną, wysiadła, przyciskając do piersi swoje książki niczym tarczę wykonaną z papieru i słów.

— Ofelia. — Wilk niemal zmiądzzył w wąskich ustach imię dziewczynki, jak gdyby i ją chciał złamać, po czym zagapił się na jej wyciągniętą lewą dłoń.

— Druga ręka, Ofelio — pouczył ją cicho. — Zapamiętaj to.

Nosił czarne skórzane rękawiczki, które zaskrzypiały, kiedy zamknęły dłoń dziewczynki w uścisku równie mocnym jak pułapka kłusownika. Potem Wilk odwrócił się do Ofelii plecami, jakby już o niej zapomniał.

— Mercedes — przywołał jakąś kobietę, która pomagała żołnierzom w rozładunku samochodów. — Weź ich bagaż!

Mercedes była szczupła i blada. Miała kruczoczarne włosy i ciemne błyszczące oczy. Ofelia pomyślała, że kobieta wygląda jak księżniczka udającą chłopską córkę. A może była czarodziejką, choć Ofelia nie była pewna, jakiego rodzaju czarodziejką, dobrą czy złą.

Mercedes wraz z mężczyznami zaniósł walizki matki do mieszkalnej części młyna. Ofelii przyszło do głowy, że budynek wydaje się zagubiony i smutny, jak gdyby tęsknił za czasami, kiedy mielono w nim świeże ziarno. Teraz jego pomieszczenia opanowali rojący się wokół starych kamiennych murów niczym szarańcza żołnierze. Ich namioty i ciężarówki stały wszędzie, wypełniając rozległe podwórze otoczone przez stajnie, stodoły i sam młyn.

Szare mundury, smutny, stary budynek i wypełniony ciemnością las... Ofelia tak bardzo pragnęła wrócić do domu, że niemal nie mogła oddychać. Ale bez ojca nie było domu. Poczowała łyzy wzbierające pod powiekami, kiedy nagle wśród worków ułożonych kilka metrów dalej zauważyła parę skrzydełek błyszczących w świetle słońca, jakby zostały wykonane z cienkiego jak papier szkła.

To była wróżka.

Zapominając o swoim smutku, Ofelia pobiegła za stworzeniem, które leciało ku drzewom za młynem. Było tak szybkie, że goniąc je, dziewczynka wkrótce potknęła się o własne nogi i upuściła wszystkie książki. Ale kiedy je podniosła i ścierała z okładek brud, ujrzała wróżkę trzymającą się kurczowo kory pobliskiego drzewa. Czekwała na Ofelię.

*

To ona. O, tak. Istota musiała się upewnić, że dziewczynka za nią podąży. Ale, ale. Nie! Dziewczynka znowu się zatrzymała.

*

Ofelia wpatrywała się w ogromny łuk, który pojawił się wśród drzew, obejmując przestrzeń pomiędzy dwiema starymi ścianami. Z łuku patrzył w dół ktoś o rogatym łbie, pustych oczach i otwartych ustach, być może próbując połknąć świat. W jego oczach z kolei wszystko zdawało się znikać: młyn, żołnierze, Wilk, nawet matka Ofelii.

„Wejź!” — wydawały się mówić kruszejące mury.

Ofelia widziała wyblakłe litery wyryte poniżej rzeźbionej głowy, lecz nie znała ich znaczenia.

In consiliis nostris fatum nostrum est — głosili słowa.

„Nasz los jest w naszych rękach”.

Wróżka gdzieś zniknęła, a kiedy Ofelia przechodziła pod łukiem, poczuła na skórze jego zimny cień.

„Odwróć się!” — coś ją ostrzegło.

Ale się nie odwróciła. Czasami dobrze jest słuchać głosów, a czasami nie. Ofelia i tak nie była pewna, czy ma wybór. Stopy same ją niosły. Korytarz, który otworzył się za łukiem, zwęził się po kilku krokach tak, że mogłaby dotknąć ścian po obu stronach, gdyby tylko wyciągnęła ręce. Szła, przesuwając dłońią po kruszejących kamieniach. Mimo upału były takie zimne. Jeszcze kilka kroków i dotarła do zakrętu. Kolejny korytarz otworzył się przed nią, prowadząc w lewo, a potem następny, który wiódł w prawo.

— To jest labirynt.

Tym razem się odwróciła.

Za nią stała Mercedes. Szal na jej ramionach wyglądał jak utkany z wehnianych liści. Jeśli była czarodziejką, to piękną, a nie starą i zasuszoną jak te z księżek Ofelii. Ale dziewczynka wiedziała, że czarodziejki często ukrywają swoje prawdziwe oblicze.

— To tylko kupa starych kamieni — ciągnęła kobieta. — Bardzo starych. Starszych niż młyn. Te mury były tu zawsze, na długo przed powstaniem młyna. Nie powinnaś tu przychodzić. Mogłabyś się zgubić. To się wcześniej zdarzało. Opowiem ci tę historię pewnego dnia, jeśli zechcesz posłuchać...

— Mercedes! Capitán cię potrzebuje! — dał się słyszeć zza młyna szorstki głos jednego z żołnierzy.

— Idę! — odkrzyknęła kobieta.

Uśmiechnęła się do Ofelii. Jej uśmiech był tajemniczy, lecz Ofelia polubiła Mercedes. Bardzo ją polubiła.

— Słyszałaś. Twój ojciec mnie potrzebuje.

Mercedes ruszyła z powrotem w stronę łuku.

— On nie jest moim ojcem! — zawołała za nią dziewczynka. — Nie jest!

Kobieta zwolniła.

Ofelia podbiegła do niej i razem przeszły przez łuk, pozostawiając za sobą zimne kamienie i rogatą twarz o pustych oczach.

— Mój ojciec był krawcem — tłumaczyła Ofelia. — Zginął na wojnie.

W oczach dziewczynki znów zalśniły łzy. Pojawiały się, ilekroć mówiła o ojcu. Nic nie mogła na to poradzić.

— Uszył mi sukienkę oraz bluzkę, którą ma na sobie mama. Szył bardzo piękne ubrania. Piękniejsze, niż noszą księżniczki w moich książkach! Capitán Vidal nie jest moim ojcem!

— Wyraziłaś się jasno — oznajmiła Mercedes łagodnie, obejmując ramiona dziewczynki. — Ale teraz chodź. Zabiorę cię do twojej matki. Na pewno cię szuka.

Jej ramię wydawało się ciepłe. I silne.

— Czyż moja matka nie jest piękna? — spytała Ofelia. — To z powodu dziecka choruje. Ty masz brata?

— Mam — odpowiedziała kobieta. — Zobaczysz, pokochasz swojego braciszka. Bardzo. Nie będziesz umiała się oprzeć.

Po raz kolejny się uśmiechnęła. W jej oczach był smutek. Ofelia go zobaczyła. Najwyraźniej Mercedes również знаła smak utraty.

Siedząca na szczycie kamiennego łuku wróżka przyglądała się im, jak wracały do młyna: kobieta i dziewczynka, wiosna i lato, jedna obok drugiej.

Dziewczynka wróci.

Wróżka była tego pewna.

Wkrótce.

Tak szybko, jak zażyczy sobie tego jej pan.

3 – Po prostu myszka

* * *

Tak, Mercedes miała brata. Pedro był jednym z mężczyzn przebywających w lesie, Maqui, jak sami siebie nazywali, bojownikiem ruchu oporu, ukrywającym się przed tymi samymi żołnierzami, dla których Mercedes gotowała i sprzątała.

Kapitan Vidal i jego oficerowie akurat planowali polowanie na tych ludzi, kiedy Mercedes weszła z chlebem, serem i winem, które Vidal zamówił. Przy stole, na którym rozłożyli mapę, jadał kiedyś posiłki młynarz z rodziną. Teraz ów stół służył jedynie śmierci. Śmierci i strachowi.

Płomienie tańczące w kominku malowały na bielonych ścianach cienie noży i karabinów oraz pochylonych nad mapą twarzy. Mercedes postawiła tacę i zerknęła niedbale na oznakowane stanowiska wojskowe.

— Partyzanci trzymają się lasu, ponieważ trudno ich tam wytropić. — Głos Vidala był równie pozbawiony wyrazu jak jego oblicze. — Te szumowiny znają teren znacznie lepiej niż my. Musimy więc zablokować wszelki dostęp do lasu. Tutaj. I tutaj. — Palec w czarnej rękawiczce opadł na mapę niczym pocisk.

„Zapamiętaj to, Mercedes — pomyślała. — I przekaz bratu, co planują, w przeciwnym razie w ciągu tygodnia będzie martwy”.

— Żywność, leki, wszystko będziemy magazynować. O tutaj. — Wskazał na miejsce, które oznaczało młyn. — Trzeba ich zmusić do zejścia ze wzgórz. A w ten sposób przyjdą do nas.

„Tutaj, Mercedes! Wszystko będą przechowywali tutaj!”

Nie śpieszyła się, rozkładając jedzenie na stole, zadowolona, że jest dla nich całkowicie niewidoczna, tylko służąca, tylko element pokoju, tak jak krzesła czy drewno na opał.

— Utworzymy trzy nowe stanowiska dowodzenia. Tutaj, tutaj i tutaj.

Vidal umieścił na mapie brązowe znaczniki. Mercedes nie odrywała oczu od jego palców w rękawiczkach.

Tym właśnie była: oczami i uszami królików, na które polowali, tak cicha i niewidzialna jak myszka.

— Mercedes!

Straciła oddech, gdy dłoń w czarnej rękawiczce chwyciła ją za ramię.

Vidal patrzył na nią zwężonymi z podejrzliwości oczami.

„Zawsze jest podejrzliwy” — pomyślała uspokajająco, starając się zapanować nad kołującym sercem. Kapitan lubił obserwować, jak pod wpływem jego spojrzenia na czyjeś twarzy pojawia się strach, lecz ona grała w tę grę na tyle często, że jej oblicze niczego nie ujawniało. Tylko myszka. Niewidoczna. Miałaby problem, gdyby Vidal kiedykolwiek zaczął ją uważać za kotkę czy lisicę.

— Każ zejść doktorowi Ferreiro.

— Tak, *señor*.

Pochyliła głowę, próbując wyglądać na mniejszą. Większość mężczyzn nie lubiła wysokich kobiet. Vidal nie był wyjątkiem.

Trzy stanowiska dowodzenia. A jedzenie i leki będą składowane w młynie.

Teraz to wszystko się przyda.

4 – Róża na ciemnej górze

* * *

Doktor Ferreiro był dobrym człowiekiem, wrażliwą duszą. Ofelia wiedziała już o tym w momencie, gdy wszedł do pokoju matki. Dobroć można dostrzec tak wyraźnie jak okrucieństwo. Emanuje światłem i ciepłem, a lekarz był wypełniony jednym i drugim.

— To pomoże pani zasnąć — powiedział matce, dodając dwie krople bursztynowego płynu do szklanki z wodą.

Wcześniej, kiedy poradził jej, żeby pozostała w łóżku przez kilka dni, matka nie spierała się z nim. To było ogromne drewniane łóżko, wystarczająco duże, by zmieściła się tam wraz z córką. Odkąd przyjechały do tej nieszczęsnej krainy, Carmen nie czuła się dobrze. Czoło miała mokre od potu, a na jej pięknej twarzy ból wyłobił zmarszczki. Ofelia martwiła się, jednak pocieszał ją widok spokojnych rąk lekarza przygotowującego miksturę.

— Tylko dwie krople — podkreślił, wręczając dziewczynce małą brązową buteleczkę, żeby ją zamknęła. — Zobaczysz, to pomoże.

Matka o mało się nie zadławiła, przełykając wodę.

— Musi pani wypić wszystko — nalegał doktor Ferreiro cicho. — Bardzo dobrze.

Jego głos był tak ciepły jak koce na łóżku i Ofelia zastanowiła się, dlaczego matka nie zakochała się w takim mężczyźnie jak on. Lekarz przypominał trochę jej zmarłego ojca. Tylko troszeczkę.

Dziewczynka akurat usiadła na brzegu łóżka, kiedy do pokoju weszła Mercedes.

— On chce pana widzieć — oświadczyła doktorowi.

„On!” Nikt nie wymawiał jego nazwiska. Vidal. Brzmiało jak kamień wyrzucony przez okno, a każda litera miała w sobie kawałek rozbitego szkła. Capitán. Tak nazywała go tu większość osób. Ale Ofelia nadal uważała, że znacznie lepiej pasuje do niego określenie Wilk.

— Proszę bez wahania wzywać mnie o każdej porze — powiedział lekarz do matki, kiedy zamknął torbę. — W dzień czy w nocy. Pani lub pani młodziutka opiekunka — dodał, uśmiechając się do dziewczynki.

Potem wyszedł wraz z Mercedes, a Ofelia po raz pierwszy została sama z matką w tym starym domu pachnącym chłodnymi zimami i smutkiem ludzi z ubiegłych wieków. Lubiła być sama z matką. Zawsze to lubiła, ale potem zjawił się Wilk.

Matka przyciągnęła ją do siebie.

— Moja młodziutka opiekunka. — Wsunęła rękę pod ramię córki ze zmęczonym, lecz szczęśliwym uśmiechem. — Zamknij drzwi i zgaś światło, cariño.

Nawet u boku matki Ofelię przerażała perspektywa spania w tym dziwnym pokoju, lecz zastosowała się do polecenia. Gdy podnosiła rękę do zasuw drzwi, zobaczyła stojących na podeście lekarza i Mercedes. Nie widzieli jej, a ona nie chciała podsłuchiwać, ale nie mogła się powstrzymać. Słuchanie... przecież z tego właśnie składa się dzieciństwo. Poznawanie sekretów dorosłych oznacza naukę zrozumienia ich świata i naukę przetrwania w tym świecie.

— Musi pan nam pomóc, doktorze! — szeptała kobieta. — Niech pan pójdzie ze mną i go opatrzy. Rana się nie goi. Noga wygląda coraz gorzej.

— To wszystko, co udało mi się zdobyć — odrzekł lekarz cicho, wręczając Mercedes małą paczuszkę zawiniętą w brązowy papier. — Przykro mi.

Kobieta wzięła paczkę, ale rozpacz na jej twarzy przeraziła Ofelię. Mercedes wydawała się taka silna. Ofelia miała nadzieję, że to właśnie ona ją ochroni w tym domu wypełnionym samotnością i duchami przeszłości.

— Capitán czeka na pana w swoim gabinecie. — Mercedes wyprostowała się i nie patrzyła za doktorem Ferreiro, gdy schodził po schodach. Jego kroki były ciężkie, jakby czuł się winny, oddalając się od tej zrozpaczonej twarzy.

Ofelia nie była w stanie się ruszyć.

Sekrety. Dodają mroku znajomemu świata, lecz równocześnie sprawiają, że chcemy się dowiedzieć więcej i więcej...

Wciąż jeszcze stała w otwartych drzwiach, kiedy Mercedes się odwróciła. Na widok dziewczynki jej oczy rozszerzyły się ze strachu, po czym pospiesznie schowała

paczuszkę pod szalem, a wtedy stopy wreszcie posłuchały Ofelię, więc się cofnęła i zamknęła drzwi, pragnąc, aby Mercedes po prostu zapomniała, że ją widziała.

— Ofelio! Chodź tu! — zawołała z łóżka matka.

Przynajmniej ogień dawał trochę światła w tym ciemnym pokoju, ogień i dwie migoczące świece ustawione na gzymsie kominka. Dziewczynka wślizgnęła się do łóżka i przytuliła do matki.

Tylko one dwie. Dlaczego to nie wystarczyło? Ale jej braciszek już kopał w brzuchu matki. A jeśli będzie podobny do swego ojca, co wtedy?

„Idź stąd! — pomyślała Ofelia. — Daj nam spokój. Nie potrzebujemy cię. Bo ona ma mnie i ja o nią zadbam”.

— Na Boga, twoje stopy... — powiedziała matka — ...są lodowate!

Ciało matki było takie ciepłe. Może nieco zbyt ciepłe, ale lekarz nie wydawał się szczególnie zaniepokojony gorączką.

Wokół nich młyn jęczał i skrzypiał. Nie chciał ich. Chciał powrotu młynarza. A może pragnął być sam na sam z lasem, którego korzenie mogłyby rozerwać ściany budynku, a liście pokryć jego dach, aż składające się nań kamienie i belki stałyby się ponownie częścią tego lasu.

— Boisz się? — szepnęła matka.

— Trochę — odpowiedziała szeptem Ofelia.

Kolejny jęk podniósł się ze starych ścian, a belki nad nimi westchnęły, jakby ktoś je przechylał. Dziewczynka mocniej przyłgnęła do matki. Matka pocałowała ją w głowę pokrytą włosami równie czarnymi jak jej własne.

— To nic, cariño. To nic, to tylko wiatr. Noce są tutaj zupełnie inne. W mieście słyhać samochody, tramwaje. Tu domy są znacznie starsze. Skrzypią...

Tak było. Tym razem obie słuchały.

— Brzmi, jakby ściany mówiły, prawda? — Matka nie trzymała w ten sposób Ofelii, odkąd się dowiedziała, że jest w ciąży. — Jutro. Jutro dam ci prezent. To niespodzianka.

— Niespodzianka? — Dziewczynka spojrzała na bladą twarz matki.

— Tak.

Czuła się taka bezpieczna w jej ramionach. Po raz pierwszy, odkąd... od kiedy?

Odkąd zmarł ojciec.

Odkąd matka spotkała Wilka.

— Czy to książka? — spytała. Ojciec często dawał jej książki. Czasem nawet szył obwoluty.

„Płótno, Ofelio — tłumaczył. — Dla ochrony oprawy. W dzisiejszych czasach książki oprawia się w bardzo tani materiał. Tak jest lepiej”.

Ofelii strasznie brakowało ojca. Czasami miała wrażenie, że jej serce krwawi i rany się nie zagoją, dopóki nie zobaczy go ponownie.

— Książka... — matka zaśmiała się cicho. — Nie! Nie książka! To coś o wiele lepszego.

Ofelia nie wytknęła jej, że dla niej nic nie liczy się bardziej od książek. Matka by tego nie zrozumiała. Dla matki książki nie były schronieniem ani bramą do innego świata.

Matka widziała tylko świat rzeczywisty i to, jak uważała Ofelia, jedynie czasami. Przyziemność stanowiła nieodłączny element smutku Carmen. A książki potrafiły powiedzieć tak wiele o tym świecie i o odległych miejscach, o zwierzętach, roślinach, gwiazdach! Mogły stać się oknami i drzwiami, papierowymi skrzydłami, które pomagały odlecieć. Może matka po prostu zapomniała, jak się lata. A może nigdy się tego nie nauczyła.

Teraz Carmen zamknęła oczy. Przynajmniej we śnie widziała więcej niż tylko otaczającą rzeczywistość, prawda? Ofelia zastanawiała się nad tym, przyciskając policzek do jej piersi. Były tak blisko, że ich ciała niemal stapiały się w jedno, tak jak przed narodzinami Ofelii. Dziewczynka słyszała falę oddechu matki, ciche bicie jej serca uderzającego o żebra tak regularnie jak metronom.

— Dlaczego wyszłaś za męża? — spytała szeptem.

Kiedy te słowa bezwiednie wymknęły się z jej ust, po części miała nadzieję, że matka już śpi. Ale wtedy usłyszała odpowiedź:

— Zbyt długo byłam sama, kochanie — powiedziała matka, wpatrując się w sufit nad nimi. Biała farba była popękana, powała pokryta pajęczynami.

— Ale przecież ja z tobą byłam! — obruszyła się Ofelia. — Nie byłaś sama. Zawsze ci towarzyszyłam!

Matka nadal patrzyła w sufit i nagle wydała się Ofelii taka odległa.

— Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza. Mnie również nie było łatwo, kiedy twój ojciec...

Zrobiła gwałtowny wdech i przycisnęła dłoń do wydatnego brzucha.

— Twój brat znowu jest niegrzeczny.

Ręka matki zdawała się taka gorąca, kiedy Ofelia przykryła ją własną dłonią. Tak, ona także czuła ruchy brata. I nie, nie chciał odejść. Chciał wyjść na zewnątrz.

— Opowiedz mu jedną ze swoich historii — wykrztusiła matka. — Jestem pewna, że to go uspokoi.

Dziewczynka nie miała ochoty dzielić się z nim swoimi opowieściami, ale w końcu usiadła prosto. Pod białymi prześcieradłami ciało matki wyglądało jak góra pokryta śniegiem; brat spał w najgłębszej jaskini tej góry. Ofelia położyła głowę na „pagórku” w kocu i gładziła brzuch w miejscu, w którym pod skórą matki poruszał się jej brat.

— Bracie! — szepnęła. — Bracie mój.

Matka nie nadała mu jeszcze imienia. Będzie go potrzebował, gdy zdecyduje się przyjść na ten świat.

— Dawno, dawno temu... w dalekim, smutnym kraju... — Dziewczynka mówiła cichym, niskim głosem, ale była pewna, że chłopczyk ją słyszy. — ...Była sobie ogromna góra z czarnego krzemienia...

*

Za młynem, w lesie tak ciemnym i milczącym jak noc, istota nazywana przez Ofelię wrózką rozpostarła skrzydła i podążyła za dźwiękiem głosu dziewczynki, której słowa budowały przez ciemność ścieżkę z okruszków chleba.

— A na szczycie tej góry — kontynuowała Ofelia — wraz z każdym świtem rozkwitała magiczna róża. Ludzie mawiali, że ten, kto ją zerwie, stanie się nieśmiertelny. Ale nikt nie ważył się do niej zbliżyć, ponieważ kolce miała wypełnione trucizną...

*

„Och tak, istnieje wiele takich róż jak ta” — pomyślała wróżka, lecąc w stronę okna, za którym dziewczynka snuła swoją opowieść. Kiedy wślizgnęła się do pokoju, trzepocząc skrzydełkami tak cicho, jak cicho brzmiał głos Ofelii, zobaczyła je: dziewczynkę i jej matkę, objęte mocno na przekór panującym na zewnątrz ciemnościom. Ale ciemność wewnątrz domu była o wiele bardziej przerażająca, a dziewczynka wiedziała, że tę ciemność karmi człowiek, który je tutaj sprowadził.

— Ludzie rozmawiali o wielkim bólu, jaki może spowodować dotyk kolców róży — szepnęła Ofelia do nienarodzonego brata. — Ostrzegali się nawzajem, że ten, kto wejdzie na górę, umrze. Tak łatwo było im wierzyć w ból i kolce. Strach pomagał im w to wierzyć. Nie ośmielili się mieć nadziei, że na końcu róża nagrodzi ich życiem wiecznym. Nie mogli mieć tej nadziei... nie potrafili. I tak róża wędła noc po nocy, nie mogąc przekazać nikomu swojego daru...

*

Wróżka usiadła na okiennym parapecie i słuchała. Cieszyła się, że dziewczynka wie o kolcach, ponieważ ona i jej matka przybyły na bardzo ciemną górę. Mężczyzna, który tą górą rządził — och, tak, wróżka wiedziała o nim wszystko — siedział teraz na dole w swoim gabinecie, pokoju za kołem młyńskim, i polerował kieszonkowy zegarek swego ojca, innego ojca, który zginął podczas innej wojny.

*

— Aż w końcu zapomniano o róży — ciągnęła Ofelia, przyciskając policzek do brzucha matki. — Pozostała na szczycie tej zimnej, ciemnej góry, na zawsze sama, aż do końca świata.

Nie wiedziała tego, ale opowiadała bratu o jego ojcu.

5 – Ojcowie i synowie

* * *

C o noc Vidal czyścił kieszonkowy zegarek ojca i były to jedyne chwile, gdy zdejmował rękawiczki. Pokój, który zmienił w swój gabinet, mieścił się tuż za ogromnym kołem, gdzie kiedyś młynarz mielił otrzymane ziarno. Masywne szprychy koła zajmowały większą część tylnej ściany i czasami dawały mężczyźnie poczucie, że żyje wewnątrz zegara, co było dziwnie pocieszające. Vidal polerował bogato grawerowaną srebrną obudowę i ścierał kurz z zębatych kółek tak czule, jakby zajmował się żywą istotą.

Czasami drogie nam przedmioty pokazują, kim jesteśmy, nawet bardziej niż ludzie, których kochamy. Szkiełko zegarka popękało w dłoni ojca Vidala dokładnie w chwili, gdy mężczyzna umarł, co jego syn uznał za dowód, że wszystko może przetrwać śmierć, jeśli tylko dba się o czystość i idealny porządek.

Ojciec Vidala był bohaterem. Kapitan dorastał z tą myślą. Wokół tej myśli stworzył siebie. Prawdziwego mężczyznę. I ta myśl prawie zawsze przypominała o dniu, kiedy wraz z ojcem odwiedził klify Villanueva. Nieregularny morski krajobraz na horyzoncie, ostre, poszarpane skały poniżej; trzydziestometrowe urwisko. Ojciec delikatnie podprowadził go do krawędzi i tam przytrzymał. Gdy syn usiłował się cofnąć, chwycił go jeszcze mocniej, zmuszając do spojrzenia w otchłań. „Czujesz ten strach? — pytał. — Nigdy nie wolno ci go zapomnieć. To właśnie musisz odczuwać za każdym razem, kiedy słabniesz... kiedy próbujesz nie myśleć, że twoje życie to służba ojczyźnie na posterunku. Kiedy masz do wyboru honor albo śmierć. Jeśli zdradzisz swój kraj, swoje nazwisko lub swoje dziedzictwo, będzie tak, jakbyś zrobił krok do przodu i skoczył. Otchłań pozostaje dla ciebie niewidoczna, ale nie jest przez to mniej realna. Nigdy o tym nie zapomnij, mój synu...”

Rozległo się pukanie do drzwi i Vidal otrząsnął się ze wspomnień. Odgłos był tak cichy, że natychmiast zdradził osobę, która prosiła o pozwolenie wejścia.

Zmarszczył brwi. Nienawidził, gdy coś lub ktoś przerywał mu conocny rytuał.

— Wejść! — zawołał, nie odwracając uwagi od błyszczących elementów zegarka.

— Capitán.

Kroki doktora Ferreiro były tak ciche i ostrożne jak jego głos. Mężczyzna zatrzymał się w niewielkiej odległości od stołu.

— Jak ona się miewa? — zapytał Vidal.

Trybiki zegarka zaczęły się poruszać w idealnym rytmie, kolejny raz potwierdzając, że dbałość zapewnia wieczne działanie. Nieśmiertelność jest czysta i precyzyjna. I na pewno nie potrzebuje serca. Serce — nieważne, jak ostrożnie traktowane — tak łatwo zaczyna bić nieregularnie, aż w końcu się zatrzymuje.

— Jest bardzo słaba — odparł doktor Ferreiro.

Tak, miękki. Dokładnie taki był ten lekarz. Miękkie ubrania, miękki głos, miękkie oczy. Vidal był pewny, że bez wysiłku potrafiłby go złamać, tak jak umiał złamać kark królikowi.

— Zapewnijmy jej tyle odpoczynku, ile potrzebuje — oznajmił. — Ja będę sypiać tutaj.

To przynajmniej ułatwi sprawę. Vidal był już zmęczony Carmen. Każdą kobietą dość szybko się nudził. Zwykle starały się zbyt do niego zbliżyć. A on sobie tego nie życzył. Stawał się wówczas słaby, podatny na zranienie. Gdy pojawia się miłość, ginie wszelki porządek. Nawet pożądanie mogło dezorientować, no, chyba że ktoś je zaspokajał i ruszał dalej. Kobiety tego nie rozumiały.

— A co z moim synem? — zapytał.

Tylko na tym dziecku mu zależało. Mężczyzna bez syna jest śmiertelnikiem.

Lekarz spojrzał na niego zaskoczony. Zresztą za tymi okularami w srebrnych oprawkach jego oczy zawsze przybierały wyraz zdziwienia. Doktor właśnie otwierał usta, chcąc mu odpowiedzieć, kiedy w progu zjawili się Garces i Serrano.

— Capitán!

Vidal uciszył swoich oficerów machnięciem ręki. Strach na ich twarzach nigdy nie przestawał go cieszyć. Sprawiał nawet, że Vidal zapominał, w jak nędznym miejscu stacjonuje, z dala od miast i pól bitewnych, gdzie tworzyła się historia. Ale tkwiąc w tym brudnym, rojącym się od partyzantów lesie, sprawi, że jego działania będą się

liczyły. Zasjeje strach i śmierć z taką precyzją, że generałowie, którzy go tutaj przysłali, o tym usłyszą. A niektórzy z nich walczyli wszak u boku jego ojca.

— Mój syn! — powtórzył. Zniecierpliwienie w jego głosie ciążyło jak brzytwa. — Jak się czuje?

Ferreiro nadal patrzył na niego zdumiony.

„Czy kiedykolwiek spotkałem takiego człowieka jak ty?” — zdawały się pytać jego oczy.

— W tej chwili — odpowiedział — nie ma powodów do niepokoju.

Vidal sięgnął po papierosa i czapkę.

— Bardzo dobrze — rzucił, odsuwając w tył krzesło. Co oznaczało: „Odejdź”.

Ale doktor wciąż stał przed stołem.

— Pańska żona nie powinna podróżować, capitán. Nie w tak zaawansowanej ciąży. Co za głupiec. Owca nie powinna w ten sposób mówić do wilka.

— Czy to pańska opinia?

— Jako lekarza. Tak, capitán.

Vidal powoli obszedł stół, czapkę od munduru wcisnął sobie pod pachę. Był wyższy od doktora. Oczywiście, że tak. Ferreiro był niskim mężczyzną. Łysiał, a z rzadką bródką wyglądał staro i żałośnie. Vidal lubił mieć podbródek gładko ogolony, ostry jak brzytwa, której w tym celu używał. Do takich ludzi jak doktor czuł jedynie pogardę. Kto chciałby leczyć w świecie, który jest nastawiony wyłącznie na zabijanie?

— Syn — oświadczył spokojnie — powinien urodzić się tam, gdzie jest jego ojciec.

Głupiec. Vidal ruszył do drzwi, a dym z papierosa ciągnął się za nim przez słabo oświetlony pokój. Kapitan nie znosił światła. Lubiał widzieć własną ciemność. Był już prawie przy drzwiach, kiedy Ferreiro po raz kolejny podniósł irytująco delikatny głos:

— Z czego wynika pańska pewność, że dziecko jest płci męskiej, capitán?

Vidal odwrócił się z uśmiechem i popatrzył na lekarza czarnymi jak sadza oczami. Samym wzrokiem umiał sprawić, że ludzie czuli nóż między zębami.

— Powinien pan już iść — powiedział.

Widział, że Ferreiro poczuł ostrze.

Około godziny policyjnej żołnierze na warcie schwyтали dwóch kłusowników z upolowanymi królikami. Vidal był zaskoczony, że Garces postanowił go wezwać, chociaż wszyscy oficerowie wiedzieli, jak nie znosił tego, gdy ktoś go niepokoił o tak późnej porze.

Wyszedł z młyna i spojrzał na niebo, na księżyc w postaci cieniutkiego sierpa.

— O dwudziestej wykryliśmy ruch w sektorze północno-zachodnim — informował go Garces, kiedy przechodzili przez podwórze. — Padły strzały. Sierżant Bayona przeszukał okolicę i schwytał podejrzanych. — Garces zawsze mówił w taki sposób, jakby dyktował komuś wypracowanie.

Jeńcy, jeden stary i drugi znacznie od tamtego młodszy, byli równie bladzi jak ów rachityczny księżyc. Ubrania mieli brudne po pobycie w lesie, a oczy im łzawiły z poczucia winy i strachu.

— Capitán — odezwał się młodszy, gdy Vidal przyglądał się bez słowa kłusownikom — to jest mój ojciec. — Skinął na starszego mężczyznę. — Jest uczciwym człowiekiem.

— Sam to osądzę. — Mimo że Vidala radował strach na twarzy mężczyzny, równocześnie się rozgniewał. — I zdejmij czapkę, gdy stoisz przed oficerem.

Syn zdjął zniszczoną czapkę. Vidal zdał sobie sprawę, dlaczego unikał jego oczu. Brudny wieśniak! Był dumny, można to było usłyszeć w jego głosie, lecz także bystry, więc wiedział, że hardość nie spodoba się jego prześladowcom.

— Znaleźliśmy przy nich broń. — Serrano podał Vidalowi starą strzelbę. — Strzelano z niej.

— Polowaliśmy na króliki! — Tak, młokos był hardy i uparty.

— Czy pozwoliłem ci mówić?

Starzec był tak przerażony, że niemal ugięły się pod nim kolana. Bał się o syna. Jeden z trzymających go żołnierzy zerwał z jego zgarbionych ramion plecak i podał go Vidalowi. Kapitan wyciągnął wydany przez republikański rząd dla wszystkich rolników kieszonkowy almanach. Wyglądał na wielokrotnie czytany. Tylną okładkę zdobiły flaga republiki i hasło, które Vidal odczytał głośno szyderczym tonem:

— „Bez boga, bez kraju, bez pana”. Rozumiem...

— Czerwona propaganda, *capitán!* — Serrano wyglądał na dumnego z siebie

i uspokojonego, że nie przeszkodził swojemu dowódcy wyłącznie z powodu dwóch brudnych chłopów. Może ci dwaj nawet należeli do występujących przeciwko generałowi Franco bojowników ruchu oporu, których oni przybyli ścigać w tym przeklętym lesie.

— To nie jest propaganda! — zaprotestował syn.

— Ciii.

Żołnierze usłyszeli groźbę w wysyczanym ostrzeżeniu dowódcy, ale głupi młody paw był nazbyt gotów chronić swojego ojca. Miłość zabija na wiele sposobów.

— To jest po prostu stary almanach, *capitán!*

Nie, ten chłopak nigdy się nie zamknie.

— Jesteśmy tylko rolnikami — powiedział ojciec, starając się odwrócić uwagę Vidala od syna.

— Mów dalej. — Podobało mu się, że obaj zaczęli błagać o życie.

— Poszedłem do lasu, by zapolować na króliki. Dla moich córek. Obie są chore.

Vidal obwąchał butelkę, którą wyciągnął z plecaka starca. Woda. Trzeba działać spokojnie i metodycznie.

Porządek. Nawet w takich sprawach.

— Króliki... — zadumał się. — Naprawdę?

Wiedział, że syn wpadnie w pułapkę. O tak, Vidal miał swoje sposoby. Generałowie nie powinni marnować jego talentów w tym lesie. Mógł dokonać wielkich rzeczy.

— Capitán, z szacunkiem — wtrącił się syn. — Jeśli mój ojciec mówi, że polował na króliki, to polował na króliki.

Schował dumę pod opuszczonymi powiekami, ale zdradziły go usta.

Spokojnie. Oto jak trzeba działać.

Kapitan wziął butelkę z wodą i uderzył w twarz młodego pawia. Potem wsunął mu potrzaskane szkło w oko. I jeszcze raz, i jeszcze.

„Niech wściekłość znajdzie drogę ujścia lub cię pochłonie”.

Szkło cięło i gruchotało, zmieniając skórę i ciało w krwawą miazgę.

Ojciec krzyczał głośniejszym głosem niż syn, łzy malowały smugi na jego brudnych policzkach.

— Zabiłeś go! Zabiłeś go! Ty morderco!

Vidal strzelił mu w pierś. Pierś, która nie była szeroka. Kule łatwo znalazły serce. Dwie kule, które przeszły przez jego brudne, obdarte ubranie i cienkie jak tektura kości.

Syn wciąż się jeszcze poruszał, ręce miał czerwone od krwi, gdy przyciskał je do ziejącej rany na twarzy. Co za bałagan! Vidal do niego także strzelił. Pod bladym sierpem księżyca.

Las obserwował całe zajście równie milcząco jak żołnierze.

Vidal wytarł dłonie w rękawiczkach o plecak, a następnie wysypał jego zawartość na ziemię. Papiery.

Więcej papierów. I dwa martwe króliki. Podniósł je. Były chudymi małymi stworzeniami, prawie same kości i futro. Może wyszedłby z nich gulasz.

— Następnym razem obszukajcie dokładnie takich gnojków — powiedział do Serrana — zanim zapukacie do moich drzwi.

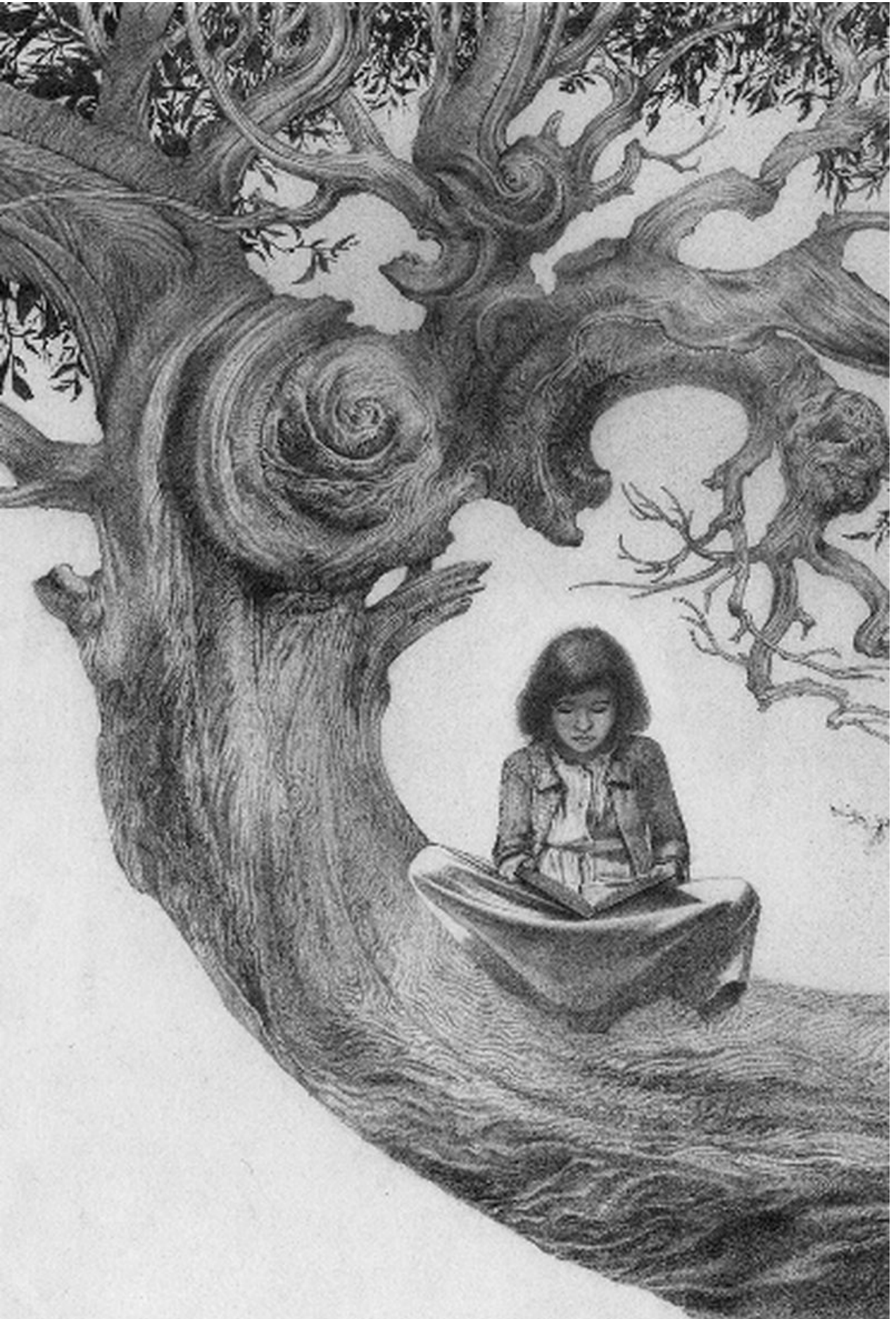
— Tak, capitán.

Jak oni wszyscy sztywno stali.

„Co?” — prowokował ich spojrzeniem. Miał temperament, a co! Tak. Co sobie myśleli teraz, patrząc na dwóch martwych mężczyzn u ich stóp? Że niektórzy z ich ojców i braci też są chłopami? Że oni także kochają swoje córki i synów? Że pewnego dnia kapitan zrobi im to samo?

Może.

„Jesteśmy wszyscy wilkami — chciał im powiedzieć. — Uczcie się ode mnie”.



Obietnica rzeźbiarza

Dawno, dawno temu, żył młody rzeźbiarz o imieniu Cintolo. Służył władcy w królestwie położonym tak głęboko pod ziemią, że nie mogły go znaleźć ani promienie słoneczne, ani blask księżyca. Cintolo wypełniał królewskie ogrody kwiatami wyrzeźbionymi z rubinów i fontannami z malachitów. Popiersia króla i królowej jego autorstwa wyglądały jak żywe, a przechodzący obok nich poddani twierdzili, że słyszą oddechy władców.

Jedyna córka króla i królowej, księżniczka Moanna, uwielbiała obserwować pracę rzeźbiarza, jemu jednak nigdy nie udało się wyrzeźbić postaci Moanny.

— Nie mogę tak długo siedzieć bez ruchu, Cintolo — tłumaczyła. — Jest zbyt dużo do zrobienia i zbyt wiele do zobaczenia.

Pewnego dnia Moanna zniknęła. Wtedy artysta przypomniał sobie, że często pytała go o słońce i księżyc, o to, czy wie, jak wyglądają nad ziemią drzewa, których splecione korzenie tworzyły sufit jej sypialni.

Król i królowa byli tak zrozpaczeni, że w Podziemnym Królestwie rozbrzmiewały echem ich westchnienia, a królewskie łzy pokrywały kwiaty rzeźbiarza jak rosa. Faun, który doradzał im w sprawach dotyczących wszystkich istot zamieszkujących podziemną krainę, rozesłał swoich posłańców: nietoperze i wróżki, króliki i kruki, polecając im sprowadzić Moannę z powrotem, lecz żadne oczy nie zdołały jej wypatrzeć.

Księżniczki nie było już od trzystu trzydziestu lat, kiedy pewnej nocy faun wszedł do warsztatu Cintola, gdzie rzeźbiarz zasnął pośród swoich narzędzi. Mężczyzna pragnął bowiem pocieszyć Ich Wysokości, usiłując wyciosać oblicze Moanny z pięknego kamienia księżycowego, ale chociaż bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć twarzy księżniczki.

— Mam dla ciebie zadanie, Cintolo — obwieścił faun — i nie wolno ci mnie zawieść. Chcę licznych rzeźb króla i królowej, tak licznych jak młode liście paproci. Niech wyrosną z gleby w Górnym Królestwie. Potrafisz takie wykonać?

Cintolo nie był pewny, ale nikt nigdy nie ośmielał się odmawiać faunowi, ponieważ był znany z gniewu i potężnego wpływu na króla. Rzeźbiarz zabrał się zatem do pracy. Rok później z ziemi Górnego Królestwa wyrosły setki kamiennych kolumn, które nosiły smutne twarze rodziców Moanny i uosabiały nadzieję fauna, że zaginiona księżniczka pewnego dnia przejdzie obok nich, a one jej przypomną, kim jest. Niestety, znów minęło wiele lat bez żadnych wieści od Moanny. W Podziemnym Królestwie nadzieja umierała jak pozbawiony deszczu kwiat.

Cintolo się zestarzał, lecz nie mógł znieść myśli, że umrze, zanim jego umiejętności pomogą sprowadzić z powrotem zagubione dziecko władców. Poprosił więc o audiencję u fauna.

Gdy rzeźbiarz wszedł, faun karmił rój wróżek, które mu służyły. Karmił je swoimi łzami, aby pamiętały o Moannie, ponieważ wróżki są bardzo zapominalskimi stworzeniami.

— Wasza Rogata Wysokość — powiedział rzeźbiarz — mogę jeszcze raz zaoferować mój skromny talent, aby spróbować odnaleźć naszą zaginioną księżniczkę?

— A co zamierzasz zrobić? — zapytał faun, kiedy wróżki zlizywały kolejną łzę z jego szponiastych palców.

— Proszę, pozwól mi nie odpowiadać na twoje pytanie — odrzekł Cintolo. — Nie wiem, czy moje ręce będą w stanie stworzyć to, co widzę oczami wyobraźni. Mam jednak nadzieję, że mimo mego milczenia w tej sprawie zgodzisz mi się pozować, ponieważ chciałbym cię wyrzeźbić.

— Mnie?

Fauna zaskoczyła prośba mężczyzny. Lecz w obliczu starca widział pasję, cierpliwość i najcenniejszą cnotę w tych rozpaczliwych czasach — nadzieję. Odwołał więc wszystkie inne sprawy, których miał wiele, i usiadł cierpliwie przed rzeźbiarzem.

Cintolo nie użył do swego dzieła kamienia. Wyciosał podobiznę fauna z drewna, ponieważ drewno zawsze pamięta, że kiedyś było żywym drzewem, mieszkającym i oddychającym w obu królestwach, tym poniżej powierzchni ziemi i tym ponad nią.

Na ukończenie rzeźby Cintolo potrzebował trzech dni i trzech nocy, a kiedy

powiedział faunowi, że może już wstać z fotela, wraz z żywym faunem powstała również jego drewniana podobizna.

— Każ mu ją odnaleźć, Wasza Rogata Wysokość — zasugerował rzeźbiarz. — Obiecuję, że dopóki jej nie znajdzie, ani nie spocznie, ani nie dokona żywota.

Faun się uśmiechnął, bo zauważył na twarzy starca inną rzadką cechę — wiarę. Wiarę we własną sztukę i w to, czego może ona dokonać. I faun, po raz pierwszy od wielu lat, odważył się znowu mieć nadzieję.

Ale w Górnym Królestwie istnieje wiele dróg i chociaż istota powołana do życia przez rzeźbiarza przeszła lasy i pustynie, przemierzyła równiny i góry, nie udało jej się odnaleźć zaginionej księżniczki i nie wypełniła obietnicy swego stwórcy. Cintolo był zdruzgotany, a kiedy Śmierć zapukała do drzwi jego pracowni, nie odesłał jej, lecz za nią podążył, chcąc w krainie niepamięci zapomnieć o doznanym niepowodzeniu.

Drewniany faun Cintola poczuł jego zgon jak ostry ból. Drewniane ciało, sędziwe i zmęczone od wiatru, deszczu i wszystkich tych kilometrów, które przebył w ramach poszukiwań, stężało ze smutku, a jego stopy nie chciały wykonać kolejnego kroku. W paprociach rosnących wzdłuż drogi, którą przyszło, wznosiły się dwie kolumny. Miały smutne oblicza króla i królowej, których córki od tak dawna na próżno szukał. Zdecydowany wypełnić zadanie, wyrwał sobie prawe oko i położył je na leśnej ścieżce. Potem sztywnym krokiem wszedł w paprocie i skamieniał obok króla i królowej, których zawiódł, a jego usta pozostały otwarte w ostatnim westchnieniu.

Oko, wieczne świadectwo umiejętności starego rzeźbiarza, leżało na mokrej ziemi przez wiele dni i nocy. Aż pewnego popołudnia w las wjechały trzy czarne samochody. Zatrzymały się pod starymi drzewami i z jednego z nich wysiadła dziewczynka. Szła ścieżką, aż nadepnęła na wyrzeźbione przez Cintola oko. Podniosła je i rozejrzała się, chcąc ustalić, skąd mogłoby pochodzić. Dostrzegła trzy wyblakłe kolumny, ale nie rozpoznała ich twarzy. Upłynęło już zbyt wiele lat.

Dziewczynka zauważyła, że jednej z kolumn brakuje oka. Dlatego ruszyła przez paprocie, aż stanęła przed kolumną, która była niegdyś drewnianym faunem Cintola. Oko ze ścieżki idealnie pasowało do otworu ziejącego w ogorzałym obliczu, a gdy je włożyła, w tym samym momencie w komnacie znajdującej się tak głęboko pod jej

nogami, że tylko najwyższe drzewa mogły tam dotrzeć swoimi korzeniami, uniósł głowę prawdziwy faun.

— Nareszcie! — szepnął.

Zerwał z królewskich ogrodów rubinowy kwiat, który postanowił położyć na grobie Cintola, a jedną ze swoich wróżek posłał po dziewczynkę.

6 – Do labiryntu

* * *

Ofelię obudził dźwięk trzepoczących skrzydełek. Suchy, chitynowy szelest był gniewny, krótki, potem rozległo się grzechotanie czegoś poruszającego się w ciemnościach. Świece i ogień się nie paliły. I było bardzo zimno.

— Mamo! — szepnęła Ofelia. — Obudź się! Coś jest w pokoju.

Ale matka się nie budziła. Krople, które zaordynował doktor Ferreiro, wprowadziły ją w głęboki sen, więc Ofelia usiadła prosto, drżąc, chociaż nadal miała na koszuli nocnej wełniany sweter. Nasłuchiwała...

Tam!

Teraz istota była tuż nad nią! Ofelia odrzuciła koce na bok, zamierzając włączyć światło, szybko jednak wciągnęła nogi z powrotem do łóżka, gdyż poczuła, że coś ją muska.

A potem ją zobaczyła.

Przypominająca owada wróżka siedziała na szczycie podnóżka, jej długie czułki drżały, wrzecionowate przednie nogi kiwały się, usta szczebiotały cicho w języku, który — dziewczynka była o tym przekonana — wywodził się wprost z książkowych opowieści. Ofelia wstrzymała oddech, kiedy skrzydlate stworzenie zeskoczyło z ramy łóżka i zaczęło dreptać na sztywnych nogach po kocu; przemierzyło wielkie wełniane pole i w końcu stanęło mniej niż pół metra od dziewczynki, która ze zdziwieniem zauważyła, że cały jej strach zniknął. Tak, w ogóle się nie bała!

Czuła wyłącznie szczęście, jakby w tym zimnym, ciemnym pokoju odnalazła ją dawna przyjaciółka.

— Witaj! — szepnęła. — Śledziłaś mnie?

Czulki gościa drgnęły, a dziwne klekotanie, które z siebie wydawał, przypominały Ofelii odgłos maszyny do szycia i igłę delikatnie stukającą o guzik, który ojciec przyszywał do nowej sukienki dla jej lalki.

— Jesteś wróżką, prawda?

Stworzenie wyglądało na nieprzekonane.

— Poczekaj! — Ofelia wzięła jedną ze swoich książek z nocnego stolika i przejrzała baśń, starając się znaleźć stronę prezentującą czarną sylwetkę, na którą tak często patrzyła. — Tutaj! — Odwróciła otwartą książkę w stronę gościa. — Widzisz? To wróżka...

„No cóż. Skoro dziewczynka tak myśli”.

Stworzenie postanowiło się dopasować. Uniosło się na tylne nogi, odwróciło plecami do Ofelii, schowało czułki, a swoje chude, wydłużone ciało wyciągnęło w kształt przywodzący na myśl małą kobietę z ilustracji. Gdy się przekształcało, nadało swoim skrzydełkom nieco inny kształt. Sprawilo, że przypominały liście. Potem podniosło — teraz ludzkie — dłonie i pocierając spiczaste uszy nowo utworzonymi palcami, jeszcze raz porównało własną postać z tą z ilustracji. Tak. Metamorfoza była udana. Właściwie to ciało może okazać się odpowiednie, chociaż w swoim nieśmiertelnym życiu istota przyjmowała już wiele kształtów. Zmiana leżała w jej naturze. Stanowiła część jej magii i ulubioną grę.

Teraz jednak nadeszła pora wypełnić zadanie, z którym została wysłana do młyna. Zatrzepotała w stronę dziewczynki nowymi skrzydełkami i zwróciła się do niej ostro.

„Chodź!” — Wykonała gest, nadając mu całą natarczywość, jakiej wymagały rozkazy jej pana. A nie należał on do najcierpliwszych osób.

— Chcesz, żebym za tobą poszła? Na zewnątrz? Dokąd?

Tak wiele pytań. Ludzie pytali o wszystko, lecz zwykle nie byli nawet w połowie tak dobrzy w znajdowaniu odpowiedzi. Wróżka zatrzepotała w kierunku drzwi. Liściaste skrzydełka pracowały we właściwy sposób, co do ciała miała jednak wątpliwości. Wcześniejsze owadzie kończyny były znacznie lżejsze i szybsze.

Nic z tego nie miało znaczenia. Jej pan czekał.

*

Gdy Ofelia włożyła buty, opuściła w nocy dom i poszła za wróżką, wciąż nie czuła w sercu strachu. Niemal odnosiła wrażenie, że już przedtem za nią podążała, zresztą

kto by nie zaufał wróżce, nawet jeśli zjawiała się w środku nocy? Pewnie zawsze wtedy przybywają. I trzeba za nimi iść. Tak mówiły książki, a czyż ich opowieści nie wydawały się znacznie prawdziwsze niż sprawy, które zdaniem dorosłych były ważne? Jedynie książki mówiły o wszystkich tych rzeczach, o które dorośli nie pozwalali pytać: o życiu i śmierci. O dobru i złu. A cóż innego tak naprawdę się liczy?

*

Ofelia nie była zaskoczona, gdy z mroku wyłonił się kamienny łuk.

Wróżka pod nim przeleciała. Mercedes nie było u boku Ofelii, by ją powstrzymać, nie tym razem. Starożytne kamienne ściany labiryntu majaczyły po lewej i prawej stronie, prowadząc dziewczynkę coraz dalej i dalej w niekończące się kręgi, a ilekroć wahała się na zakręcie, wróżka ją ponaglała. „Chodź za mną! Chodź za mną!” — Ofelia była pewna, że to właśnie świergotało stworzenie, czasem podfruwając wysoko nad nią, czasem lecąc tuż obok niej.

Jak długo szła? Nie potrafiłaby powiedzieć. Starożytne ściany okalały nocne niebo, a jej buty mokły, przesiąkając rosą od mchu, który pokrywał kręte przejścia. Czowała się jak we śnie, a w snach czas nie istnieje. Nagle mury się rozszerzyły i weszła na duży dziedziniec. Pośrodku, w ziemi znajdowała się głęboka kamienna studnia. Prowadziły do niej schody.

Ofelia nie miała pojęcia, ile ma przed sobą stopni, zdawały się ciągnąć w nieskończoność, aż połykała je ciemność. Z dołu podnosił się szept wilgotnego powietrza i znowu poczuła ukłucie strachu, ale też zew przygody.

Podążyła w dół za ćwierkającą i wirującą przed nią wróżką, po schodach, coraz głębiej pod ziemię. Stopnie kończyły się na dnie studni, lecz nie było tam wody, tylko rzeźbiony monolit podobny do tych, które widziała w lesie. Wyglądał równie staro jak tamte, chociaż był znacznie wyższy i otoczony wyrytymi głęboko w podłodze kamiennymi kanałami, które tworzyły miniaturowy labirynt odzwierciedlający tamten powyżej. Z ciemności za monolitem dał się słyszeć szelest, jakby poruszało się tam coś wielkiego. Teraz Ofelia była już przestraszona, ale wróżka kazała jej iść dalej.

Wreszcie zeszła za stworzeniem ostatnie kilka schodków i stanęła na dnie studni.

— Halo? — zawołała Ofelia. — Halo!

Pomyślała, że do jej uszu docierają dźwięki pędzącej wody i własne kroki odbijające się od ścian studni.

— Echo — zawołała, a wróżka zawirowała wokół kolumny. — Echoooo! — W ten sposób chciała odgonić ciszę.

Wróżka wylądowała na martwym pniu drzewa. Przynajmniej wyglądało na drzewo. Ale gdy skrzydlate stworzenie dotknęło sękatej powierzchni dłońmi, ów pień zadrżał, a to, co Ofelia uznała za powyginane pozostałości starego drzewa, poruszyło się, wyprostowało i... odwróciło.

Cokolwiek to było, było ogromne, podobnie jak jego zagięte rogi na wielkiej głowie. Oblicze, które przyglądało się teraz bacznie dziewczynce kocimi oczami, nie przypominało żadnego, jakie kiedykolwiek widziała. Podbródek porastała kozia bródka, natomiast na policzkach i czole widniały te same znaki, które wryto na kolumnie, a gdy istota oderwała się od siateczki mchu i suchych winorośli, które łączyły ją ze ścianą, Ofelia zobaczyła, że ma przed sobą pół człowieka, pół kozła. Owady i grudy przyklejonej ziemi odpadły od skóry, a kiedy osobnik powstał na nogi, jego kości zatrzeszczały, jakby zbyt długo pozostawał bez ruchu.

— Ach! To ty! — wykrzyknął on. Tak, Ofelia była pewna, że ma przed sobą osobnika płci męskiej. — Wróciłaś!

Zrobił niepewny, niezdatny krok w jej kierunku, rozpościerając blade, szponiaste palce niczym korzenie. Był rzeczywiście olbrzymi, znacznie wyższy niż ludzie i poruszał się na kopytnych stopach podobnych do tylnych kończyn kozła. Jego oczy, choć z kształtu kocie, były niebieskie, jasnoniebieskie, jak skradzione kawałki nieba, z prawie niewidocznymi źrenicami, podczas gdy jego skóra wyglądała jak rozszczepiona kora, przerośnięta, jakby przebywał tu od wieków, czekając...

Wróżka wyświergotała coś z dumą. Dostarczyła dziewczynę, tak jak nakazał jej pan.

— Widzicie? Tylko popatrzcie, kogo wasza siostra sprowadziła! — zamruczał osobnik, otwierając drewnianą torbę, którą miał przewieszoną przez tors.

Wyfrunęły z niej dwie wróżki o tym samym wyglądzie, który ich siostra skopiowała ze stronic książki.

Ich rogaty pan zachichotał z zachwytu, gdy wszystkie zawirowały wokół Ofelii, która w zimnym, wilgotnym powietrzu wypełniającym studnię otuliła się mocniej swetrem narzuconym na koszulę nocną. Nic dziwnego, że pan wróżek poruszał się tak sztywno. Chociaż może był po prostu stary. Wyglądał staro. Bardzo staro.

— Mam na imię Ofelia — przemówiła, próbując nie wydawać się onieśmielona ani rogamami, ani tymi dziwnymi niebieskimi oczami. — A kim ty jesteś?

— Ja? — Półkoziół wskazał na swoją uschłą pierś. — Ha! — Zamachał ręką, jakby imiona były najmniej ważną na świecie rzeczą. — Niektórzy nazywają mnie Panem. Ale miałem tak wiele imion! — Zrobił kilka sztywnych kroków. — Starych imion, które tylko wiatr i drzewa są w stanie wymówić...

Zniknął za monolitem, ale Ofelia nadal mogła usłyszeć jego głos, ochryply, hipnotyzujący, zgrzytliwy.

— Jestem górą, lasem i ziemią. Jestem... ach... — Zabeczał, podobnie jak robią to kozy, a gdy pojawił się przed nią po raz kolejny, wyglądał równocześnie bardzo staro i bardzo młodo. — Jestem... — Potrząsnął rękoma i zaryczał jak stary baran. — ...Faunem! I jestem, jak zawsze było i jak zawsze będzie, twoim najpokorniejszym sługą, Wasza Wysokość...

Ofelii zabrakło słów, gdy faun, trzeszcząc z wysiłku, opuścił rogaty łeb i zwrócił się do niej z głębokim ukłonem. „Wasza Wysokość?” O nie. Wziął ją za kogoś innego! Oczywiście, że tak. Powinna to wiedzieć od razu! Po co miałyby do niej przychodzić wróżka? Była jedynie córką krawca.

— Nie! — zdołała w końcu wydukać, cofając się. — Nie, ja...

Faun podniósł głowę i wyprostował zeszywniały grzbiet.

— Jesteś księżniczką Moanną...

— Nie, nie! — zaprotestowała dziewczynka. — Jestem...

— Córką króla Podziemi — przerwał jej.

O czym on mówi? Słowa fauna przstraszyły Ofelię bardziej niż otaczająca noc, bardziej niż to miejsce leżące tak daleko od łóżka ogrzanego ciałem matki. Chociaż czasem jej pragniemy, prawdziwa magia jest przerażająca.

— Nie! Nie! — zaprotestowała raz jeszcze. — Mam na imię Ofelia. Moja mama jest szwaczką, a ojciec był krawcem. Musisz mi uwierzyć.

Poczuła zniecierpliwienie fauna, który stanowczo pokręcił rogatym łbem, ale zauważyła też na jego pokrytej wzorami twarzy ślad rozbawienia.

— Nonsens, Wasza Wysokość. Jesteś... — Wycelował w nią szponiasty palec. — ...Nie wyszłaś z ludzkiego łona. Zrodziła cię luna.

Wróżki energicznie kiwały małymi główkami. Snop światła księżycyca znalazł w tym momencie drogę aż na dno studni, jakby chciał dodatkowo potwierdzić słowa fauna, a skrzydełka wróżek zamigotały w jego blasku srebrzyście.

— Spójrz na swoje lewe ramię — podjął rogaty stwór. — Znajdziesz tam znak, który potwierdzi to, o czym mówię.

Dziewczynka popatrzyła na swoje lewe ramię, ale nie odważyła się odsunąć ubrania, więc nie odsłoniła skóry.

Nie była pewna, czego bardziej się boi: że faun mówi prawdę czy że kłamie.

„Księżniczka!”

— Aby umożliwić ci powrót, twój prawdziwy ojciec kazał otworzyć przejścia na całym świecie. To jest ostatnie z nich. — Faun wskazał na izbę, w której stali. — Ale zanim wolno ci będzie wrócić do jego królestwa, musimy się upewnić, że twoja dusza pozostała nienaruszona i nie stałaś się śmiertelniczką. Sprawdzimy to... — Po raz kolejny sięgnął do torby. — W tym celu, zanim księżyc znajdzie się w pełni, musisz wykonać trzy zadania.

Książka, którą wyjął z torby, wyglądała na zbyt dużą, by mogła się tam zmieścić. Oprawiona była w brązową skórę.

— To *Księga Rozstajów* — powiedział, wręczając Ofelii ciężki wolumin. Zmarszczki na jego czole zawirowały jak wzory wyrysowane przez wiatr i fale. — Otwórz ją dopiero wtedy, kiedy będziesz sama...

Woreczek, który podał jej chwilę później, zabrzączał, kiedy Ofelia nim potrząsnęła, ale faun nie powiedział jej, co powinna z nim zrobić. Tylko patrzył na nią jasnoniebieskimi oczami.

— Książka pokaże ci twoją przyszłość — oznajmił, cofając się w mrok. — I to, co musisz zrobić.

Tom był tak wielki, że dziewczynka ledwo mogła utrzymać go w dłoniach. A gdy wreszcie udało jej się go otworzyć, o mało nie wyślizgnął się jej z rąk.

Karty, na które patrzyła, były puste.

— Niczego w tej księdze nie napisano — zauważyła.

Ale kiedy spojrzała w górę, okazało się, że faun zniknął, zniknęły także wróżki. Nie było niczego poza nocnym niebem nad Ofelią i wzorem labiryntu u jej stóp.

7 – Zęby brzytwy

* * *

Brzytwa Vidala była cudownym urządzeniem o błyszczącej krawędzi, ostrzejszej niż zęby wilka. Miała rękojeść z kości słoniowej, a stal była niemiecka. Kapitan zabrał ją z okna ograbionego sklepu w Barcelonie. Sklepu z luksusowymi artykułami dla panów: zestawami podróżnymi, zestawami do pielęgnacji, fajkami, piórami wiecznymi i szylkretowymi grzebieniami. Ale dla Vidala ta brzytwa nigdy nie była tylko narzędziem kosmetycznym. Była narzędziem, które pozwalało mu ciąć i kasać. Brzytwa była jego pazurami... jego zębami.

Ludzie to istoty niezwykle wrażliwe, bez futra, bez łusek, które by chroniły miękkie ciało. Dlatego Vidal każdego ranka starał się przybrać wygląd kogoś bardzo niebezpiecznego. Gdy sunął brzytwą po swoich policzkach i brodzie, jej ostrość stawiała się częścią jego charakteru. Lubił sobie wyobrażać, jak zmienia mu serce w metal, kawałek po kawałku. Lubił patrzeć, jak ostrze doprowadza do ładu jego twarz i nadaje jej blask, którego brakowało temu miejscu wygnania. Wiedział, że nie spocznie, póki ten brudny las nie będzie tak czysty jak dokładnie ogolona twarz, którą widział w lustrze, ilekroć brzytwa dobrze wykonała swoją pracę.

Porządek. Siła. I ujmujący połysk metalu. Tak, on, Vidal, przybył uporządkować ten świat. Ostrza tak samo łatwo tną drzewa, jak ludzi.

Kiedy już zadbał o twarz, musiał oczywiście doprowadzić do porządku swoje oficerki. Polerował je tak starannie, że skóra odbijała światło poranka. Szeptła: „Śmierć!” swoją lśniącą czernią, a Vidal, wdychając dym pierwszego tego dnia papierosa, wyobrażał sobie stukot maszerujących butów mieszający się przyjemnie z muzyką, którą kapitański fonograf nasyczał poranek. Muzyka, której Vidal słuchał, była wesoła i dziwnie kontrastowała z przyrządem do golenia i oficerskimi butami. Te nuty zdradzały, że okrucieństwo i śmierć są dla kapitana tańcem.

Właśnie przecierał buty po raz ostatni, kiedy Mercedes weszła z kawą i chlebem.

Nie mogła nie spojrzeć na dwa chude króliki leżące na stole obok zegarka, którego — ostrzeżenie było jasne — nikomu nigdy nie wolno było dotykać. Podkuchenne przez całe rano plotkowały o tym, co Vidal zrobił z kłusownikami, którzy polowali, starając się wyżywić swoją rodzinę. Ojciec i syn. Mercedes zdjęła z tacy metalowy kubek z kawą i postawiła go między królikami. Tyle okrucieństwa. Widziała go tutaj zbyt dużo. Czasami się zastanawiała, czy nie pokryło do tej pory jej serca niczym pleśń.

— Mercedes. — Kiedy kapitan wymawiał jej imię, kobiecie zawsze się zdawało, że brzmi to jak groźba, choć zwykle mówił do niej tak miękkim głosem, że kojarzył jej się z kotem ukrywającym pazury pod aksamitnym futrem. — Przygotuj te króliki na kolację dziś wieczorem.

Podniosła stworzenia i obejrzała mizerne ciała.

— Zbyt młode na dobry posiłek.

Zadała sobie pytanie, gdzie są chore dziewczynki, które ci dwaj mieli nakarmić. Na podwórzu jeden z żołnierzy naśladował starca błagającego o życie syna. Żołnierz roześmiał się, opisując, jak Vidal zabił obu mężczyzn. Czy oni urodzili się tacy okrutni, wszyscy ci żołnierze tnący, palący i mordujący? Kiedyś byli dziećmi, tak jak Ofelia. Mercedes bała się o nią. Dziewczynka była zbyt niewinna na to miejsce, a jej matka nie miała dość siły, by córkę ochronić. Carmen należała do kobiet, które szukały siły w mężczyznach, zamiast szukać jej w sobie.

— No cóż — powiedział kapitan. — Mieczka potrawki w takim razie i udka.

— Tak, *señor*. — Mercedes zmusiła się i popatrzyła mu prosto w oczy. Nie spuściła wzroku, kiedy Vidal wstał z krzesła, choć bała się, że mógłby zobaczyć nienawiść w jej oczach. Gdyby to zrobiła, uznalby zapewne, że to poczucie winy i strachu, co byłoby dla niej znacznie bardziej niebezpieczne. Poczucie winy wzbudziłoby jego podejrzliwość, a widząc jej strach, chciałby zobaczyć go więcej.

— Ta kawa jest trochę przypalona. — Lubił podchodzić blisko do Mercedes. — Sama spróbuj.

Wzięła w lewą rękę czarny metalowy kubek, w prawej nadal trzymała dwa króliki.

Młodziutkie martwe stworzenia.

„Wkrótce będziesz tak martwa jak one, Mercedes — szepnęło jej serce. — Jeśli

dalej będziesz robić to, co robisz”.

Mężczyzna ją obserwował.

— Powinnaś wszystkiego dopilnować, Mercedes. Jesteś gospożą.

Położył na jej ramieniu rękę, tak gładką i czystą. Kiedy powoli przesuwał ją w dół, Mercedes żałowała, że tkanina sukienki nie jest grubsza. Materiał był tak zużyty, że poczuła na swojej skórze jego palce.

— Jak pan sobie życzy, *señor*.

Vidal bardzo lubił kobiety, choć one wiedziały, że miał je w pogardzie. Mercedes zastanawiała się, czy matka Ofelii — gdy Vidal trzymał ją w ramionach — zauważała w jego oczach lekceważenie.

Ruszyła do wyjścia, a Vidal jej nie przywołał, choć czuła na plecach jego wzrok, wbijający się między jej łopatki jak czubek noża.

Zaniosła króliki do kuchni i poinformowała kucharkę Marianę, że capitán skarżył się na kawę.

— Co za kapryśny paniczyk! — syknęła Mariana.

Pozostałe służące wybuchnęły śmiechem. Rosa, Emilia, Valeria... większość z nich nie miała powodu obawiać się kapitana, ponieważ rzadko widywały go osobiście. Nie chciały dostrzec, co robią on i jego ludzie. Mercedes chciałaby być taka ślepa. Chociaż może starsze kobiety po prostu widziały w życiu zbyt wiele i już się nie przejmowały.

— Potrzebujemy na obiad jeszcze jednego kurczaka i trochę wołowiny.

Mercedes napełniła dwa wiadra wrzątkiem, który przygotowała jedna ze służących. Matka Ofelii poprosiła o kąpiel.

— Jeszcze jednego kurczaka i trochę wołowiny? Skąd niby mamy je wziąć? — zadrwiła kucharka.

Mariana, która pochodziła z pobliskiej wioski i miała dwóch synów w wojsku, mawiała: „Mężczyźni chcą walczyć. Do tego się urodzili”.

Tak, i nie miało dla nich znaczenia, o co walczą? A co z kobietami?

— Zaprosił ich wszystkich — powiedziała Mercedes. — Księdza, generała, doktora, alkada, a także jego żonę... My zaś musimy ich nakarmić.

— A oni wszyscy jedzą więcej niż stado głodnych świń! — zawołała za nią

kucharka, kiedy Mercedes niosła wiadra.

Służące śmiały się, ścierając ze stołu króliczą krew.

Nie chciały wiedzieć.

8 – Księżniczka

* * *

Ofelia nie powiedziała matce o labiryncie ani o faunie. Przed przyjściem wróżki nie była z matką blisko. Ale słowa fauna rozbrzmiewały jej raz za razem w głowie, gdy kładła się z powrotem do ciepłego łóżka, a później leżała w ciemności, patrząc na twarz śpiącej kobiety i zastanawiając się, czy rzeczywiście nie jest jej córką.

„Sierp księżycyca. Matka-księżyc”.

Czuła się winna, gdy blade poranne słońce zaświeciło przez zakurzone okna, a matka się do niej uśmiechnęła i pocałowała ją w czoło, jakby chciała scałować te myśli.

„Nie zdradzę jej! — oświadczyła Ofelia, podczas gdy Mercedes i inna służąca napełniały wannę w łazience obok parującą wodą. — Jest taka samotna! Tak samotna jak ja...”

Wanna wyglądała jak te, które stały w łazienkach znacznie większych domów w mieście. Wiele takich domów zniszczono w czasie wojny, która zabiła również ojca dziewczynki, a Ofelia nieraz bawiła się w ruinach z przyjaciółkami, udając, że są duchami dzieci, które kiedyś mieszkały w opuszczonych pokojach.

— Ta kąpiel nie jest dla mnie. To dla ciebie, Ofelio! Wstawaj!

Matka znów się do niej uśmiechnęła, ale dziewczynka wiedziała, że ten uśmiech był przeznaczony dla Wilka. Chciała, żeby jej córka była dla niego czyściutka i wystrojona, miała uczesane włosy i wypolerowane buty. Kiedy się zbliżał, oczy matki błyszcząły, a jej blade policzki płonęły, choć ten mężczyzna ledwo ją zauważał.

Ofelia pragnęła opowiedzieć o faunie Mercedes, może dlatego, że to ona ostrzegła ją wcześniej przed labiryntem, a może dlatego, że Mercedes miała własne sekrety. Była w jej spojrzeniu wiedza o świecie, której Ofelia nie znajdowała w oczach matki.

— Ofelio!

Tego ranka matka w białej sukni wyglądała jak oblubienica. Ponownie usiadła na wózku, jakby Wilk w którymś momencie pozbawił ją władzy w nogach. Zmienił ją w kalekę. Kiedyś tańczyła w kuchni podczas gotowania. Ojciec Ofelii to uwielbiał. Ofelia wspinała się na jego kolana i razem obserwowali Carmen.

— Twój ojciec wydaje dziś wieczorem kolację. Spójrz, co dla ciebie przygotowałam!

Suknia, którą matka trzymała, była zielona jak las.

— Podoba ci się? — Kobieta gładziła jedwabistą tkaninę. — Ileż bym dała za taką ładną sukienkę, gdy byłam w twoim wieku! Uszyłam ci też biały fartuszek na sukienkę. I spójrz na te buciki!

Były czarne i lśniące jak żołnierskie. Nie pasowały do lasu, podobnie jak sukienka, chociaż była zielona.

— Podobają ci się?

Z podniecenia matka otworzyła szeroko oczy. Tak bardzo chciała wszystkich zadowolić, że zachowywała się jak mała dziewczynka. Ofelia patrzyła na nią ze współczuciem i zakłopotaniem.

— Tak, mamó — szepnęła. — Tak. Są bardzo ładne.

We wzroku matki pojawiła się ostrożność.

„Pomóż mi — błagała milcząco. — Pomóż mi go zadowolić”.

Uświadomiwszy to sobie, Ofelia poczuła chłód. Jakby była z powrotem w labiryncie, a jego mury rzucały cień na jej serce.

— Idź już. — Matka spuściła wzrok, pod ciężkimi powiekami skrywając rozczarowanie. — Weź kąpiel, zanim woda wystygnie.

Wszystkie te szwy...

Carmen spędziła tyle godzin, szyjąc sukienkę, więc nie chciała zobaczyć w oczach córki prawdy: że w rzeczywistości nie uszyła tej sukienki dla niej, lecz dla człowieka, którego kazała Ofelii nazywać ojcem, choć określenie to należało się wyłącznie nieżyjącemu mężczyźnie.

Wszyscy tworzymy własne baśnie. „Dzięki tej sukience on pokocha moją córkę” — tak brzmiała opowieść, którą powtarzała sobie Carmen Cardoso, choć w głębi duszy wiedziała, że Vidalowi zależy jedynie na nienarodzonym dziecku, które spłodził. To

straszny grzech zdradzić własne dziecko dla nowej miłości i palce matki Ofelii drżały, gdy rozpiniała guziki sukienki, wciąż się uśmiechając, udając, że życie i miłość są takie, jakimi ich pragnęła...

*

Łazienkę wypełniały białe obłoki pary. Gdy Ofelia zamknęła za sobą drzwi, poczuła na skórze ciepło i wilgoć. Wanna wyglądała jak kusząca porcelanowa biała łódź gotowa do lotu na księżyc, lecz gorąca kąpiel nie była powodem, dla którego Ofelia miała ochotę w końcu zostać sama.

W nocy ukryła książkę i woreczek od fauna za grzejnikiem w łazience, obawiała się bowiem, że matka je znajdzie. To był jej sekret, a oprócz niechęci matki do książek, martwiła się tym, że dar fauna może utracić swą magię, jeśli zobaczy go lub dotknie ktoś inny.

Siadając na brzegu wanny, ledwo była w stanie utrzymać na kolanach ciężką księgę.

Skórzana oprawa przypominała w dotyku wysuszoną korę drzewa i stronice nadal były puste, dziewczynka jednak wiedziała, że to się zmieni. Wszystkie naprawdę ważne rzeczy ukrywają się wszak przed naszym wzrokiem. Ofelia była wciąż na tyle młoda, że powinna o tym pamiętać.

I rzeczywiście, jedna z pustych do tej pory kart — od chwili, gdy dziewczynka jej dotknęła — zaczęła się pokrywać brązowym i jasnozielonym atramentem. Na stronie po prawej pojawiła się ilustracja ropuchy, a potem kolejne: przedstawiające dłoń i labirynt. Na krawędzi strony zaczęły wyrastać wizerunki kwiatów, a na środku nabrał kształtu obraz drzewa, starego i krzywego, o bezlistnych gałęziach wygiętych jak rogi oraz rozszczepionym i wydrążonym pniu.

Wewnątrz klęczała jakaś dziewczynka i się w nią wpatrywała. Stopy miała bose, lecz nosiła zieloną sukienkę i biały fartuszek, przypominające strój, który matka przygotowała dla Ofelii. Gdy obrazek po prawej stronie był gotowy, lewa zaczęła się wypełniać literami w odcieniu ciemnobrunatnym, tak staroświeckimi, jakby niewidzialny iluminator zapisywał je pędzelkiem wykonanym z włosów ogona kuny.

Litery były tak piękne, że przez kilka chwil Ofelia po prostu je podziwiała, potem jednak zaczęła czytać:

*Dawno, dawno temu, kiedy las był młody,
stanowił dom dla stworzeń,
magicznych i cudownych...*

— Ofelio! — Matka zapukała do drzwi. — Pośpiesz się! Chcę zobaczyć cię w tej sukience. Chcę, żebyś była piękna. Dla kapitana...

Zdrada...

Ofelia stanęła przed lustrem. Pokrywała je para, zacierając jej odbicie. Dziewczynka odgarnęła szlafrok z lewego ramienia.

— Będiesz wyglądała jak księżniczka! — wołała matka przez drzwi.

Ofelia popatrzyła na swoje odbicie.

I tak. Zobaczyła go: sierp księżyca otoczony trzema gwiazdkami, tak wyraźny, jak gdyby ktoś wyrysował go na jej skórze atramentem w odcieniu sepii, tym samym, który przed chwilą wypełnił stronicę książki. Faun mówił prawdę.

— Księżniczka — szepnęła dziewczynka.

Spojrzała na swoje odbicie.

I się uśmiechnęła.

9 Mleko i lekarstwo

* * *

Oczywiście, że będzie wystarczająco dużo jedzenia dla gości, których Vidal zaprosił na kolację. Jego żołnierze o to zadbali, a wszyscy w kuchni wiedzieli, jak tego dokonali. Niektóre miejscowe rodziny będą z tego powodu głodować przez kilka dni, ale cóż można powiedzieć, gdy żołnierze łomoczą do drzwi, a później zabierają ostatniego kurczaka albo ziemniaki, które gospodarz ukrył dla swoich dzieci? Mercedes, krojąc warzywa razem z innymi służącymi, czuła wielki wstyd. Takie zastosowanie miały noże w przypadku kobiet — służyły im do krojenia żywności dla mężczyzn, którzy nożami zabijali... którzy zabijali mężów tych kobiet, ich synów i córki.

Nóż, którym Mercedes siekała cebule, był identyczny jak te przechowywane przez większość podkuchennych w fałdach fartuchów, tuż pod brzuchem, gdzie nóż był bezpieczny i zawsze pod ręką: miał krótkie ostrze, o długości siedmiu i pół centymetra, wykonany był z taniej stali i miał zniszczony drewniany uchwyt.

Mercedes nie mogła oderwać oczu od klingi. Ciągłe pamiętała rękę kapitana na swoim ramieniu. Co będzie, jeśli Vidal pewnego dnia nie pozwoli jej wyjść? Pozostałe służące z pewnością nie domyślały się, o czym dumiała, kiedy owijała nóż w poplamiony fartuch. Te kobiety śmiały się i plotkowały, próbując zapomnieć o mundurach na zewnątrz i o własnych walczących ze sobą synach. I może miały rację. Może życie było jednak czymś więcej. Może na życie składały się cisza lasu, ciepło słońca, poświata księżyca. Mercedes pragnęła przyłączyć się do panującego rozbawienia, ale serce miała zmęczone i przerażone.

— Dopilnujcie, żeby te kurczaki zostały dokładnie oczyszczone — powiedziała. — I nie zapomnijcie o fasolce.

Głos Mercedes zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała, ale jej towarzyszki i tak nie zwracały na nią uwagi. Wszystkie się uśmiechały, patrząc na Ofelię. Dziewczynka

stanęła w drzwiach kuchni w zielonej sukience i białym fartuszku, które Mercedes wcześniej uprasowała z taką samą starannością, z jaką matka Ofelii je uszyła. W tym stroju wyglądała jak postać z książki, którą Mercedes uwielbiała jako dziecko. Matka często przynosiła do domu książki dla niej i dla jej brata. Była nauczycielką, lecz żadne książki nie zdołały jej uchronić, gdy żołnierze spalili ich wioskę. Płomienie pochłonęły zarówno matkę, jak i jej woluminy.

— Wyglądasz wspaniale, panienko! — wykrzyknęła kucharka. — Po prostu pięknie.

— Tak! To taka śliczna sukienka! — dodała Rosa, a rysy jej twarzy złagodniały pod wpływem czułości. Rosa miała córkę w wieku Ofelii. Zresztą Ofelia im wszystkim przypominała własne córki i wnuczki... i dziewczęta, którymi kiedyś same były.

— Wracajcie do pracy! Przestańcie marnować czas — upomniała je Mercedes, choć również poczuła tkliwość w sercu.

Podeszła do Ofelii i delikatnie poprawiła kołnierzyk sukienki. Matka dziewczynki była naprawdę utalentowaną szwaczką i przez chwilę sukienka, którą uszyła dla córki, rozświetlała kuchnię starego młyna — sukienka i uśmiechnięta twarz dziewczynki, tak rozpromieniona ze szczęścia jak właśnie rozkwitły kwiat. Dzięki niej one wszystkie przez chwilę naprawdę wierzyły, że na świecie znów zapanuje porządek i spokój.

— Napijesz się mleka z miodem?

Ofelia skinęła głową i Mercedes zabrała ją na dwór, gdzie pod drzewami stała brązowa krowa z wymionami ciężkimi od mleka. Kiedy kobieta napełniała nim wiadro, płynęło ciepłe i białe po jej palcach.

— Cofnij się — powiedziała cicho do dziewczynki. — Nie możemy dopuścić, żebyś pobrudziła sukienkę mlekiem. Wyglądasz w niej jak księżniczka...

Ofelia z wahaniem odstąpiła o krok.

— Wierzysz we wróżki, Mercedes? — spytała, przesuwając ręką po gładkim boku krowy.

Kobieta jeszcze raz pociągnęła krowie wymiona.

— Nie. Ale kiedy byłam małą dziewczynką, wierzyłam. Wierzyłam wtedy w wiele rzeczy, w które już nie wierzę.

Krowa zamuczała niecierpliwie. Chciała karmić cielęta, nie ludzi. Mercedes

uspokoila zwierzę dłońmi i kilkoma cichymi słowami.

Ofelia zapomniała o sukience i mleku, podszła i stanęła obok kobiety.

— Wczoraj w nocy odwiedziła mnie wróżka — wyznała nieśmiało.

— Naprawdę? — Mercedes zanurzyła w wiadrze małą miszkę i napełniła ją ciepłym mlekiem.

Dziewczynka kiwnęła głową. Oczy miała szeroko otwarte.

— Tak. I nie była sama! Były trzy. Był też faun!

— Faun? — Kobieta się wyprostowała.

— Tak. Stary... bardzo wysoki i chudy. — Ofelia wyrysowała w powietrzu dłońmi wielką postać. — Wyglądał na starego i pachniał staro... zatechle. Jak ziemia, gdy jest mokra od deszczu. I trochę jak ta krowa.

„Chcę, żebyś o tym wiedziała — zdawała się mówić wzrokiem. — Proszę, Mercedes, uwierz mi!”

Trudno skrywać sekrety, którymi nie można się z nikim podzielić, albo wierzyć w prawdę, której inni nie chcą dostrzec.

Mercedes wiedziała na ten temat wszystko.

— Faun — powtórzyła. — Matka mnie kiedyś ostrzegała przed faunami. Czasami są dobre, a czasem nie...

Uśmiechnęła się na tę myśl — pod wpływem tego wspomnienia i kontaktu z dziewczynką. Ale uśmiech w jednej chwili przygasł, gdyż zobaczyła kapitana Vidala, który szedł do niej z jednym ze swoich oficerów u boku. Świat natychmiast wypełniły cienie.

— Mercedes!

Mężczyzna zignorował dziewczynkę do tego stopnia, że Mercedes przez chwilę niemal uwierzyła, że Ofelii tu nie ma.

— Chodź za mną. Potrzebuję cię w stodole.

Poszła z nim. Naturalnie, że tak. Chociaż wolałaby zostać z dziewczynką, ciepłym mlekiem i oddechem krowy na swojej skórze.

Przed stodołą kilku żołnierzy rozładowywało ciężarówkę.

Porucznik Medem, oficer dowodzący, zsalutował Vidalowi.

— Przywieźliśmy wszystko, capitán. Tak jak obiecaliśmy. — Mundur porucznika

był sztywny i czysty jak u ołowianego żołnierzyka. — Mąka, sól, olej, lekarstwa — wymieniał, prowadząc ich do stodoły. — Oliwki, boczek... — Wskazał z dumą na kosze i kartony. Zakurzone półki były wypełnione pakunkami i puszkami.

Vidal obwąchał paczuszkę owiniętą w brązowy papier. Lubił swój tytoń. I swoje trunki.

— A tutaj są kartki żywnościowe. — Te kilkadziesiąt talonów, które porucznik Medem przekazał swojemu dowódcy, stanowiło cenną własność w czasie, gdy wojna paliła plony, a to, co pozostało, kontrolowała armia i nawet rolnicy nie mogli wykarmić swoich dzieci. Zawartością skrzynek, które ludzie Medema wnieśli do młyna, można by nakarmić mieszkańców więcej niż jednej wioski. Ale Mercedes nie patrzyła na skrzynie z jedzeniem. Zatrzymała się przy stosie pudeł z etykietami przedstawiającymi czerwony krzyż. Lekarstwa. Więcej niż dość, by wyleczyć prawie każdą ranę. Łącznie z raną nogi.

— Mercedes. — Vidal sprawdzał zamek w drzwiach stodoły. — Klucz.

Wyjęła z kieszeni kółko z kluczami, odpięła ten od stodoły i podała kapitanowi.

— Jest tylko jeden?

Skinęła głową.

— Od tej chwili ja będę go nosić.

Znów to jego spojrzenie. Ile wiedział?

— *Capitán!* — Garces, oficer, który przywołał Vidala, był chudy jak łośnica, a dla służących zawsze miał uśmiech.

Kapitan go zignorował. Nadal patrzył na Mercedes spojrzeniem równie groźnym, co prowokującym; grał w swoją ulubioną grę — w zastraszanie.

„On wie — pomyślała znowu. — Nie, nie, Mercedes. On w taki sposób patrzy na wszystkich”.

Kiedy wreszcie mężczyzna się odwrócił i wyszedł na dwór, odetchnęła głęboko.

„Oddychaj, Mercedes, oddychaj”.

Vidal przyłączył się do Garcesa, który badał las przez lornetkę.

— Może to coś innego, capitán. — Mercedes usłyszała, jak mówił, wręczając dowódcy lornetkę, ale ona sama i bez lornetki to widziała: lekki, niemal niewidoczny ślad dymu unosił się nad koronami drzew, rysując na błękitnym niebie zdradliwą linię.

Kapitan opuścił lornetkę.

— Nie. To oni. Jestem pewien.

W kilka chwil dosiedli koni. Mercedes przyglądała się, jak jechali do lasu.

Tylko mężczyźni rozpalają ogniska, ci mężczyźni, na których żołnierze przybyli tu zapolować.

„Oddychaj, Mercedes”.



Labirynt

Dawno, dawno temu żył szlachcic Francisco Ayuso, który lubił polować w lesie w pobliżu swojego pałacu. To był stary las, tak stary, że mężczyzna czuł się wśród jego drzew niezwykle młodo.

Pewnego dnia Ayuso wraz ze swoimi ludźmi gonił rzadkiego jelenia o sierści równie srebrzystej jak światło księżyca. Ludzie szlachcica zgubili ślad zwierzęcia niedaleko starego młyna, a kiedy Ayuso zsiadł z konia, pragnąc się odświeżyć w młyńskim stawie, znalazł młodą kobietę śpiącą na ziemi wśród rukwi wodnej i smoczych lilii. Włosy miała czarne niczym pióra kruka, a skórę bladą jak płatki najbielszej róży w ogrodach pałacowych Francisca.

Gdy dotknął jej ramienia, obudziła się i odsunęła od niego, a później schowała za drzewem jak jeleni ścigany przez jego psy. Minęło trochę czasu, zanim zdołał ją przekonać o swoich dobrych intencjach.

Wyglądała, jakby nie jadła od kilku dni, więc szlachcic kazał swoim ludziom przynieść jedzenie. Spytana o imię, powiedziała, że go nie pamięta, więc jeden z żołnierzy Ayusa uznał, że może przeżyła napaść Błatego Mężczyzny, potwora, który włóczył się po tych terenach, porywając z okolicznych wiosek dzieci i wciągając je do swego podziemnego legowiska.

Tylko dwóm osobom udało się wyrwać z rąk Błatego Mężczyzny. Opowiedziały one straszne historie o zjadanych żywcem dzieciach i o bestii tak przerażającej, że nie miały odwagi zasnąć w obawie, że spotkają ją ponownie w snach. Ale kiedy Ayuso spytał młodą kobietę o Błatego Mężczyznę, jedynie pokręciła głową, a minę miała tak zagubioną, że oszczędził jej dalszych pytań, zmartwiony, że odżyją wspomnienia, o których nie chciała pamiętać.

Czarnowłosa najwyraźniej nie miała domu, więc Ayuso zaprosił ją do swego pałacu. Dał jej pokój i nowe stroje, nazwał ją Albą, ponieważ pamięć kobiety była równie pusta jak biała kartka. Wkrótce Alba zaczęła zachodzić do jego ogrodów,

gdzie rozkoszowała się widokiem róż hodowanych przez szlachcica, a już po kilku dniach oboje nie pragnęli niczego poza własnym towarzystwem.

Po trzech miesiącach Francisco Ayuso oświadczył się, a kobieta go przyjęła, ponieważ kochała go tak bardzo, jak Francisco kochał ją. Rok później Alba urodziła syna. Kochała chłopca tak czule jak męża, lecz za każdym razem, gdy spojrzała na dziecko, czuła wielki smutek, bo nie mogła mu powiedzieć, kim jest ani skąd pochodzi. Stawała się coraz bardziej niespokojna i całe godziny spędzała, wędrując po lesie lub siedząc nad stawem przy starym młynie.

Niedaleko młyna mieszkała Rocio uważana za czarownicę. Kobieta mieszkała z córką i synem w chacie niedaleko Rozszczepionego Drzewa, w którego korzeniach żyła ponoć trująca ropucha. Ludzie szeptali, że mikstury Rocio mogą zapewnić prawdziwą miłość, długie życie lub śmierć wroga, jednak większość kobiet przychodzących, by się z nią zobaczyć, prosiła o pomoc w usunięciu niechcianej ciąży, ponieważ ledwo mogły wyżywić już żyjące dzieci.

Pewnego popołudnia żołnierz, któremu Ayuso potajemnie nakazał iść za Albą, by mieć pewność, że jest bezpieczna w lesie, wrócił z wiadomością, że kobieta odwiedziła czarownicę Rocio. Ayuso bardzo się zdenerwował i zapytał o to żonę, a Alba poprosiła go o zrozumienie. Chciała jedynie pomocy Rocio w ustaleniu, kim jest. Czarownica wyjawiała, że odpowiedź na pytanie Alby zostanie udzielona tylko w nocy, gdy księżyc będzie w fazie pełni. A stanie się to w labiryncie, który trzeba zbudować za młyńskim stawem z kamieni znajdujących się w pobliskiej wiosce, opuszczonej po tym, jak Błady Mężczyzna porwał stamtąd troje dzieci.

Ayuso kochał żonę bardziej niż kogokolwiek na świecie, więc kazał przyprowadzić do siebie czarownicę Rocio. Chciał się dokładnie dowiedzieć, jak zbudować labirynt. Czarownica zaprowadziła go do miejsca, w którym wyobraziła sobie budowlę, oznakowała cztery narożniki kamieniami i wierzbową gałęzią wyrysowała na leśnej glebie wzory ścian. Pośrodku, powiedziała szlachcicowi, trzeba będzie wykopać studnię, a wewnątrz schody prowadzące w dół, na jej dno. Mężczyźnie nie podobał się sposób, w jaki Rocio na niego patrzyła. Miał wrażenie, że widzi jego najmroczniejsze pragnienia — tak wyraźnie, jakby jego serce było ze szkła. Przeraziła go i gardził nią za to.

— Uczynię, jak mówisz — oznajmił — ale jeśli robisz ze mnie głupca i moja żona nie znajdzie tego, co utraciła, każę cię utopić w młyńskim stawie.

W odpowiedzi Rocio tylko się uśmiechnęła.

— Wiem — zapewniła go. — Ale wszyscy musimy grać swoje role, czyż nie?

To rzekłszy, wróciła do domu.

Budowa labiryntu zajęła dwa miesiące. Tak jak poleciła czarownica, pracownicy Ayusa wykorzystywali jedynie kamienie z opuszczonej wioski i konstruowali ściany, studnię i schody dokładnie według wskazówek Rocio.

Później Alba musiała jeszcze odczekać siedem nocy — do czasu, aż księżyc urósł jak srebrna moneta nad ukończonym labiryntem, rzucając cień na łuk, który robotnicy postawili nad wejściem do labiryntu. Łuk ozdobiono rogatą głową Cernunnosa, pogańskiego boga, którego ongiś czczono w tych lasach. Niektórzy powiadali, że Rocio wciąż się do niego modli.

Od zmierzchu do świtu tej nocy Alba przebywała w labiryncie, chodząc jego krętymi ścieżkami, choć jej maleńki syn płakał, domagając się mleka i obecności matki. Ayuso nie poszedł za żoną, obawiając się, że w jego obecności labirynt nie ujawni odpowiedzi, których Alba tak rozpaczliwie pragnęła. Czekał całą noc przed labiryntem, a kiedy w końcu kobieta wyszła, zrozumiał, że nie znalazła tego, czego szukała.

Przez następny rok co miesiąc w noc, gdy księżyc był w pełni, Alba wracała do labiryntu, ale między kamiennymi ścianami nie znajdowała niczego poza ciszą, toteż jej smutek rósł i rósł, aż w pewną bezksiężycową listopadową noc poważnie zachorowała. Zmarła, zanim księżyc ponownie osiągnął fazę pełni, a w godzinę po tym, jak wydała ostatnie tchnienie, Ayuso posłał pięciu żołnierzy do chaty czarownicy. Ciągnęli Rocio przez las i do młyńskiego stawu, choć młynarz błagał, by nie brukali jego młyna takim czynem. Trzeba było trzech mężczyzn, żeby utopić czarownicę. Zostawili jej ciało dryfujące pomiędzy liśćmi lilii, rybom na pożarcie.

Piętnaście lat później syn Ayusa wszedł do labiryntu w nadziei na odnalezienie tam matki. Nigdy więcej go nie widziano i musiały minąć kolejne dwieście dwadzieścia trzy lata, żeby proroctwo wiedźmy się spełniło i labirynt podał prawdziwe imię matki,

kiedy po raz kolejny chodziła jego starożytnymi korytarzami jako dziewczynka o imieniu Ofelia.

10 Drzewo

* * *

Ofelia już weszła w głąb lasu, gdy usłyszała za sobą konie. Nie kierowały się jednak w jej stronę i wkrótce szemranie drzew stało się głośniejsze niż cichnący tętent kopyt. Dziewczynka, idąc, czytała słowa z książki fauna. Pod drzewami brzmiały one jeszcze bardziej czarownie, a ona czytała je raz za razem, chociaż nie było łatwo chodzić z otwartą księgą:

*Dawno, dawno temu, kiedy las był młody,
stanowił dom dla stworzeń,
pełnych magii i cudów.*

Stopy Ofelii dostosowały się do rytmu słów, jak gdyby idąc, rysowały niewidoczną ścieżkę.

*Istoty chroniły siebie nawzajem.
Spały w cieniu ogromnego drzewa figowego,
które rosło na wzgórzu w pobliżu młyna.*

Dziewczynka podniosła wzrok znad książki i zobaczyła pagórek. Nie był szczególnie stromy, mogłaby się szybko nań wspiąć, ale trzeba by pięciu mężczyzn, aby objąć rosnące na nim drzewo. Pień drzewa został rozszczepiony, dokładnie tak jak na ilustracji w książce.

*Ale teraz drzewo umiera.
Jego gałęzie są uschnięte,
a pień stary i poskręcany.*

Ofelia spojrzała na dwie ogromne bezlistne gałęzie wyrastające z pnia; przypominały wygięte rogi fauna.

W książce było jeszcze więcej słów. Dziewczynka czytała je szeptem, śledząc wzrokiem jasnobrazowy atrament na stronach.

*W jego korzeniach zamieszkała ogromna ropucha,
która nie pozwala się drzewu rozwijać.
Dlatego musisz umieścić w jej paszczy
trzy magiczne kamienie.*

Ofelia otworzyła woreczek, który dał jej faun. W rękę wpadły jej trzy małe kamienie. A w książce były jeszcze dwa wersy:

*Wyjmij z jej brzucha złoty klucz.
Wówczas drzewo figowe znów rozkwitnie.*

Z wnętrza brzucha... Ofelia zamknęła książkę i spojrzała na ziejącą rozpadlinę w drzewie. W środku było bardzo ciemno. Dziewczynka wsunęła trzy kamienie z powrotem do woreczka i zrobiła krok w stronę drzewa, gdy nagle zdała sobie sprawę, że jej nowe buty są uwalane błotem. Bohaterowie w jej baśniach nigdy nie martwili się o swoje obuwie czy ubranie, ona jednak zdjęła biały fartuszek oraz nową zieloną sukienkę i powiesiła je na gałęzi. Nazbyt dobrze potrafiła sobie wyobrazić, jak zdenerwowałaby matkę, gdyby je zniszczyła. Potem zsunęła buciki i podeszła do drzewa. Grunt pod jej bosymi stopami był zimny. Ofelia drżała pod wpływem wiatru w cienkiej bieliźnie. Szczelina była na tyle wysoka, że mogła w nią wejść, ale tunel za nią okazał się tak wąski, że musiała iść na czworakach.

Za nią, na zewnątrz, wiatr szarpał wstążki jej nowej sukienki.

„Strzeż się” — szeptał.

„Uważaj, Ofelio” — zaśpiewały trzepoczące wstążki.

Lecz dziewczynka już wpełzła do tunelu — w wilgotne drewniane wnętrzości

umierającego drzewa. Wkrótce obrzydliwe szlamowate błoto pokryło jej dłonie i kolana, przemoczyło białą bieliznę i zabarwiło ją na kolory ziemi. Ze wszystkich stron Ofelię otaczały korzenie drzewa, przeciskające się przez mokrą glebę i sięgające w ziemię jak szpony ogromnego drewnianego stworzenia. Stonogi wielkie jak myszy wspinały się po jej ramionach, a błoto pod rękami dziewczynki chlupotało, jakby ziemia pragnęła ją pożreć.

Wydawało się, że ten tunel i labirynt korzeni nie mają końca, Ofelia jednak nie zamierzała zawrócić. Zanim księżyc znajdzie się w pełni, musi wykonać zadania wyznaczone przez fauna, o ile chciała udowodnić sobie i jemu, że miał rację: że naprawdę była Moanną, księżniczką, na którą czekał ojciec, chociaż Śmierć sugerowała, że już go utraciła. Bo jeżeli nie była Moanną, kimże innym była? Córka jakiegoś Wilka, który skradł serce jej matki i patrzył na wszystkich morderczym wzrokiem? Zatrzymała się na chwilę, wsłuchała w odgłosy ziemi i własnego dziko bijącego serca. Potem znowu zatopiła dłonie w błocie i dalej pełzła w dół niekończącego się tunelu.

11 Stworzenia lasu

* * *

Vidalowi i jego żołnierzom nie zabrakło czasu odnalezienie resztek ogniska, które wysłało zdradziecki dym w niebo. Konary wciąż się tliły, kiedy kapitan zsiadł z konia i ukląkł obok żaru, a gdy zdjął rękawiczkę i przytrzymał nad nim gołą dłoń, poczuł ciepło.

Tak. Partyzanci przebywali tu jeszcze mniej niż dwadzieścia minut temu.

Najwyraźniej usłyszeli, że żołnierze nadjeżdżają. Oczywiście. Vidal zapatrzył się na drzewa, żałując, że nie potrafi polować cicho jak wilki. Już by porozdzierał partyzantów na strzępy i zlizywał ich krew z mchu osypanego popiołem z ogniska.

Garces ukląkł u boku swojego dowódcy. Vidalowi podobało się oddanie w oczach oficera. Garces słuchał każdego słowa płynącego z jego ust równie nabożnie, jak ministrant słucha wypowiedzi księdza podczas mszy.

— Dwunastu mężczyzn. Nie więcej. — Zasad tropienia Vidal nauczył się od dziadka. Ojciec natomiast nauczył go tylko tego, że najgorsze bestie chodzą na dwóch nogach. — Co my tu mamy? — zadumał się.

Starł kilka zwiędłych liści. Ktoś pod nimi ukrył małą paczkę. Odchodzili w pośpiechu. Trzy starannie zawinięte w brązowy papier szklane fiolki wyglądały znajomo. Vidal wstał. Podniósł jedną z fiolek i przytrzymał ją w górze, oglądając klarowną ciecz w świetle słońca. Antybiotyki. Oznaczały prawdopodobnie, że co najmniej jeden z partyzantów został ranny. To dobrze.

— Mierda^[2], popatrzcie na to! — Garces podniósł z ziemi mały kawałek papieru. — Zgubili los na loterię!

Roześmiał się.

Kapitan uciszył go gestem. Zrobił krok i wsłuchał się. Wciąż gdzieś tu byli. Wyczuwał to. Te partyzanckie sukinsyny ich obserwowały! Zrobił kolejny krok, lecz nie usłyszał niczego poza odgłosami lasu. Niech to szlag!

— Hej! — wrzasnął w stronę drzew, trzymając fiolkę. — Zostawiliście to! A co z waszym losem na loterię? Może wróćcie i wszystko zabierzecie? Kto wie? Może to wasz szczęśliwy dzień.

Jedyną odpowiedzią był świergot ptaka.

I szelest liści na wietrze.

Las go przedrzeźniał.

Znowu.

Nie. Vidal odwrócił się do nich plecami. Nie zrobi z siebie głupca, ścigając gnojków przez ten zdradziecki labirynt drzew. Poczekaj, aż sami do niego przyjdą, miał przecież jedzenie i lekarstwa. Fiolki stanowiły dowód, że ci ludzie potrzebowali leków.

*

Kapitan miał rację. Jego ofiary obserwowały.

Żołnierze dosiedli koni i podążyli za swoim dowódcą z powrotem do młyna, wśród drzew cieniami malujących ich mundury na czarno. A kilkunastu mężczyzn w poszarpanych ubraniach, którzy ukrywali się na wzgórzu ponad opuszczonym ogniskiem, przyglądało się, jak polujący na nich ludzie odjeżdżają. Na razie.

Dziś Vidal prawie ich znalazł.

I znowu ich znajdzie.

12 – Ropucha

* * *

Ofelia przestała strząsać stonogi z ramion i twarzy, zresztą cała była już pokryta błotem. Czuła się tak, jakby od wieków czołgała się przez wnętrzości ziemi; zagubiona księżniczka, którą zdaniem fauna była, szukająca swojego Podziemnego Królestwa.

Zauważyła, że coraz trudniej jej się oddycha, a wszystkim, co tunel do tej pory ujawnił, była ciemność. Ciemność, korzenie, mokra gleba i armie stonóg służących... komu? Właśnie zadawała sobie to pytanie, gdy usłyszała, że coś się za nią porusza, coś ciężkiego i ogromnego.

Zerknęła ponad pokrytym błotem ramieniem i zaledwie kilka kroków za sobą zobaczyła olbrzymią ropuchę. Ciało płaza, oszpecone brodawkami, było równie duże jak krowie i wypełniało cały tunel. Książka od fauna przedstawiała stworzenie dokładnie, tyle że na ilustracji wyglądało ono na znacznie mniejsze!

— Wi-witaj — wyjąkała Ofelia. — Jestem księżniczka Moanna i nie... — Zrobiła głęboki wdech. — Nie boję się ciebie.

To była oczywiście nieprawda, ale dziewczynka miała nadzieję, że ropucha nie potrafi interpretować wyrazu ludzkiej twarzy. Ofelia na pewno nie umiała odczytać wyrazu pyska stwora. Z wielkiego ciała wymknął się rechot, a złote oczy zamrugały, jakby ogromna bestia nie mogła uwierzyć, że coś tak kruchego i pozbawionego sierści przyczło się tutaj, pokonując całą tę drogę aż do jej legowiska.

Nie odrywając oczu od stworzenia, Ofelia otworzyła woreczek i wysypała na dłoń trzy kamienie. Wszędzie wokół niej błoto roilo się od stonóg.

— Nie wstyd ci? — zapytała głosem, który drżał bardziej niż jej obolałe kolana. — Żyjesz sobie tu na dole, zajadając się robakami i tyjąc, podczas gdy drzewo umiera?

Strzasnęła stonogę z ramienia, podczas gdy inna już pełzła po jej policzku.

Odpowiedź ropuchy była szybka. Stworzenie błyskawicznie rozwinęło ogromny

lepki język i przesunęło nim po twarzy dziewczynki. Złapało stonogę, a policzek Ofelii ociekał teraz ropuszą śliną. Ale, co gorsza, dziewczynka wypuściła z palców kamienie fauna!

Kiedy ropucha schowała już jęzor w rozdziawionej paszczy, Ofelia rozpaczliwie szukała kamieni w błocie.

Ropucha była bardzo zła na tę pozbawioną sierści istotę.

Była przekonana, że wysłało ją tu drzewo. Stęknęła gniewnie, otworzyła pysk i ostrzelała dziewczynkę trującym śluzem, który pożerał drewniane serce drzewa. O tak. Z pewnością wystarczy na ciało tego pozbawionego sierści nieproszonego gościa. Ropucha była bardzo z siebie zadowolona.

Mimo jadowitego śluzu palącego jej twarz i ramiona Ofelia się nie poddała. Otworzyła drżącą rękę i zobaczyła, że wraz z kamieniami, które wyrwała z błota, podniosła kilka stonóg, które teraz zwijały się i rozwijały na jej dłoni. Zwinięte wyglądały dokładnie jak kamienie.

— Hej! — zawołała, patrząc na szamoczące się skorupiaki. Mogła tylko mieć nadzieję, że wraz z nimi złapała właściwe kamienie. W błotnistej ziemi wszystkie wyglądały podobnie.

Ropucha oblizwała wargi i złotymi oczami popatrzyła na jej wyciągniętą rękę.

Nareszcie!

Intruzka okazywała przynajmniej trochę szacunku. Ropucha bardzo się z tego cieszyła, chociaż oferta dziewczynki była dość uboga. Uwielbiała pożerać swoje sługi. Uważała za bardzo satysfakcjonujące chrzęszczące odgłosy, które wydawały, gdy chrupała je bezzębnymi dziąsłami.

Tak, przyjmie jej propozycję.

Ofelia nie drgnęła, kiedy ogromny język przeciął powietrze jak bicz. Następnie otoczył jej dłoń tak mocno, że była pewna, iż ją oderwie. Na szczęście, gdy ropucha zabrała język, Ofelia wciąż miała rękę. Popatrzyła na ociekające śliną palce i odkryła, że zarówno stonogi, jak i kamienie zniknęły.

Ropucha potrzebowała dobrej chwili, żeby połknąć i strawić swoją zdobycz. Czas się dłużył i Ofelia zaczynała się obawiać, że podała niewłaściwe kamienie lub że dar fauna zawiódł.

Ale wtedy ropucha otworzyła usta.

Otwierała je coraz szerzej i szerzej.

Och, jakże płonęły jej wnętrzności!

Jakby właśnie wypełniła je własną trucizną!

A skóra... Ropucha miała wrażenie, że roi się ona od robactwa, jakby wszyscy stunodzy słudzy zaczęli ją zjadać żywcem! Och, trzeba było zadusić językiem bladąskórą intruzkę! Dopiero teraz zrozumiała, po co przyszła. Widziała to w zdradliwych oczach dziewczyny. Intruzka przyszła po złoty skarb! Niestety, ropucha za późno zdała sobie z tego sprawę. Wraz z ostatnim tchnieniem zwymiotowała własny żołądek, masę pulsującego bursztynowego ciała, a wówczas ogromne ropusze cielsko sflaczało jak przekłuty balon i została po nim jedynie sterta martwej skóry.

Ofelia podpełzła do nieruchomej bryły, choć ten widok i zapach przyprawiły ją o mdłości. Ale go dostrzegła! Klucz, o którego przyniesienie poprosił faun, przyłgął do wnętrzności stworzenia wraz z dziesiątkami wijących się stonóg. Gdy chwyciła klucz, pokrywający go szlam rozciągnął się jak połyskujące nici pająka, lecz w końcu udało jej się wyrwać pożądany przedmiot.

Klucz był dłuższy niż jej ręka i bardzo piękny. Ścisnęła go przez całą drogę powrotną przez niekończący się tunel, chociaż nie było łatwo czołgać się, mając tylko jedną wolną dłoń. Kiedy ostatecznie wydostała się z rozpadliny pękniętego drzewa, niebo było już ciemne, a przez baldachim liści lał się deszcz. Jak długo jej nie było? Cała radość, jaką poczuła po ukończeniu zadania i zdobyciu klucza, teraz się rozwiała. Kolacja! Jej nowa sukienka!

Ofelia, potykając się, dotarła do gałęzi, na której powiesiła ubranie.

Ale sukienka zniknęła i tak samo fartuszek.

Strach przeszywający serce dziewczynki był niemal tak ponury jak ten, który czuła w tunelu ropuchy. Szlochała, przeszukując powierzchnię lasu, przyciskając klucz do piersi, tak zimnej od całego tego błota i deszczu. Kiedy w końcu znalazła strój leżący niedaleko drzewa, zielona tkanina była oblepiona błotem, a biały fartuszek tak brudny, że w mroku prawie niewidoczny. Nad dziewczynką na wietrze skrzypiały gałęzie i zdało jej się, że słyszy, jak matce pęka serce.

Deszcz padał intensywnie, więc zmył większą część błota z twarzy Ofelii oraz z jej rąk i nóg. Było tak, jakby noc próbowała ją pocieszyć. Zrozpaczona dziewczynka uniosła sukienkę i fartuszek pod strugi deszczu, lecz nawet milion jego zimnych kropli nie był w stanie przywrócić zieleni i bieli.

13 – Żona krawca

* * *

Vidal nienawidził deszczu prawie tak samo, jak nienawidził lasu. Deszcz dotykał jego ciała, włosów, ubrania i czynił go bezbronnym. Ludzkim.

Prawie godzinę temu ustawił swoich żołnierzy w rzędach, ale wszyscy goście się spóźniali i jego ludzie wyglądali jak ociekające wodą strachy na wróble. Tak. Popatrzył na zegarek. Spóźniali się. Mówiła mu to tarcza pod popękany szkielek, która sugerowała też inne rzeczy — że on, Vidal, znajduje się w niewłaściwym miejscu, że cień ojca nadal czyni go tak samo niewidzialnym jak mężczyzn, na których polował, że deszcz i las w końcu go pokonają...

Nie. Popatrzył na podwórze, gdzie odbijał się w kałużach wąski księżyc. Nie. Chociaż deszcz zmoczył jego nieskazitelny mundur i pokrył wypolerowane buty błotem, on, Vidal, nie da się temu miejscu pokonać. Gdy reflektory dwóch samochodów przeszły noc, czuł, jakby był to znak ze strony jakiegoś ponurego boga, który lubił osoby zagubione i pokręcone jak on. Żołnierze rzucili się przed siebie, gotowi osłonić pasażerów pojazdów parasolami. Zjawili się wszyscy, wszyscy, których Vidal uważał za ważnych w tej nędznej krainie: generał i jeden z jego dowódców, alkad wraz z żoną, bogata wdowa, która była członkinią partii faszystowskiej od 1935 roku, ksiądz oraz doktor Ferreiro. Tak, dobrego lekarza również zaprosił. Nie bez powodu. Teraz zaproponował swój parasol żonie alkada i wprowadził ją do domu.

Mercedes przywiozła wcześniej matkę Ofelii na wózku inwalidzkim. Carmen przypominała jej dziewczynkę, którą kiedyś nauczono, że nie powinna w żaden sposób sprzeciwiać się swemu ojcu i teraz dokładnie tak samo zachowywała się w stosunku do męża; nawet gdy nie siedziała — stale umniejszała swoją wartość.

— Sprawdzałaś w ogrodzie? — wymamrotała Carmen, kiedy Mercedes wepchnęła ją do pomieszczenia, które służące ponownie przekształciły z sali narad w jadalnię.

— Tak, *señora*.

Mercedes szukała Ofelii dosłownie wszędzie: w stodole, w stajni, nawet w starym labiryncie. Widziała teraz w oczach drugiej kobiety strach, ale nie o córkę, nie. Carmen bała się zdenerwować swego męża. Wszyscy w młynie byli pewni, że Vidal poślubił ją tylko dla nienarodzonego dziecka.

Mercedes to samo przekonanie dostrzegła na twarzach gości kapitana.

— Mogę przedstawić państwu moją żonę, Carmen?

Nie potrafił ukryć, że się jej wstydzi. Kobiety spośród jego gości były znacznie lepiej ubrane, a przy ich biżuterii kolczyki, które nosiła matka Ofelii, przypominały tanie błyskotki dla dzieci. Żona alkada skrywała pogardę pod pogodnym uśmiechem, ale wdowa nawet się nie wysiliła. „Spójrzcie na nią — mówiła jej twarz. — Gdzie on ją znalazł? Jest trochę jak Kopciuszek, prawda?”

Doktor Ferreiro wymienił spojrzenia z Mercedes, zanim usiadł przy stole. Bał się, mogła to wyczytać z jego twarzy. Obawiał się, że zaproszono go na tę kolację, bo Vidal wiedział o wszystkim, a Mercedes się modliła, żeby jego lęk nie zdradził ich obojga. Nie miała pojęcia, do kogo się teraz modli: do lasu, nocy, księżycy...? Na pewno nie do Boga, do którego modlili się ludzie zajmujący miejsca za tym stołem. Ją Bóg już zbyt wiele razy opuścił.

— Tylko jeden? — Ksiądz wziął talon ze stosu, który Vidal mu wręczył, i przekazał innym.

— Nie jestem pewny, czy to wystarczy, capitán — powiedział alkad. — Wielu ludzi jest bardzo niezadowolonych z powodu ciągłych niedoborów nawet najbardziej podstawowych produktów spożywczych.

— Jeśli się postarają — oznajmił ksiądz, pośpiesznie przychodząc z pomocą Vidalowi — jeden talon powinien wystarczyć im na długo.

Ksiądz lubił schlebiać wojskowym. Te służące, które nadal chodziły w każdą niedzielę do kościoła, opowiadały Mercedes, jak wygłaszał z ambony pochwały posłuszeństwa i porządku, a w swoich kazaniach potępiał mężczyzn z lasu jako pogan i komunistów nie lepszych niż sam diabeł.

— Teraz mamy oczywiście mnóstwo jedzenia — powiedział Vidal — ale musimy

się upewnić, że nikt nie dostanie go na tyle dużo, że zechce karmić partyzantów. Partyzanci wyraźnie tracą przewagę, a jeden z nich jest ranny.

Doktor Ferreiro ukrył lekkie drżenie warg pod serwetką, którą wycierał usta.

— Ranny? — zapytał swobodnym tonem. — Skąd pańska pewność, capitán?

— Ponieważ prawie ich dzisiaj dopadliśmy. I natrafiliśmy na to. — Vidal uniósł jedną ze znalezionych w lesie fiolek.

Mercedes uchwyciła kolejne spojrzenie lekarza. Wyprostowała plecy i próbowała dodać mu pewności miną, w której nie było ani śladu obawy, choć czuła się tak, jakby smakowała w ustach swój strach niczym ocet.

— Niech Bóg zbawi te zagubione dusze. Nie ma jednak dla niego znaczenia, co stanie się z ich ciałami. — Ksiądz zatopił widelec w pieczonym ziemniaku.

— Pomożemy w każdy możliwy sposób, capitán — zadeklarował alkad. — Wiemy, że nie jest pan tutaj z własnego wyboru.

Vidal wyprostował się w fotelu. Tak zazwyczaj reagował, gdy ktoś go obraził. Gdy szykował się do ataku.

— Ależ mylisz się, *señor* — odrzekł z drętym uśmiechem. — Postanowiłem przybyć tutaj, ponieważ chcę, żeby mój syn urodził się w nowej, czystej Hiszpanii. Nasi wrogowie... — Przerwał i obrzucił spojrzeniem swoich gości, jednego po drugim. — ...żywią błędne przekonanie, że wszystkich nas stworzono równymi sobie. Jest jednak duża różnica: oni przegrali wojnę, my ją wygraliśmy. I jeśli musimy pokazać to, zabijając ich, to właśnie zrobimy. Zabijemy ich wszystkich. — Podniósł kieliszek z winem. — Za wybór!

Zebrani podnieśli kieliszki. Doktor Ferreiro dołączył do nich, mocno ściskając własne szkło.

— Za wybór! — Głosy odbiły się echem od ścian pokoju.

Mercedes cieszyła się, że już ich nie słyszy, kiedy wyslizgnęła się za drzwi i wróciła do kuchni.

— Zaparzcie kawę — nakazała innym służącym. — Przyniosę trochę więcej drewna na opał — dodała, chwytając kurtkę z haka przy kuchennych drzwiach.

Kobiety obserwowały w milczeniu, jak zapala latarnię — zapalka w jej ręce wyraźnie drżała — i wychodzi na deszcz.

Z pochyloną głową minęła samochody i pilnujących je żołnierzy, mając nadzieję, że jak zwykle pozostaje dla nich niewidoczna; po prostu jedna ze służących. Ale z trudem przychodziło jej nie przyspieszać kroku. „Ponieważ prawie ich dzisiaj dopadliśmy”.

Gdy dotarła na skraj lasu, zatrzymała się. Zerknęła przez ramię, upewniając się, że gałęzie osłaniają ją przed wzrokiem strażników, a następnie podniosła latarnię i zamachała ręką nad światłem w górę i w dół: raz, dwa razy, trzy razy. Do tej pory ten sygnał zawsze się sprawdzał. Jej brat zazwyczaj zostawiał jednego ze swoich ludzi na czatach — obserwował młyn na wypadek, gdyby Mercedes miała dla partyzantów wiadomość. Dopiero kiedy opuściła latarnię i odwróciła się, zamierzając wrócić do domu, zauważyła między drzewami małą postać. Małą i drżącą w mokrym ubraniu.

— Ofelia?

Ciało dziewczynki było zimne jak lód, a jej ciemne oczy — szeroko otwarte ze zmartwienia. Ale kobieta dostrzegła w nich coś jeszcze: dumę i siłę, której brakowało Carmen. Ofelia trzymała w ręku jakiś przedmiot, ale Mercedes nie zapytała, co to jest ani gdzie dziewczynka była. Któż lepiej od niej znał się na sekretach i wiedział, że najlepiej strzeżone są w naszych wnętrzach? Położyła rękę na drżących ramionach Ofelii i zaprowadziła ją z powrotem do młyna, mając nadzieję, że tajemnice dziewczynki nie są tak niebezpieczne jak jej własne.

*

— A więc jak się poznaliście? — Żona alkada się uśmiechnęła i matka Ofelii zapomniała o pogardzie na twarzach pozostałych gości.

Powinna mieć więcej rozumu. Kiedy ktoś czuje się słaby i mały, o wiele bezpieczniej jest zachować milczenie i pozostać niewidzialnym. Ale to była jej bajka, a Carmen tak bardzo pragnęła szczęśliwego zakończenia.

— Ojciec Ofelii szył kiedyś mundury dla kapitana.

— Och, rozumiem!

Carmen nie zdawała sobie sprawy, że żonie alkada ta informacja zupełnie

wystarczała. Żona krawca... już raz zamężna. Rysy osób przy stole stężały. Ale matka Ofelii ciągle tkwiła zatracona w swojej bajce. „Dawno, dawno temu...”

Czułym gestem położyła rękę na dłoni Vidala.

— Po śmierci męża poszłam do pracy w sklepie, sama...

Pozostałe kobiety zapatrzyły się w swoje talerze. Cóż za wyznanie! W ich świecie kobieta pracowała tylko wtedy, gdy była biedna i musiała utrzymać rodzinę. Ale matka Ofelii wciąż wierzyła, że jej księżę uratował ją od tego wszystkiego: ubóstwa, wstydu, bezsilności... Spojrzała na kapitana — oczy Carmen płonęły z miłości.

— A potem, nieco ponad rok temu... — Nadal trzymała rękę na jego dłoni. — ...Ponownie się spotkaliśmy.

— Jakie to ciekawe. — Perły, które żona alkada nosiła na szyi, migotały jak skradzione z nieba gwiazdy. — Odnaleźć się znowu w ten sposób...

W jej głosie słychać było ślad ciepła. Żona krawca i żołnierz... każdy kocha baśnie.

— Ciekawe. Och tak, tak, bardzo ciekawe — powiedziała bogata wdowa, wydymając wargi. Wierzyła jedynie w te baśnie, w których bohater przynosił do domu góry złota.

— Proszę wybaczyć mojej żonie. — Vidal uwolnił rękę i podniósł kieliszek. — Myśli, że te głupie historie są dla kogoś interesujące.

Carmen Cardoso w zakłopotaniu spuściła wzrok na swój talerz. Istniały również baśnie opisujące takie kolacje jak ta. Może córka powinna ją ostrzec, że pomyliła księcia na białym koniu z Sinobrodym?

Mercedes po powrocie do sali zobaczyła zgarbione ramiona Carmen, cieszyła się jednak, że może jej wyszeptać do ucha dobrą wiadomość.

— Proszę mi wybaczyć — wymamrotała Carmen Cardoso. — Moja córka, ona jest... — Nie dokończyła zdania.

Nikt na nią nie patrzył, kiedy Mercedes odsuwała od stołu wózek.

— Czy mówiłem panu, capitán, że znałem pańskiego ojca? — zapytał generał, gdy Mercedes pchała wózek z Carmen w stronę drzwi. — Obaj walczyliśmy w Maroku. Znałem go tylko przez krótki czas, ale wywarł na mnie wielkie wrażenie.

— Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

Mercedes usłyszała w głosie Vidala, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

— Jego żołnierze mawiali — kontynuował generał — że kiedy generał Vidal umierał na polu bitwy, rozbił swój srebrny zegarek kieszonkowy, chciał mieć bowiem pewność, że jego syn będzie znać dokładną godzinę i minutę jego śmierci. I aby mu pokazać, jak ginie bohater.

— Bzdura! — obruszył się kapitan. — Mój ojciec nigdy nie miał takiego zegarka.

Mercedes chciała wyciągnąć z jego kurty od munduru zegarek kieszonkowy i udowodnić wszystkim, jak bardzo ten człowiek jest kłamliwy i zły. Ale tylko wypchnęła wózek z pokoju. Dziewczynka czekała.

Wcześniej Mercedes zostawiła Ofelię na górze, każąc jej wziąć gorącą kąpiel. Chciała też doprać sukienkę, lecz ta niestety została bezpowrotnie zniszczona.

*

Kiedy Mercedes wprowadziła wózek do łazienki, Ofelia starała się unikać wzroku matki. Na twarzy dziewczynki pozostały jednak resztki dumy i buntowniczość, której przedtem u niej nie widziała.

Podobało jej się to znacznie bardziej niż smutek, który ciągnął się za Ofelią jak cień, odkąd przybyła do młyna. Lecz matka dziewczynki myślała inaczej. Podniosła zniszczoną sukienkę z kafłowej podłogi i przesunęła dłonią po zaplamionej tkaninie.

— Swoim postępowaniem sprawiłaś mi przykrość, Ofelio.

Mercedes zostawiła je same, a Ofelia wsunęła się głębiej pod gorącą wodę. Ciągłe czuła stonogi wspinające się po jej ramionach i nogach, ale wypełniła zadanie powierzone jej przez fauna. Nic innego się nie liczyło, nawet zdenerwowanie matki.

— Gdy skończysz kąpiel, Ofelio, pójdziesz do łóżka bez kolacji — usłyszała jej głos. — Słuchasz mnie? Czasami myślę, że nigdy nie nauczysz się odpowiednio zachowywać.

Ofelia nadal na nią nie patrzyła. Piana na wodzie zaprezentowała jej odbicie w tysiącu błyszczących pęcherzyków. Księżniczka Moanna.

— Rozczarowujesz mnie, Ofelio. I swojego ojca również.

Niełatwo było manewrować wózkiem na kaflach. Jednak kiedy Ofelia podniosła głowę, matka była już przy drzwiach.

Jej ojciec... Dziewczynka się uśmiechnęła. Jej ojcem był krawiec. I król.

Cichy trzepot skrzydełek usłyszała dokładnie w chwili, gdy matka zamykała za sobą drzwi łazienki. Na brzegu wanny wylądowała wróżka. Znowu była w swoim owadzim ciele.

— Mam klucz! — szepnęła dziewczynka. — Zabierz mnie do labiryntu!





Młyn, który utracił swój staw

Dawno, dawno temu, gdy magia nie skrywała się przed ludzkimi oczami tak dokładnie jak dzisiaj, w środku lasu stał młyn, o którym mawiano, że jest przeklęty, bo żołnierze pewnego szlachcica utopili w młyńskim stawie wiedźmę.

Co roku w dzień śmierci wiedźmy mąka, którą młyn wytwarzał, robiła się czarna, a ponieważ nawet koty, które trzymały myszy z dala od zboża rolników, nie podchodziły wtedy blisko, młynarz Javier wyrzucał czarną mąkę do lasu. Następnego ranka mąka znikła, jakby pochłonęły ją swymi korzeniami drzewa.

Trwało to siedem lat. Wiedźma zginęła w mglisty listopadowy dzień, a gdy nadszedł świt w ósmą rocznicę jej śmierci, ziemia za młynem była biała od świeżo spadłego śniegu. Mąka, którą młynarz wyrzucił na zamarzniete leśne poszycie, wydawała się jeszcze czarniejsza niż przed rokiem, tak czarna, że wyglądała, jakby sama noc spadła z nieba, robiąc miejsce dla dnia.

Jak zawsze, nazajutrz rano mąki nie było, lecz tym razem jej resztki znaczyły ciemne ślady stóp. Młynarz poszedł za nimi i dotarł aż do młyńskiego stawu. Cienka warstwa lodu pokrywająca powierzchnię była popękana, a czarna mąka unosiła się na wodzie jak popiół.

Serce młynarza wypełnił strach zimny jak popękany lód. Zawracał w takim pośpiechu, że niemal potykał się o własne nogi. Przed ośmioma laty był świadkiem utopienia czarownicy Rocio. Po odejściu żołnierzy szlachcica próbował wówczas wyciągnąć jej martwe ciało na brzeg, ale porastające staw wodorosty, tak gęste jak

zielone włosy wodnika, mocno trzymały w swym uścisku zwłoki kobiety. Zresztą gdy młynarz wreszcie dopłynął do ciała łodzi, już zaczęło opadać na dno.

„A co, jeśli ona wciąż tam jest?” — zapytywał teraz sam siebie. A co, jeśli przyjdzie zemścić się na nim za to, że nie uratował jej z rąk morderców, chociaż znał Rocio od dzieciństwa? Wiedźma zresztą kiedyś uleczyła jego żonę ze strasznej gorączki.

Podszedł znów bliżej do wody, chcąc przynajmniej rzucić okiem na stworzenie, którego ślady stóp, czarne od przekłętej mąki, wyglądały tak ludzko.

„Bądź ostrożny, Javierze! — szeptały drzewa nagimi gałęziami. — To, co tam jest, zrodziło się z morderstwa i okrucieństwa. Grzechy ludzi nie zostają zapomniane. Wydają za to trujące owoce”.

Ale ludzie nie słyszą tego, co mówią drzewa. Zapomnieli, jak się słucha dzikich istot. Dlatego młynarz zrobił kolejny krok w stronę stawu. Pod lodem coś się poruszyło, wprawiając w wir śpiące liście wodnych lilii. Było tak srebrzyste jak księżyc, pod którym Rocio często tańczyła.

Twarz wyłaniająca się z wody okazała się obliczem kobiety, tak pięknym, że młynarz zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Jej oczy przypominały złote oczy ropuchy, a ręce wyciągające się ku mężczyźnie miały błony pomiędzy palcami. Młynarzowi to nie przeszkadzało. Chciał dotknąć tych rąk bardziej, niż kiedykolwiek pragnął objąć żonę. Wszedł zatem do wody i przytulił połyskujące ciało, mimo iż zdawało się w jego ramionach kawałkiem lodu. Wargi istoty były pokryte czarną mąką, a kiedy młynarz je pocałował, poczuł, że jego serce staje się równie srebrzyste i zimne, nie potrafił jej jednak puścić i razem, połączeni w straszliwym uścisku, zatonęli w stawie.

Kiedy mąż tego dnia nie wrócił do domu, żona młynarza poszła go szukać. Podążyła za dwoma rzędami śladów stóp, z których jeden należał do męża, do lasu i nad staw, gdzie stanęła nad ciemną wodą i wołała jego imię. Kiedy nie uzyskała odpowiedzi, pobiegła do wioski, w której mieszkali jej rodzice, i krzyczała na rynku, że czarownica ze stawu porwała młynarza.

Wkrótce wściekły tłum ruszył nad staw z sieciami, widłami i pałkami. Ludzie zatrzymali się przy brzegu, tam, gdzie pod wodą znikają ślady młynarza. W głębinach

stawu coś połyskiwało jak zatopiony srebrny skarb i wieśniacy zapomnieli o łzach żony młynarza. Potrafili myśleć jedynie o srebrze, a gdy nie zdołali go wydostać za pomocą sieci, podpalili swoje pałki oraz każdą gałąź, jaką znaleźli na zamarznętej ziemi, i kładli je na powierzchni stawu tak długo, aż pokrył się płomieniami i woda zamieniła się w biały dym.

Wieśniacy podtrzymywali ogień, póki nie porąbali i nie spalili wszystkich okolicznych drzew i w końcu po stawie pozostały jedynie martwe ryby i pokryte sadzą kamienie. Leżąca wśród nich gruda srebra przypominała dwoje kochanków stopionych w jedno.

Wieśniacy się wycofali, a żona młynarza wrzasnęła i padła na kolana, ponieważ rozpoznała rysy męża w jednej z twarzy znieruchomiałych w pocałunku. Nikt nie odważył się dotknąć srebra, a żona młynarza podążyła do wioski wraz z innymi, by nigdy już w to miejsce nie powrócić.

Od tamtej pory młyn stał opuszczony, bo po co komu młyn wodny bez młyńskiego stawu? Po prawie dziewięćdziesięciu latach do młyna wprowadził się pewien człowiek, który, jak głosiły plotki, był ongiś słynnym zegarmistrzem w wielkim i odległym Madrycie. Psy nowego właściciela przeganiały każdego, kto zbliżył się do młyna. Niektórzy nawet twierdzili, że budowli strzeże stado żarłocznych wilków. Pewnemu kłusownikowi polującemu na króliki raz udało się zajrzeć przez okna, unikając rozszarpania na kawałki, i podczas sprzedaży upolowanych zwierząt poinformował rzeźnika, że nowy właściciel młyna wydobył z martwego stawu srebrną bryłę, przetopił ją i robi z niej zegarki.

14 – Trzymaj klucz

* * *

Serce labiryntu wciąż wyglądało tak samo — od dawna zapomniane miejsce na dnie świata.

Ale tym razem Ofelia z większym wahaniem podchodziła do schodów wiodących w dół. Często łatwiej jest coś odkryć, niż stawiać czoło temu, co się już poznało.

Ściany wzdłuż stopni były pełne zagłębień. Dziewczynka nie zauważyła ich podczas pierwszej wizyty. Wyglądały jak miejsca wotywnie oczekujące na dziękczynne dary dla jakiegoś zapomnianego boga lub zamurowane okna zatopionej wieży. Wszystko w labiryncie mówiło o sprawach zapomnianych... chociaż może wcale takimi nie były. Może po prostu przechowywano je w bezpiecznym miejscu.

Wróżka była wyraźnie podekscytowana powrotem Ofelii. Wirowała i trzepotała wokół niej, jak ktoś, kto cieszy się, że znów jest w domu. Gdy czekały na fauna, Ofelia przyjrzała się bliżej kolumnie. W kamieniu wykuto wizerunek dziewczynki trzymającej dziecko. Nie miała twarzy, czas ją zatarł, ale postacią stojącą za dziewczynką, ze szponiastą dłonią na jej ramieniu, był bez wątpienia faun, który ją chronił, przytrzymywał lub może ciemieżył.

Ofelia właśnie dotykała zwietrzałej twarzy dziecka, kiedy z ciemności wyszedł faun. Wyglądał inaczej. Był młodszy. Silniejszy. Bardziej niebezpieczny.

— Mam klucz — powiadomiła go z dumą, podnosząc przedmiot.

Ale faun tylko kiwnął głową. Dziewczynka była nieco rozzarowana. Tylko tyle po wszystkim, czego doświadczyła, po spotkaniu z gigantyczną ropuchą i uratowaniu drzewa figowego, nie mówiąc o obrażeniu matki? Faun jednak wydawał się znacznie bardziej zaferowany tym, co właśnie jadł. Ofelia nie potrafiła dojrzeć, co to takiego, ale widziała, że pokarm jest krwistoczerwony i surowy, może był to martwy ptak lub gryzoń.

Faun oderwał kęs ostrymi spiczastymi zębami i zrobił w jej stronę kilka tanecznych

kroków.

— To ja! — Wskazał na kolumnę. — A ta dziewczyna to ty.

Ugryzł kolejny kęs swego krwawego posiłku.

— A dziecko?

Zignorował jej pytanie.

— Tak — powiedział. — Odzyskałaś klucz. — Pochylił się do przodu tak, że Ofelia zobaczyła w jego jasnoniebieskich oczach swoje odbicie. — Cieszę się.

Wyprostował się i wyciągnął rękę do wróżki. Wylądowała z wdziękiem na wyciągniętym palcu fauna, a kiedy zachłannie odgryzła kęs jego mięsa, stwór zachichotał z zachwytu.

— Od początku w ciebie wierzyła. I popatrz na nią! Jest szczęśliwa!

Wróżka odfrunęła, faun zaś śledził ją czułym spojrzeniem, niczym ojciec obserwujący swoją psotną latorośl.

— Jest zachwycona, że ci się udało!

Roześmiał się, ale kiedy się odwrócił w jej stronę, Ofelia zobaczyła, że twarz ma poważną.

— Zatrzymaj klucz. Wkrótce będzie ci potrzebny. — Długą ręką wyrysował w mroku ostrzeżenie. Stale akcentował swoje słowa palcami, rozciągając, wskazując, żłobiąc niewidoczne znaki, które zdawały się wyjawiać więcej niż jego język. — I to... — Wręczył dziewczynce kawałek białej kredy. — Jej także będziesz potrzebowała! Pozostały dwa zadania, a księżyc wkrótce znajdzie się w pełni...

Gdy pogłaskał jej twarz szponiastymi palcami, Ofelia nie potrafiła powstrzymać drżenia.

— Bądź cierpliwa, księżniczko — zamruczał, uśmiechając się. — Niedługo wejdziemy do Siedmiu Okrągłych Ogrodów przy twoim pałacu, przejdziemy się krętymi ścieżkami wyłożonymi onyksem i alabastrem.

W jego kocich oczach dostrzegła złośliwość. Nie była pewna, czy miały tę cechę w trakcie pierwszego spotkania, może tak, ale po prostu jej nie zauważyła.

— Skąd mam wiedzieć, że to, co mówisz, jest prawdą?

Faun potrząsnął rogatą głową, jakby głęboko go dotknęła.

— Dlaczego biedny mały faun taki jak ja miałby cię okłamywać?

Prześledził tor niewidzialnej łązy po swoim wżorzystym policzku, ale jego oczy skojarzyły się dziewczynce z przyczajonym, gotowym do skoku kotem.

Ofelia zrobiła krok w tył, serce jej waliło. Nie ze strachu. Nie. Gorzej. Spojrzała na złoty klucz w ręku — czy to był prawdziwy skarb? A może raczej balast? Nagle poczuła, że nie ma nikogo, komu mogłaby zaufać, nikogo na świecie. Matka zdradziła ją, chcąc zadowolić Wilka. I miała uwierzyć, że może zaufać faunowi?

15 – Krew

* * *

Klucz, którym Vidal otworzył stodołę, nie był wcale wykonany ze złota. Ale dla chłopów czekających przed starym budynkiem klucz miał znacznie większą wartość — otwierał drzwi, za którymi krył się prawdziwy skarb. Był wczesny ranek, a oni stali w kolejce zajmującej całe podwórze, wielu z dziećmi. Głód był stałym gościem przy ich stołach, tak regularnym jak członkowie ich rodzin i słowa „chleb”, „sól”, „fasola” lub „ziemniaki” brzmiały dla nich znacznie bardziej magicznie niż wszelkie skarby opisane w baśniach z dzieciństwa.

Vidal wyznaczył do pilnowania drzwi stodoły dwóch żołnierzy, inni zaś zasiedli przy wyniesionym z domu stole i sprawdzali talony.

— Przygotujcie do kontroli karty żywnościowe! — Porucznik Aznar, który wcześniej otrzymał zadanie rozdawania talonów, wypowiedział to zdanie z pewnością siebie, którą może dawać tylko mundur na grzbiecie.

Nie wiedział, jak to jest czekać w kolejce tylko po to, aby napełnić pusty żołądek. Pochodził z rodziny rzeźników, a zmęczone postaci o znużonych twarzach i pochylonych ramionach uosabiały dla niego przedstawicieli jakiegoś gorszego gatunku. Na pewno w żaden sposób nie byli z nim spokrewnieni.

— Pospiesz się! — warknął na starca, wrywając mu talon z wyciągniętej ręki. — Twoje nazwisko. Imię i nazwisko. — Rzeźnik, czyli ojciec porucznika, nigdy nie wyglądał jak ten starzec — wyczerpany, naznaczony przez życie człowiek.

— Narciso Peña Soriano... do usług, panie — powiedział starszy mężczyzna.

Wszyscy byli do ich usług. Wszystkie ich żywoty.

Aznar zamachał dłonią ku stodole.

— Nazwisko — zawołał ponownie i kolejka w milczeniu się poruszyła.

Mercedes wraz z dwiema innymi służącymi przyniosła kosze wypełnione świeżym

chlebem. Porucznik Medem, który przywiózł cały ten skarb do młyna, podniósł z kosza jeden z bochenków.

— Oto nasz codzienny chleb w Hiszpanii generała Franco! — jego głos zagrzmiał po drugiej stronie podwórza. — Był w tym młynie bezpieczny. Czerwoni kłamią, mówiąc, że każemy wam głodować...

Słowa Medema dotarły na górę, do pokoju, który Ofelia dzieliła z matką, budząc dziewczynkę ze snu ciężkiego od rojeń o faunie, ropusze i kluczu, który otworzy... co? Ofelia nie była pewna, czy chce się tego dowiedzieć.

Z dworu wciąż dobiegały zdania.

— ...w zjednoczonej Hiszpanii nie ma ani jednego domu...

Dziewczynka wyslizgnęła się po cichu z łóżka, żeby nie obudzić matki. Dom...

— ...ani jednego domu bez ognia czy chleba!

„Chleb”. Słyszając to słowo, poczuła się głodna. Bardzo głodna. Wysłano ją przecież do łóżka bez kolacji i to po dość wyczerpującej przygodzie.

— ...ani jednego domu bez ognia czy chleba.

Nawet Ofelia wiedziała, że to kłamstwo, choć słowa zostały wypowiedziane z wielkim przekonaniem. W którym momencie dzieci zaczynają sobie zdawać sprawę z tego, że dorośli kłamią?

Czy faun kłamał? W jej snach wyglądał jeszcze bardziej złowrogo. „Skąd mam wiedzieć, że to, co mówisz, jest prawdą?”

Matka jęczała przez sen, a jej twarz lśniła od potu, choć słońce nie ogrzało jeszcze domu. Nie obudziła się, kiedy Ofelia na palcach przeszła do łazienki po zakurzonych, nakrapianych porannym światłem deskach podłogowych, ale dziewczynka i tak zamknęła drzwi, zanim wyjęła z grzejnika książkę od fauna. Jej strony znów były białe jak śnieg.

— No dalej! — wyszeptwała. — Co się wydarzy? Pokaż mi!

I książka jej posłuchała.

Na lewej stronicy pojawiła się plamka czerwieni. Po chwili druga plamka zaczęła się sączyć na karcie po prawej. Obie rozprzestrzeniały się tak szybko jak atrament na mokrym papierze. Czerwień. Czerwień pokrywała białe strony, aż wypełniła szczelinę między nimi i zaczęła kapać na białe stopy Ofelii.

Dziewczynka od razu zrozumiała, co to znaczy, choć nie umiała powiedzieć, skąd wie. Podniosła wzrok znad książki i spojrzała na drzwi, za którymi spała matka.

Stłumiony krzyk wymknął się z czerwieniejących stron.

Ofelia upuściła książkę i rzuciła się do drzwi. Pchnęła je i zobaczyła matkę, która — ciężko oparta o ramę łóżka — przyciskała sobie dłoń do brzucha. Jej biała koszula nocna była przesiąknięta krwią.

— O-Ofelio — wyjąkała ochryple, podnosząc błagalnie rękę. Palce miała czerwone od krwi. — Pomóż mi!

Potem upadła na podłogę.

*

Vidal stał na podwórzu, sprawdzając godzinę i ukrywając pod czarną skórzaną rękawiczką zegarek z popękany szkielek. Ależ dużo czasu zajmowało nakarmienie tych wieśniaków. Tyle czasu zmarnowane tylko dlatego, że nie można im było ufać. Postawiłby swój mundur na to, że wielu z nich i tak zanieśie otrzymane produkty do lasu, żeby nakarmić krewnego lub kochanka, który dołączył do zdrajców. Jakże żałował, że nie może ich wszystkich złamać i zabić, tak jak wcześniej tych dwóch kłusowników.

— *Capitán!*

Odwrócił się.

Czy ta dziewczyna kompletnie postradała zmysły? Przybiegła do niego w koszuli nocnej. Zwykle wszak ukrywała się przed nim jak stworzenie, które wie, że najlepiej zrobi, pozostając niewidoczne. Jej matka nie chciała słuchać, kiedy dawno temu zasugerował, że dziewczyna mogłaby zostać z dziadkami. Ta córka była jej słabością i jedyną sprawą, o którą Carmen ośmielała się z nim walczyć, ale nie miał zamiaru wychowywać dziecka nieżyjącego krawca.

Podchodził do dziewczyny krokiem sztywnym z gniewu, ale kiedy się przed nią zatrzymał, zrozumiał, że nie on wywołał przerażenie na jej twarzy.

— Chodź szybko! — zawołała. — Proszę!

Dopiero wtedy zauważył krew na jej koszuli. Najwyraźniej nie była to krew

dziewczyny. Poczł strach, strach i złość. Ta głupia kobieta. Zawiedzie jego i dziecko, które jej dał. Krzyknął na Serrana i kazał mu wezwać lekarza.

*

Niebo po raz kolejny się otworzyło i zmoczyło świat deszczem. Pogoda idealnie pasowała do nastroju doktora Ferreiro idącego przez podwórze, aby poinformować o stanie pacjentki.

Znalazł Vidala przed stodołą, gdzie ten stał, wpatrując się w namioty i ciężarówki, które sprowadził do młyna. Dla doktora Ferreiro wyglądały jak porzucone zabawki pod górującymi nad nimi jodłami. Lekarz włożył marynarkę. Miał na rękawach trochę krwi.

— Pańska żona potrzebuje nieprzerwanego odpoczynku. Musi być na lekach uspokajających przez większość czasu, aż do porodu. — „Nigdy nie powinieneś jej tutaj przywozić — dodał w myślach. — A jej córka nigdy nie powinna jej zobaczyć w takim stanie”. Zamiast tego jednak powiedział: — Dziewczynka powinna spać gdzie indziej. Zostanę tutaj, dopóki dziecko się nie urodzi.

Vidal wciąż się gapił na podwórze.

— Niech pan ją wyleczy — polecił, nie odrywając oczu od deszczu. — Proszę użyć wszystkiego, czego trzeba. Niezależnie od kosztów.

Kiedy w końcu kapitan odwrócił się do doktora Ferreiro, twarz miał zeszywniałą z wściekłości.

Wściekłości... na co? — zastanawiał się lekarz. Na życie? Na siebie za sprowadzenie tutaj ciężarnej żony? Nie. Człowiek taki jak Vidal nigdy nie obwinał siebie. Prawdopodobnie był zły na matkę swego przyszłego dziecka za to, że okazała się taka słaba.

— Niech pan ją wyleczy — powtórzył Vidal. — Ma być zdrowa.

To był rozkaz. I groźba.

16 – Kołysanka

* * *

Pokój na poddaszu, który Mercedes kazała służącym przekształcić w sypialnię Ofelii, miał w ścianie okrągłe okno przypominające twarz księżycy w pełni. Ale sam pokój był jeszcze smutniejszy niż ten, który Ofelia dzieliła wcześniej z matką. Wszystkie narożniki tego pomieszczenia wypełniały pudła i kartony oraz meble zakryte upiornymi pokrowcami, pożółkłymi z powodu upływu czasu i zaniedbania.

— Zjesz kolację? — zapytała Mercedes.

— Nie, dziękuję. — Dziewczynka pokręciła głową.

Mercedes sprowadziła kolejną służącą, która przyniosła świeżą pościel i poduszki. Na tle ciemnego drewna ram łóżka białe tkaniny wyglądały jak śnieg. Wszystkie meble w młynie były wykonane z drewna i przez chwilę Ofelia wyobraziła sobie, jak drzewa wokół budynku powstają i burzą ściany, mszcząc się za braci, których wycięto, by skonstruować łóżka, stoły i krzesła.

— Nic nie jadłaś — zauważyła Mercedes.

Jak mogła jeść? Przepęłniał ją smutek. Ofelia w milczeniu umieściła swoje książki na stoliku przy łóżku i usiadła na kocu. Białym. Wszystko, co białe, będzie jej się od tej pory kojarzyło z czerwienią.

— Nie martw się. — Kobieta sięgnęła nad łóżko i dotknęła jej ramienia. — Twoja matka wkrótce poczuje się lepiej. Zobaczysz. Urodzenie dziecka to skomplikowana sprawa.

— A więc nigdy nie będę miała dzieci.

Ofelia nie rozplakała się, odkąd znalazła matkę zalaną krwią, teraz jednak łagodny głos Mercedes sprawił, że łzy wreszcie potoczyły się po jej policzkach tak gęste, jak krew spływająca ze stron książki od fauna. Dlaczego książka nie ostrzegła jej na czas? I po co pokazywała coś, co i tak się działo? „Ponieważ ta książka jest okrutna —

szepnęło coś w głowie dziewczynki — tak okrutna jak jej przebiegły właściciel. Nawet wróżka jest okrutna”.

Tak, właśnie tak. Ofelia zadrżała, kiedy przypomniała sobie wróżkę wbijającą zęby w krwawy posiłek fauna. Wróżki w jej książkach nie miały takich zębów, prawda?

Mercedes usiadła obok Ofelii i głaskała dziewczynkę po włosach. Były czarne jak włosy jej matki. Czarny jak węgiel, biały jak śnieg, czerwony jak krew...

— Pomagasz ludziom z lasu, prawda? — spytała dziewczynka szeptem.

Mercedes zamarła.

— Mówiłaś komuś?

Ofelia zobaczyła, że kobieta nie ma odwagi na nią spojrzeć.

— Nie. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

Oparła głowę na ramieniu Mercedes i zamknęła oczy. Chciała się ukryć w jej ramionach przed światem, przed krwią, przed Wilkiem, przed faunem. Nie było Podziemnego Królestwa, do którego mogłaby uciec. Wszystko to kłamstwa. Istniał tylko jeden świat i był potwornie mroczny.

Mercedes nie przywykła do bliskich kontaktów z dziećmi, chociaż nadal była na tyle młoda, że mogła mieć własne potomstwo.

Kiedy w końcu objęła dziewczynkę, przeraziła ją czułość wypełniająca jej serce.

Słabość w tym świecie była niebezpieczna.

— A ja nie chcę, żeby coś złego stało się tobie! — odpowiedziała szeptem, tuląc w ramionach Ofelię, chociaż coś nadal ją ostrzegało przed tkliwością, której ulegała. Kiedyś pragnęła mieć córkę, lecz wojna kazała jej o tym zapomnieć. Kazała jej zapomnieć o wielu rzeczach.

— Znasz jakąś kołysankę? — wymamrotała dziewczynka.

Czy znała? Tak...

— Tylko jedną. Ale nie pamiętam słów.

— Nie szkodzi. I tak chcę ją usłyszeć. — Ofelia spojrzała na nią błagalnie.

Mercedes zamknęła oczy i kołysząc delikatnie w ramionach dziecko innej kobiety, zaczęła nucić kołysankę, którą matka śpiewała kiedyś jej i bratu. Melodia bez słów przepełniła obie słodyczą miłości, tak jak pierwsza piosenka śpiewana na ziemi dla

pierwszego urodzonego dziecka. Mercedes śpiewała o miłości i bólu, który ona przynosi. I o sile, nawet w najgłębszych ciemnościach.

Nuciła tę kołysankę zarówno dla dziewczynki, jak i dla siebie.

Aby uśpić strach.

Ale spokój nie miał trwać zbyt długo.

17 – Brat i siostra

* * *

Mercedes została z Ofelią tak długo, aż dziewczynka zapadła w sen — w końcu, mimo obaw o matkę, mimo lęku, który wypełnił stary młyn jak pył czarnej mąki.

Kiedy kobieta bezgłośnie schodziła po schodach, w całym domu panowała cisza. Spali wszyscy z wyjątkiem wartowników na zewnątrz. Ci jednak obserwowali las i nie widzieli, jak Mercedes klęka na podłodze w kuchni, ściera piasek pokrywający kafle i unosi jeden z nich. Plik listów, które pod nim ukryła, ciągle tam był, podobnie jak pojemnik wypełniony przedmiotami odłożonymi dla ukrywających się w lesie mężczyzn. Wkładała właśnie wszystko do torby, gdy usłyszała kroki na schodach i znieruchomiała.

— To tylko ja, Mercedes — szepnął doktor Ferreiro.

Schodził po schodach powoli, jakby nie miał ochoty zrobić w końcu tego, co wraz z Mercedes planowali od kilku dni.

— Jest pan gotów?

„Proszę, powiedz, że tak — błagała wzrokiem kobieta. — Nie dam rady zrobić tego sama”.

Ferreiro skinął głową.

*

Mercedes prowadziła. Przeszła przez strumyk, który ukryje ich ślady. Światło księżyca sączyło się przez drzewa i zmieniało wodę w roztopione srebro.

— To czyste szaleństwo — mruknął Ferreiro, kiedy zimna woda wypełniła mu buty. — Jeśli on się dowie, co robimy, wszystkich nas pozabija. — Oboje oczywiście wiedzieli, o kim doktor mówi. — Ale przypuszczam, że o tym myślałaś?

Czy myślała w ogóle o czymkolwiek innym?

Wysłuchała się w noc.

— Aż tak bardzo się pan go boi?

Ferreiro nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Mercedes była taka piękna. A odwaga była królewskim płaszczem na jej ramionach.

— Nie. To nie strach — odpowiedział zgodnie z prawdą. — Przynajmniej nie o siebie... — Umilkł w chwili, gdy kobieta położyła ostrzegawczo palec na ustach.

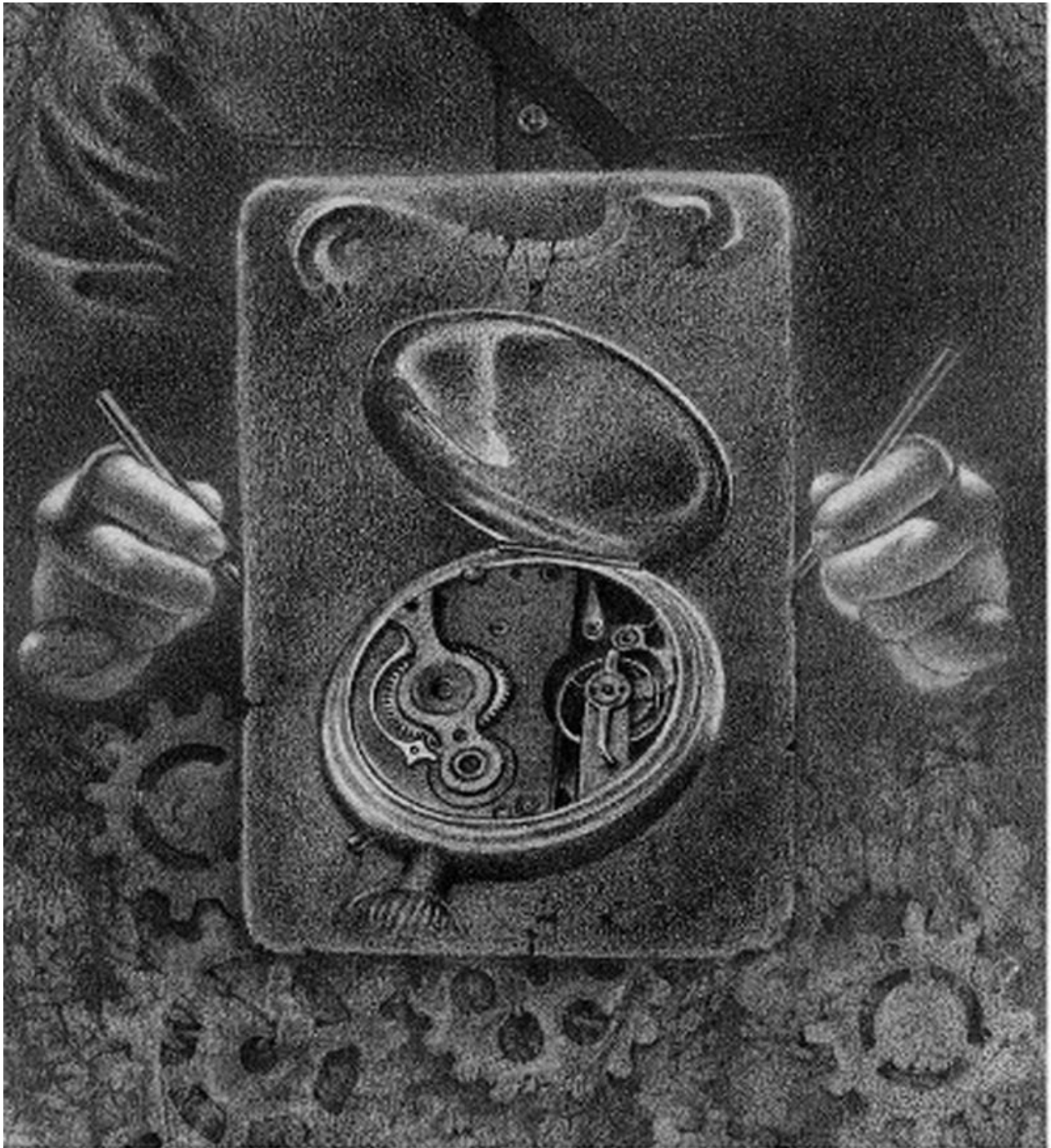
Coś poruszało się w lesie.

Mercedes odetchnęła z ulgą, kiedy zza drzewa wyłonił się młody człowiek, zrobił to tak cicho jak cienie, które rosnący księżyc malował na porośniętej mchem ziemi. Ciemna czapka zakrywała jego czarne włosy, a ubranie zdradzało, że bez wątpienia już od jakiegoś czasu przebywa w lesie. Kobieta nie odrywała od niego oczu, gdy zmierzał ku nim przez paprocie. Brat był od niej młodszy tylko o kilka lat, chociaż kiedy byli dziećmi, te lata miały duże znaczenie.

— Pedro. — Czule dotknęła ukochanej twarzy mężczyzny, który się przed nią zatrzymał. Stale zapominała, że jest taki wysoki.

Brat długo ją ścisnął. Kiedyś potrzebował jej ochrony tylko przed twardą ręką matki albo przed własną lekkomyślnością, lecz teraz czasy były znacznie bardziej niebezpieczne. Czasami Pedro żałował, że troskliwa starsza siostra nie jest mniej odważna i że nie dba o siebie. Powiedział jej nawet, że powinna przestać mu pomagać, ale Mercedes nie obchodziło, co inni każą jej robić lub czego jej zakazują. Ustanawiała w życiu własne zasady. Zawsze taka była, nawet w dzieciństwie. A on bardzo ją kochał.





Zegarmistrz

Dawno, dawno temu, kiedy większość ludzi mierzyła swoje dni za pomocą ruchu słońca, w Madrycie rządził król, który miał obsesję na punkcie czasu i czasomierzy. Zamawiał klepsydry, zegary, zegarki i zegary słoneczne od słynnych zegarmistrzów z całego świata, płacąc za te delikatne urządzenia pieniędzmi uzyskanymi ze

sprzedaży własnych poddanych innym władcom — na żołnierzy lub tanich robotników rolnych. Sale jego pałacu wypełniały odgłosy piasku przesypującego się w ogromnych klepsydrach i nawet zegary słoneczne w królewskich ogrodach odliczały godziny cieniem, który rzucały. Miał zegary imitujące jego ulubione ptaki i inne, oznajmiające pełną godzinę pojawieniem się miniaturowych rycerzy i smoków. Nawet w najbardziej odległych zakątkach świata wszyscy nazywali pałac w Madrycie El Palacio del Tiempo, Pałacem Czasu.

Piękna żona króla, Olvido, urodziła mu syna i córkę, ale nie wolno im było rozrabiać ani śmiać się jak inne dzieci. Dni księcia i księżniczki odmierzali i wyznaczały zegary, które dał im król. To czasomierze ze srebra i złota mówiły dzieciom, kiedy mają wstać, jeść, bawić się i spać.

Pewnego dnia ulubiony trefniś króla ośmielił się zażartować, że jego pan oszalał na punkcie czasomierzy, ponieważ boi się nadejścia Śmierci i ma nadzieję, że mierząc czas, zdoła utrzymać ją z dala od siebie.

Król łatwo nie wybaczał. Następnego dnia żołnierze przykuli trefnisia do zębanych kół największego zegara, a król bez cienia współczucia patrzył, jak koła łamią każdą kość dawnego ulubieńca. Później, chociaż słudzy bardzo się starali, nie udało im się zmyć całej krwi z zębanych kół i odtąd ów czasomierz nazywano Czerwonym Zegarem, ludzie zaś szeptali, że jego tykanie powtarza imię martwego trefnisia.

Minęły lata. Księżę i księżniczka dorośli, a kolekcji zegarów zazdrozczono królowi na całym świecie. Pewnego dnia — a zbliżała się dziesiąta rocznica egzekucji trefnisia — w pałacu pojawił się dar od nieznanego nadawcy. W pudełku ze szkła leżał piękny zegarek kieszonkowy. Jego srebrna koperta była otwarta, ukazując inicjały króla wygrawerowane pod szkiełkiem i dwie cienkie srebrne tarcze ze wskazówkami odmierzającymi minuty. Czasomierz tykał niezwykle subtelnie.

Kiedy król wyjął zegarek z pudełka, znalazł pod spodem starannie złożoną i zabezpieczoną karteczkę. Zbladł, przeczytawszy wiadomość napisaną pewnym i pięknym charakterem pisma:

Wasza Wysokość,

Kiedy ten zegarek przestanie odmierzać czas, umrzesz. Przyrząd ten zna dokładną

godzinę, minutę i sekundę, ponieważ wewnątrz zamknąłem twoją śmierć. Nie staraj się złamać blokady. W ten sposób przyspieszyłbyś jedynie swój koniec.

Zegarmistrz

Król utkwiał wzrok w zegarku. Nagle odniósł wrażenie, że wskazówki przeszywają mu serce wraz z każdą sekundą, którą odliczały. Nie był w stanie się ruszyć. Nie mógł już jeść, pić, spać. Włosy i broda posiwiały mu w ciągu kilku dni. A on wciąż tylko wpatrywał się w zegarek.

Jego syn, książę, rozesłał królewskich żołnierzy po okolicy z rozkazem odszukania posłańca, który dostarczył śmiercionośny podarek.

Znaleźli go w pobliskiej wiosce, lecz człowiek ten nie znał nazwiska zegarmistrza. Zaklinał się, że otrzymał pudełko w opuszczonym młynie w starym lesie, ale kiedy zaprowadził tam żołnierzy, zastali jedynie opuszczony warsztat. Półki i stoły były puste — z wyjątkiem małej srebrnej figurki tańczącego trefnisia. Stała ona w misce pełnej krwi. Żołnierze pospieszyli z powrotem do zamku, chcąc zameldować o znalezisku. Niestety, spóźnili się. Król był martwy, nieruchomo siedząc na tronie i w zimnej ręce zaciskając kieszonkowy zegarek. Wskazówki zatrzymały się dokładnie w godzinie, minucie i sekundzie śmierci zamordowanego trefnisia.

Dopiero wtedy książę sobie przypomniał, że trefniś miał syna.

18 – Drugie zadanie

* * *

Tym razem Ofelii nie obudziły szumiące w ciemnościach skrzydełka wróżki. Przez chwilę dźwięk, który wdzierał się w senne marzenia dziewczynki, sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy do jej pokoju nie wszedł las. Ale kiedy usiadła, u stóp łóżka stał już faun, a jego kończyny trzeszczały jak gałęzie starego drzewa na wietrze.

— Nie wykonałaś jeszcze następnego zadania — warknął.

Znowu prezentował się inaczej. Silniejszy. Młodszy... Tym razem — z kocimi oczami, idealnie zaokrąglonymi uszami i jasnożółtymi włosami, które wyglądały bardziej jak grzywa — przypominał dziewczynce zdenerwowanego lwa. Lwem, kozłem, człowiekiem, był nimi wszystkimi i żadnym z nich. Był... po prostu faunem.

— Nie mogłam! — broniła się. — Moja mama jest chora! Bardzo chora!

— To nie usprawiedliwia zaniedbania! — warknął faun, wyrażając rękami swój gniew. — No cóż... — dodał po chwili. — Teraz ci wybaczę. I przyniosłem coś, co pomoże twojej matce.

Blady, pokryty guzami korzeń, który faun trzymał w ręce, był większy niż pięść i — jak się Ofelii wydawało — rozkładał na boki poskręcane ręce i nogi. Niczym rodzące się dziecko zamrożone podczas krzyku.

— To korzeń mandragory — wyjaśnił faun, wręczając dziewczynce dziwo. — Roślina, której marzyło się zostać człowiekiem. Umieść ten korzeń pod łóżkiem matki w misce świeżego mleka i każdego ranka nakarm go dwiema kroplami krwi.

Ofelii nie podobał się ani zapach korzenia, ani jego osobliwie ludzki kształt. Przypominał niemowlę z wielkimi ustami, ale bez dłoni czy stóp.

— No dobrze! Żadnej dalszej zwłoki. Nie marnuj już czasu! — Faun klasnął w dłonie. — Księżyc niedługo znajdzie się w pełni. Ach, tak. — Zdjął drewnianą

torbę. — Prawie bym zapomniał! Będziesz potrzebowała moich ulubienic, żeby cię poprowadziły.

Kiedy faun położył torbę na kocu, Ofelia usłyszała wydobywające się ze środka świergotanie wrózek.

— Tak. Zmierzasz do bardzo niebezpiecznego miejsca. — Faun uniósł ostrzegawczo palec, a zmarszczki na jego czole poruszyły się jak wir w bezdennej rzece. — O wiele bardziej niebezpiecznego niż ostatnio, więc uważaj!

Przez chwilę wydawał się szczerze o nią martwić.

— Istota, która śpi w tamtym miejscu... — Pokręcił rogowym łbem i z odrazą zmarszczył brwi. — To nie jest człowiek, chociaż może tak wyglądać. Jest bardzo stara, przebiegła, okrutna... I bardzo głodna.

Nagle w ręce fauna pojawiła się duża klepsydra. Rzucił ją na łóżko Ofelii.

— Masz. Jej również będziesz potrzebowała. Znajdziesz się na wystawnym bankiecie, lecz niczego nie jedz ani nie pij. Niczego! — Tym razem obie ręce wyrysowały w ciemnościach nocy znak ostrzegawczy. — Absolutnie niczego!

Dziewczynka spojrzała na przedmioty leżące na kocu: korzeń mandragory, torba, klepsydra. Trzy prezenty. Bohaterowie baśni często takie otrzymywali. I zawsze okazywały się pomocne — o ile ktoś ich nie zgubił lub nie użył w niewłaściwy sposób.

— Ab-so-lut-nie ni-cze-go! — powtórzył faun i jego szponiaste palce znów przeszyły noc. — Będzie od tego zależało twoje życie.

Lecz zanim Ofelia zdążyła go poprosić o bardziej szczegółowe wyjaśnienia, zniknął.

19 – Jaskinia w lesie

* * *

Partyzanci znaleźli schronienie w jaskini odległej od młyna o pół godziny drogi pieszo. Drzewa dobrze ją skrywały i było wystarczająco dużo miejsca dla kilkunastu ludzi i ich dobytku: kilku tobołków z obszarpanymi ubraniami, sterty podniszczonych książek i koców zbyt cienkich, by chroniły przed chłodem — pozostałości po życiu, z którego ci mężczyźni zrezygnowali, ponieważ nie potrafili się zgodzić na maszerujące oficerki i „czystą” Hiszpanię dyktatora Franco. Wybierając wolność, trzeba czasem zapłacić wysoką cenę.

— Przyniosłam trochę orujo. — Mercedes wyjęła z torby butelkę ulubionego trunku Vidala. — Jest też tytoń i ser. I poczta.

Mężczyźni, którzy dostali listy, drżącymi rękami odebrali koperty. Gdy wchodzili w głąb jaskini, gdzie przeczytają, co napisali ich bliscy, niektórzy tęsknie wciągali zapach sera ukradzionego przez Mercedes. Woń przeniosła ich z powrotem do lepszych czasów, kiedy produkowali ser z mleka własnych kóz, a wolność nie była luksusem, za który trzeba zapłacić strachem i niedolą.

Pacjent, do którego Mercedes przyprowadziła doktora Ferreiro, leżał na starej pryczy i czytał postrzępioną książkę; głowę oparł na śpiworze. Pozostali nazywali go Francuzikiem, a najcenniejsze, co udało mu się uratować z własnych rzeczy, były okulary. Mężczyzna nie podniósł głowy znad książki, kiedy doktor pochylił się nad jego obandażowaną nogą.

— Jak twoim zdaniem wygląda? — zapytał lekarza pacjent. — Stracę ją, prawda?

Doktor Ferreiro zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

— Zobaczmy...

Lekarz czerpał pociechę ze swojego zawodu w tych mrocznych czasach: lubił uzdrawiać, podczas gdy większość osób zajmowała się niszczeniem, ale nawet uzdrawianie stało się zadaniem śmiertelnie niebezpiecznym. Człowiek, którego

przyszedł leczyć, sam się skazał na karę śmierci, ponieważ dołączył do ludzi w lesie, a Ferreiro wiedział, że i jemu za pomoc partyzantom grozi taki sam wyrok.

Zanim zdjął zakrwawiony bandaż, przez chwilę się wahał. Nawet po tylu latach nie potrafił się przyzwyczać, że często, chcąc pomóc, musi zadać ból. Gdy bandaż odpadł, Francuzik zadrżał, starając się stłumić jęk, a Ferreiro zadał sobie pytanie, ilu z tych partyzantów żałuje, że przyłączyło się do walki, która coraz bardziej wyglądała na sprawę beznadziejną.

Mercedes przyniosła gazetę, więc przyjaciel Pedra, Tarta, dostarczył wszystkim nieco rozrywki, czytając ją na głos. Nikt nie wiedział, dlaczego Tarta nie potrafił wymawiać większości słów, nie rozbijając ich przy tym na sylaby. Ferreiro wiedział z doświadczenia, że jąkanie świadczy o posiadaniu skóry zbyt cienkiej, by ochroniła przed atakiem mrocznego świata. Osoby delikatne i wrażliwe zaczynają się jąkać, gdy nie mogą znieść zła, które widzą i czują. Tarta nadal wyglądał jak chłopiec, minę zawsze miał nieco melancholijną, a na świat patrzył ciemnymi oczami z podziwem i zdumieniem.

— „Oddziały brytyjskie i ka-ka-kanadyjskie wylądowały na małej plaży w północnej Fra-Fra...”

— Francji, idioto — warknął jeden z mężczyzn i chwycił gazetę, ukrywając za okrucieństwem i gniewem swoje obawy związane z tymi nowinami.

— „Ponad sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy daje nam nadzieję” — czytał.

Nadzieja... Ferreiro spojrział na pogruchotaną nogę Francuzika. Kula narobiła potężnych szkód.

Rany od kul były nazbyt znajomym widokiem dla doktora, ale ten postrzał wyglądał strasznie. Na szczęście starszy mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

„Starszy mężczyzna?” — zadrwił w myślach lekarz. Francuzik był prawdopodobnie w jego wieku.

— „Pod dowództwem generała Dwighta D. Eisenhowera...”

Gdy Ferreiro dotknął nogi rannego, ten wstrzymał oddech.

— Jest tak źle, jak myślę? — spytał.

— Słuchaj, Francuzik... — odpowiedział stonowanym ze współczucia głosem.

Zdjął okulary, próbując choć przez chwilę nie widzieć tak wyraźnie prawdy. — ...Nie ma sposobu na ocalenie tej nogi.

Jaskinię wypełniła kompletna cisza. I strach rannego mężczyzny.

Pozostali mężczyźni otoczyli Francuzika, podczas gdy Ferreiro otwierał torbę. Przynajmniej miał narzędzia — dzięki temu, że udzielał pomocy medycznej również żołnierzom, którzy postrzelili Francuzika. Ale nie miał niestety środków znieczulających.

Mercedes kazała rannemu wypić pół butelki likieru Vidala; niewielka pociecha dla człowieka, któremu za chwilę odpiłują nogę.

— Zrobię to najszybciej, jak będę mógł, z jak najmniejszą liczbą cięć. — Ferreiro żałował, że nie może złożyć mniej żalosnej obietnicy.

Francuzik skinął głową i chwycił Mercedes za rękę. Choć nie była matką, grała tę rolę już drugi raz tej nocy — najpierw wobec Ofelii, teraz wobec mężczyzny, którego ledwie знаła. Matka, siostra, żona... Była jedyną kobietą, jaką partyzanci widzieli od dłuższego czasu, a dla niektórych grała wszystkie te role naraz. Gdy Ferreiro przyłożył piłę do opuchniętej nogi Francuzika, tak jak większość jego towarzyszy, zamknęła oczy.

— Chwileczkę, doktorze! Tylko chwileczkę.

Ranny jeszcze raz spojrzął na swoją nogę. Jakiś czas temu postanowił walczyć przeciwko mężczyznom w oficerkach i z powodu swego wyboru zostanie kaleką. Ferreiro zastanawiał się, co teraz tamten myśli o swojej decyzji. Francuzik wziął głęboki wdech, a potem mocno zacisnął usta, jakby dzięki temu zamierzał zatrzymać w środku krzyki... krzyki, rozpacz, strach... Potem znowu pokiwał głową.

Tym razem to Ferreiro musiał złapać oddech, zbierając siły do rzezi, której miał się dopuścić. Czasami w tym mrocznym świecie nawet uzdrowiciele zmieniają się w rzeźników.

20 – Błady Mężczyzna

* * *

W swoim pokoju na poddaszu dziewczynka nie musiała ukrywać księgi od fauna. Trzymała ją na stoliku nocnym, gdzie tomisko już samym rozmiarem wyróżniało się spośród innych książek. Służące współczuły jej, że została wygnana na poddasze — widziała to na ich twarzach, gdy przynosiły jej posiłki. Ona jednak nie miała nic przeciwko temu. Coraz trudniej było spać obok matki — słysząc jej ciężki oddech i odgłosy cierpienia, Ofelia tak bardzo gniewała się na nienarodzonego brata, że czasami, kiedy próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał, nadawała mu twarz jego ojca.

Początkowo ledwo mogła zmusić palce do otwarcia książki. Wciąż nawiedzało ją wspomnienie krwi spływającej ze stronic, jednak pragnienie poznania szczegółów związanych z następnym zadaniem okazało się silniejsze niż lęk. Faun dał jej pierwszą lekcję: czołgając się przez niekończące się tunele ropuchy, odkryła w sobie odwagę. I tym razem nałoży płaszcz, dzięki temu podczas wykonywania zadania będzie nosiła coś ciepłego, co trudniej zniszczyć niż sukienkę, nawet gdy się pobrudzi.

Książka ujawniła swoje tajemnice szybciej niż poprzednio. Jako pierwsza wypełniła się lewa strona, na której cienkie linie ułożyły się w szkieletową postać Błędego Mężczyzny, beznosego i łysego, z otworami zamiast oczu powyżej rozwartych ust. Brązowy atrament wyrysował wróżkę, a następnie drzwi. Podczas gdy wizerunek stawał się coraz bardziej dokładny, Ofelia odczytywała słowa pojawiające się na prawej stronie:

Użyj kredy i wyrysuj drzwi w dowolnym miejscu pomieszczenia.

Kreda. Ofelia sięgnęła do kieszeni płaszcza po kawałek, który wcześniej wręczył jej faun. Przez chwilę się obawiała, że zgubiła kredę, w końcu jednak palce na nią

natrafiły. Obraz w książce ciągle się formował. Pod postacią Błedego Mężczyzny pojawiła się dziewczynka w zielonej sukience i białym fartuszk, w ubraniu tak czystym, jak gdyby Ofelia nigdy nie zniszczyła go w lesie. Towarzyszyły jej trzy wróżki. Dziewczynka uśmiechnęła się do Ofelii. Potem uklękła z kredą w ręku i wyrysowała na ścianie zarys drzwi. I wtedy ukazało się więcej słów:

Gdy drzwi się otworzą, uruchom klepsydrę i niech wróżka cię poprowadzi...

Pod prawym ramieniem Błedego Mężczyzny pojawiły się otwarte drzwi otoczone kamiennym łukiem na dwóch kolumnach.

Podczas pobytu tam niczego nie jedz ani nie pij,

— ostrzegały słowa po prawej stronie,

i wróć, zanim spadnie ostatnie ziarnko piasku w klepsydrze.

Na stronie tworzyły się kolejne obrazy, lecz Ofelia doszła do wniosku, że i tak ma już zbyt dużo do zapamiętania, więc zamknęła książkę i uklękła, trzymając kredę tak jak dziewczynka z ilustracji. Ściana poddasza była pokryta pajęczynami i dość nierówna, jednak kreda pozostawiła na tynku wyraźną kreskę. Kreska zmieniła się w białą pianę i sycząc cicho, wypaliła w ścianie drzwi, które — kiedy Ofelia przyłożyła do nich rękę — rozwarły się niczym brama prowadząca do starożytnego grobowca. Przejście za nimi było tak wąskie, że musiała się pochylić, ale gdy się wpatrzyła, odkryła, że ma przed sobą szeroki korytarz, którego sufit znajdował się wysoko nad jej głową, a podłoga przynajmniej dwa metry pod nią. Ściany boczne były ciemnoczerwone jak zaschnięta krew. Przez małe okna na posadzkę o wzorze białobrazowawo-czerwonej szachownicy wpadały promienie światła.

Ponieważ powierzchnia tunelu znajdowała się zbyt nisko na wykonanie skoku, Ofelia wzięła krzesło z poddasza i opuściła je przez otwór. Potem zarzuciła sobie na ramię torbę od fauna, a klepsydrę postawiła na podłodze przy łóżku. Natychmiast gdy

ją odwróciła, w dolną szklaną część zegara niepokojąco szybko zaczął się przesypywać jasnoczerwony piasek.

Krzeseło zdało egzamin jako drabina. Kiedy Ofelia zeskoczyła z niego na kraciastą podłogę, usłyszała w oddali dźwięk... jakby ktoś oddychał ciężko we śnie. Dźwięk mieszał się z echem jej kroków, kiedy ruszyła korytarzem, który zdawał się wic jak rzeka, a kolumny rzucały cienie na płytki niczym niekończący się rząd skamieniałych drzew.

Miała wrażenie, że idzie już od wielu godzin, kiedy nagle korytarz otworzył się na ciemne, pozbawione okien pomieszczenie.

Przez chwilę się zastanawiała, czy nie zagubiła się w czasie i nie wróciła do dawno zapomnianej przeszłości. Pokój wyglądał na bardzo stary, jego sufit ozdobiono malowidłami, ale Ofelia nie patrzyła na wyblakłe obrazy nad głową. Widziała jedynie długi stół pośrodku sali. Stół zastawiony był złotymi misami i talerzami wypełnionymi po brzegi owocami, ciastami i pieczonym mięsiwem, ale jedyne krzesło na samym jego końcu było zajęte. Siedział na nim Błady Mężczyzna, oświetlony płomieniami tańczącymi w kominku.

Kiedy Ofelia zbliżyła się do stołu, mężczyzna się nie poruszył. Prawdę powiedziawszy, wyglądał, jakby nie ruszał się od wieków, jedzenie natomiast wyglądało na tak świeże, jakby zostało dopiero co przygotowane. Dziewczynka nie mogła oderwać oczu od tych ciast, puddingów i pieczeni ozdobionych owocami i jadalnymi kwiatami, od złotych talerzy odbijających się w kryształowych kielichach wypełnionych czerwonym winem. Czerwień i złoto... cały pokój był wypełniony tymi kolorami, powtarzały je nawet płomienie. A te niebiańskie zapachy! Sprawiały, że Ofelia zapomniała o wszystkim, nawet o przerażającym stworzeniu, które siedziało cicho przed swoim talerzem zaledwie kilka metrów od niej.

Przypomniała sobie o nim dopiero, gdy dotarła do końca stołu. Widząc go z bliska, zrobiła gwałtowny wdech. Mężczyzna był nagi, tak jak pokazywała go książka, jasna skóra luźno pokrywała mu kości niczym źle dopasowany całun. Widok był straszny, lecz najgorsza ze wszystkiego była twarz, a raczej jej brak. Była bowiem wyposażona jedynie w nozdrza i cienkie jak brzytwa usta, a tę krwawą szczelinę otaczały ciężkie fałdy obwisłej skóry. Szponiaste dłonie stworzenia, leżące nieruchomo obok złotego

talerza, kończyły się natomiast spiczastymi palcami o czarnych opuszkach, a ciało nad nimi zabarwione było na czerwono od krwi.

Fakt, że potwór się nie poruszał, dodał Ofelii odwagi. Spojrzała ponad talerzem między straszne dłonie, ciekawa, dlaczego trzyma w nich dwie szklane kulki, lecz pospiesznie się wycofała, gdy odkryła, że kulki to gałki oczne. Dopiero wtedy dokładniej przyjrzała się malowidłom zdobiącym sufit. Na ich widok odsunęła się od stołu mimo znajdujących się na nim przysmaków: obrazy nad nią wyjaśniały bowiem, kim jest Błady Mężczyzna.

Jedne wizerunki przedstawiały dzieci podnoszące ręce i błagające o litość. Na innych potwór przebijał maleństwa nożami lub mieczami, odrywał im kończyny lub karmił ich ciałami nienasycony głód. Sceny były namalowane tak obrazowo, że Ofelia zastanowiła się, czy rzeczywiście nie słyszy krzyków ofiar. To było dla niej zbyt wiele! Ale kiedy spuściła wzrok, chcąc uciec przed wyczerpującymi torturami, zobaczyła ni mniej, ni więcej, tylko setki małych bucików ułożonych w stosach pod ścianami.

Nie mogła uwierzyć w to, co widzi, lecz taka właśnie była prawda. Błady Mężczyzna żywił się ciałami dzieci.

Tak.

„Ale jeśli żywi się ciałami dzieci... po co mu to jedzenie? — zadała sobie pytanie. — Po co ta wykwintna uczta?”

Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi — ani w strasznych obrazach nad sobą, ani wśród złotych talerzy.

Przypomniała sobie porady z książki. Musiała po prostu trzymać się z dala od stołu i poczekać, aż wróżki jej pomogą. Gdy otworzyła torbę, wszystkie trzy powitały ją zadowolonym trajkotaniem. Ignorując straszliwego gospodarza przy stole, sfrunęły na lewą stronę pomieszczenia, gdzie wysoko w ścianie znajdowało się troje drzwiczek otoczonych płaskorzeźbami o rozwartych ustach i wytrzeszczonych oczach.

Drzwiczki były niewiele większe niż jej ręka, a każde z nich wyglądały nieco inaczej, jednak wszystkie trzy wróżki wskazały na środkowe. Drzwiczki były piękne — lśniące i pokryte złotem.

Dziewczynka wyjęła z kieszeni klucz od ropuchy, ale w tym momencie przysła jej

do głowy mądrość z baśni: „W obliczu trzech opcji do wyboru, zawsze wybierz tę najmniej oczywistą. Najskromniejszą”.

— Och, jesteście w błędzie! — szepnęła do wróżek. — To nie są właściwe drzwi!

I nie zważając na ich poirytowaną paplaninę, wsunęła klucz w zamek drzwiczek najmniej efektownych — wykonanych z rustykalnego drewna zbitego żelaznymi gwoździami. Klucz wszedł łatwo. Ofelia posłała swoim skrzydlatym towarzyszkom triumfalne spojrzenie, po czym otworzyła maleńkie wejście; wróżki, słysząc odgłos czerwonego piasku przesypującego się w klepsydrze, zaroily się wokół niej, wzywając do pośpiechu.

Schówek za drzwiczkami był głęboki, zbyt głęboki, by Ofelia mogła dosięgnąć tego, co ukryto wewnątrz. W końcu jednak dotknęła miękkich tkanin i chłodnego metalu. Przedmiot, który wyjęła, był owinięty w czerwony aksamit i o mało go nie upuściła, gdy zdała sobie sprawę, co trzyma w dłoniach.

Był to sztylet o długim ostrzu tak srebrzystym jak blask księżycy i złotej rączce, na której wytłoczono wizerunek fauna.

I niemowlęcia.

Wróżki ponownie ją otoczyły, skłaniając do pośpiechu, Ofelii wszakże trudno było pamiętać o przesypującym się piasku, skoro znajdowała się w tym starożytnym pokoju, w którym wszystko wydawało się zamrożone w czasie, łącznie z bladą skórą pożeracza dzieci. Jedna z wróżek, upewniając się, że potwór pozostaje nieruchomy, podeszła tak blisko jego okropnego oblicza, że jej skrzydełka prawie muskały jego skórę, mężczyzna jednak wciąż pozostawał w bezruchu, niczym własny pomnik, pomnik wszystkich przerażających czynów.

Dziewczynka umieściła sztylet w torbie od fauna, a kiedy wracała do stołu, starała się utrzymać spojrzenie na Bładym Mężczyźnie. Całe to jedzenie wyglądało tak smacznie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała takie ciasto lub świeże owoce. „Nigdy!” A była głodna. „Naprawdę głodna” — szepnęło jej serce, gdy podniosła rękę. „Nie jedz ani nie pij niczego!” Ale Ofelia widziała winogrona i granaty, a także specjały, których nawet nie znała z nazwy. Wszystkie one obiecywały tak wyborną słodycz, że nie miała ochoty słuchać spanikowanych ostrzeżeń szeptanych przez wróżki.

Nie. Przegoniła je machnięciem ręki. Jedno winogrono — tylko jedno. Na pewno nikt nie zauważy jego braku wśród całego tego jedzenia. Komu może brakować jednej kulki winogrona?

Ostrożnie ją oderwała i włożyła do ust. Wróżka, którą jako pierwszą spotkała w lesie, zakryła twarz w rozpacz.

Zostali skazani.

W tym momencie Błady Mężczyzna wyrwał się z bezruchu. Jego czarne czubki palców, ostre jak ciernie, zadrgały z chrzęstem. Rozwarte usta wysłały udreżony oddech i mężczyzna podniósł z talerza jedną z gałek ocznych prawą ręką, lewą zaś odwrócił, rozkładając palce niczym straszny kwiat. Gałka oczna idealnie pasowała do otworu w lewej dłoni, a kiedy na prawej dłoni umieścił drugie oko — ze źrenicą tak czerwoną jak winogrono, które dziewczynka właśnie zjadła — podniósł obie ręce do pozbawionej oczu twarzy, sprawdzając, kto go obudził.

Ofelia nie zauważyła, co robił. Czar stołu był zbyt silny, a wróżka, która pierwszego dnia zawiiodła ją do labiryntu, nie była w stanie powstrzymać jej przed skubnięciem kolejnego ze zdradliwych winogron.

„Och, ta nieszczęsna dziewczyna! Dlaczego sprawia, że tak trudno jej pomóc? Rogaty pan bardzo się rozgniewa”.

Wróżka zatrzepotała tuż przed twarzą Ofelii, starając się zdjąć z niej urok, nawet udało jej się wyciągnąć winogrono z palców. Ale czy dziecko było wdzięczne? O nie. Dziewczynka była wściekła.

„Czy one nie rozumieją?” — pomyślała Ofelia, szarpnięciem odbierając wróżce winogrono. Pragnęła jedynie zatonać w jego słodczy i dzięki owocowi zapomnieć o wszystkim — o goryczy, bólu i strachu, który wypełniał jej życie.

Błady Mężczyzna podniósł się z fotela. Wyszedł z za stołu, a jego nogi poruszały się sztywno, jakby już nie pamiętał, jak nosić swoje szkieletowe ciało. Ręce trzymał przy twarzy, oczy w jego dłoniach poszukiwały złodzieja, który go obudził i skradł ze stołu owoce.

Najpierw te oczy znalazły wróżki.

A potem Ofelię.

Która wciąż nie była świadoma tego, co zrobiła.

Och, jak wróżki teraz krzyczały. Ale ich głosy były ledwie głośniejsze niż cykanie świerszczy i dziewczynka ugryzła kolejne winogrono, podczas gdy Błady Mężczyzna podchodził coraz bliżej, a jego skóra zwisała z kościstych kończyn jak ubrania uszyte z czyjegoś ciała. Wróżki kręciły się wokół strasznej głowy pożeracza dzieci, desperacko usiłując odciągnąć go od Ofelii. Ze strachu ich głosy stały się tak przenikliwe i nieprzyjemne, że ostatecznie przebiły się przez zakłęcie.

Ofelia się odwróciła, lecz było już za późno. Pożeracz dzieci sięgnął zakrwawionymi palcami po wróżki. Początkowo skrzydlatym istotom udało się uciec, jednak Błady Mężczyzna był doświadczonym myśliwym. Dwie wróżki, które złapał, rozpaczliwie walczyły o życie, niestety porywacz ich nie puszczał i na oczach dziewczynki wepchnął sobie pierwszą między bezzębne dziąsła. Oderwał jej główkę tak łatwo jak kwiat z łodyżki i krew wróżki spłynęła mu po bladym podbródku. Drugą wróżkę, szamoczącą się bezradnie w jego okrutnym uścisku, spotkał ten sam los co siostrę — jej skrzydełka i nóżki zniknęły zgniecione za bezbarwnymi wargami. Błady Mężczyzna zlizywał krew wróżki z palców. Wtedy Ofelia w końcu zdołała zmusić swoje stopy do ruchu.

Wybiegła na korytarz, lecz wkrótce usłyszała za sobą chwiejne kroki potwora. Kiedy się odwróciła, zobaczyła wśród kolumn jego straszliwą postać i strzelające niespokojnie oczy w podniesionych rękach. „Biegnijcie! — nakazała stopom. — Biegnijcie!” Lecz jej kolana drżały, więc się poślizgnęła i upadła na wielobarwną posadzkę.

Ostatnia wróżka, ta, która przeżyła, podfrunęła do jej boku.

„Twoje siostry nie żyją przeze mnie!” — pomyślała Ofelia, potykając się. Nie. Nie mogła teraz o tym myśleć. Ciągle nie widziała końca korytarza, a na górze, w pokoiku na poddaszu piasek wciąż przesypywał się w klepsydrze.

Może to dobrze, że nie mogła zobaczyć, jak niewiele pozostało piasku. Serce jej waliło, gdy dotarła do ostatniego zakrętu korytarza. Stało tam krzesło, a nad nim znajdowały się drzwi, które wycięła kredą.

Ale wróżka słyszała sypiący się piasek.

Dziewczynka była zaledwie dwa kroki od krzesła, kiedy drzwi nad nią zaczęły się powoli zamykać.

— Nie! — wrzasnęła. — Nie!

Dyszząc, wdrapała się na krzesło, ale gdy sięgnęła w górę, drzwi już nie było i nie wracały, choć biła pięściami w ścianę. Co sprawiło, że jej rozgorączkowany umysł przypomniał sobie o kredzie? Może wróżka podpowiedziała jej to szeptem?

Ofelia przetrząsała torbę od fauna.

Nic.

Przeszukując kieszeń płaszcza, miała więcej szczęścia.

Kroki Błatego Mężczyzny odbiły się głośniej w korytarzu, a dziewczynka miała tak zeszywniałe ze strachu palce, że złamała kredę na dwoje. Ledwie mogła utrzymać w ręku mały kawałek, który został.

Zza rogu wyszedł Błady Mężczyzna. Podniósł prawą rękę i spojrzał na nią. Znalazł ją. Och, tak bardzo lubił, gdy próbowały uciekać. Nie chodziło przecież tylko o zabijanie, lecz także o polowanie.

Wróżka zaświergotała z przerażenia, ale pozostała u boku Ofelii, kiedy ta wspinała się na oparcie krzesła, chcąc dosięgnąć pułapu.

Bliżej. Błady Mężczyzna, zataczając się, podchodził coraz bliżej, sztywnym krokiem maszerując na szkieletowych nogach, z błyszczącymi na dłoniach oczami.

Ofelia wreszcie zdołała wyrysować kwadrat na pokrywającej sufit mozaice. Pchnęła drzwi z całą siłą, jaka jej pozostała, i w końcu kredowy zarys ustąpił, lecz kiedy podciągnęła się w górę w nadziei, że te drzwi będą prowadziły z powrotem do jej pokoju, stopy dziewczynki osunęły się z krzesła. Wróżka przemknęła obok niej, gdy Ofelia usiłowała podciągnąć ciało w górę, z dala od tych okropnych rąk. Paznokcie Błatego Mężczyzny już muskały jej nogi. Potwór już wyciągał ręce, by schwytać ofiarę, był jednak ślepy, toteż ostatecznie Ofelii udało się wciągnąć na zakurzoną podłogę pokoju na poddaszu. Opuściła wyrysowaną kredą klapę i tylko cienki pas światła zdradzał otwór, który ją ocalił.

Wstała.

Spod podłogi dał się słyszeć jęk, wycie głodnych zakrwawionych ust, a kiedy dziewczynka zrobiła krok w tył, poczuła, jak Błady Mężczyzna napiera na deski podłogowe. Najgorsze obawy czają się zawsze gdzieś pod nami, ukryte pod trzęsącym się gruntem, który uznajemy za stabilny i bezpieczny.

Drżąc, Ofelia usiadła na łóżku, podniosła stopy znad podłogi i słuchała. Na jej ramieniu wylądowała wróżka i ciepło jej małego ciała było zarówno pocieszeniem, jak i oskarżeniem. Ostatecznie to błąd dziewczynki zabił siostry skrzydlatej istoty.

Z dołu dotarło ostatnie mocne uderzenie.

I potem... w końcu... zapadła cisza.

21 – Nie ma wyboru

* * *

Dzień ledwie świtał, kiedy Pedro odprowadził Mercedes i doktora Ferreiro z powrotem na polanę nad strumykiem. Wyglądał na pewnego siebie, jakby odbijające się w jego twarzy światło poranka i świeże powietrze stanowiły obietnicę nowego początku.

— Wkrótce przybędą posiłki! Pięćdziesięciu mężczyzn albo i więcej. — W jego głosie, mimo rozpacz, jaką wszyscy widzieli wczoraj na twarzy Francuzika, nie było nawet cienia wątpliwości czy strachu. — Natychmiast gdy dotrą, zetrzemy się z Vidalem.

Ferreiro widział takie rzeczy wcześniej: entuzjazm, który przynosi nowy dzień nawet po najmroczniejszej nocy. Czasami był na tyle silny, że trwał dłużej, zazwyczaj jednak o zmierzchu znikał. Sam jeszcze się nie otrząsnął po zabiegu odcięcia Francuzikowi nogi. Cały ten ból, rozpacz rannego mężczyzny i jego towarzyszy, jego własna bezsilność jako lekarza...

— Zetrzecie się i co wtedy? — Nie mógł się powstrzymać przed pytaniem. — Zabijecie kapitana, a oni przyślą kolejnego, dokładnie takiego samego jak Vidal. A potem następnego...

Ferreiro był w swoim życiu świadkiem zbyt wielu zawiedzionych nadziei. Czy naprawdę przeżył dopiero czterdzieści osiem lat? Czuł się jak tysiąclatek i był zmęczony tymi wszystkimi młodymi ludźmi, którzy pragnęli walczyć, nawet jeśli stawali po stronie dobra.

Pedro nie zadał sobie trudu i w ogóle nie odpowiedział na pytanie doktora. Tylko na niego popatrzył. Co widział ten pełen zapału młody człowiek? Prawdopodobnie smutnego starszego mężczyznę.

— Nie zdołacie zwyciężyć! — warknął ostro doktor. — Nie macie broni, żadnej bezpiecznej kryjówki! Wszyscy skończycie jak Francuzik. Albo jeszcze gorzej.

Uklęknął na brzegu strumienia i zmywał krew z piły i skalpela. Na pewno aż nazbyt prędko będzie ponownie potrzebował tych narzędzi. Po jego dłoniach spływała zimna woda. Zimna jak ten świat.

— Nie potrzebujecie więcej ludzi — dodał. — Ci, których macie, potrzebują jedzenia! I leków!

Brat Mercedes nadal nie powiedział ani słowa. Za nimi partyzanci zbierali drewno na opał i wszystko to, co las mógł im zaoferować.

— Ameryka, Rosja, Anglia... oni nam pomogą — powiedział w końcu Pedro. — Kiedy wygrają wielką wojnę przeciwko niemieckim faszystom, pomogą nam pokonać naszych tutaj, w Hiszpanii. Franco poparł Hitlera, a my aliantów. Wielu z nas zginęło, wspierając ruch oporu. Sabotowaliśmy kopalnie wolframowe w Galicji, których Niemcy potrzebują, jeśli chcą utrzymać produkcję w swoich fabrykach broni i... Myślisz, że sojusznicy o tym zapomną?

Ferreiro się wyprostował i schował narzędzia do torby. „Tak, zapomną!” Był potwornie znużony i rozgniewany. Może jego złość była przede wszystkim spowodowana wyczerpaniem i brakiem nadziei. „Nie zapomnij też o strachu” — powiedział sobie. Strachu, że słuszne sprawy zazwyczaj nie mają dobrego finału. Że nie można wygrać, a tylko na moment wstrzymać zło.

— A co z Mercedes? — Nie, mimo zdenerwowania nie mógł tak tego zostawić. — Gdybyś naprawdę ją kochał, przekroczyłbyś wraz z nią granicę. Ta sprawa jest przegrana!

Pedro pochylił głowę, jakby wsłuchiwał się we własne serce, sprawdzając, czy się z nim zgadza. Potem ponownie spojrzał na lekarza.

— Zostaję tutaj, doktorze — oznajmił. — Nie ma wyboru.

Głos Pedra był tak samo zdecydowany jak wyraz jego twarzy. Ani śladu wątpliwości czy lęku.

Gdy jesteśmy młodzi, czujemy się nieśmiertelni. A może po prostu nie przejmujemy się tak bardzo śmiercią?

Kiedy Pedro poszedł odszukać siostrę, Ferreiro podążył za nim wzrokiem.

„Czy byłem kiedykolwiek taki?” — zapytał sam siebie. Nie. A może tak. Kiedy jeszcze był chłopcem i świat był czarno-biały; tylko dobro i zło. W którym momencie

świat stał się tak skomplikowany? A może tak tylko go postrzegało jego wyczerpane serce?

*

Podczas gdy Pedro rozmawiał z doktorem Ferreiro, jego siostra zbierała jagody. Las tak wiele oferował tym, którzy go szanowali. Mercedes nigdy nie bała się lasu, nawet gdy była mała, a matka próbowała wzbudzić w niej strach opowieściami o żywych drzewach, wodnikach i czarownicach. Ale dla Mercedes las zawsze oznaczał schronienie, pożywienie i życie... Nie zaskoczyło jej, że teraz ten las chronił jej brata. Pedro wyglądał tak dorośle. Jakby był starszy. „Może już do tej pory jest” — pomyślała, gdy ujrzała, jak idzie w jej stronę.

— Siostro, musicie iść.

Położył dłonie na jej ramionach. Gest ten zdradzał emocje, które głos Pedra zdołał ukryć. Mercedes sięgnęła do kieszeni i podała mu klucz do stodoły. Ukradła go dzień wcześniej z szuflady kapitana Vidala, gdy sprzątała w jego pokoju.

— Poczekajcie jeszcze kilka dni — ostrzegła. — Jeśli teraz spustoszycie stodołę, zrobicie dokładnie to, czego on oczekuje.

Brat wziął klucz z triumfalnym uśmiechem. Przez chwilę nie wyglądał na dorosłego, przypominał raczej niecierpliwego chłopca, którego Mercedes tak dobrze pamiętała.

— Nie martw się. Zostaw to mnie. Będę ostrożny.

Objął ją i pocałował w policzek.

Ostrożny. Nigdy nie był ostrożny. Nie znał znaczenia tego słowa. Mercedes chwyciła go za rękę, przedłużając cenną chwilę. Oto, co utrzymywało ich wszystkich przy życiu: kradzione chwile.

— Jestem tchórzem — szepnęła.

Widząc zdumienie na twarzy brata, prawie się uśmiechnęła.

— Nie, nie jesteś!

— Tak, jestem. Tchórzem... żyję obok tej bestii, robię mu pranie, ścielę jego łóżko, karmię go... A co, jeśli doktor ma rację i nie możemy zwyciężyć?

Pedro się zawahał. W końcu pokiwał głową, jakby potwierdzając, że istnieje taka możliwość.

— W takim razie przynajmniej utrudnimy temu bezwzględnemu sukinsynowi życie — powiedział.





Brzytwa i nóż

W chacie w starym lesie mieszkała niegdyś kobieta o imieniu Rocio, którą mieszkańcy okolicznych wiosek nazywali czarownicą. Miała syna i córkę z mężczyzną, od którego odeszła, gdy ten użył swojego pasa wobec dzieci.

— Być może będę musiała wkrótce was opuścić — oznajmiła im zaledwie kilka dni po dwunastych urodzinach syna. Jej córce pozostały dwa miesiące do ukończenia jedenastu lat. — Ubiegłej nocy widziałam w snach swoją śmierć. Nie boję się iść do Podziemnego Królestwa, ale obawiam się, że wy dwoje jesteście zbyt młodzi i nie poradzicie sobie sami na tym świecie. Dam wam więc dary, które was ochronią, jeśli moje sny się spełnią.

Dzieci wymieniły przestraszone spojrzenia. Sny matki zawsze się sprawdzały.

Rocio przytrzymała rękę córki i zacisnęła palce dziewczynki wokół gładkiej drewnianej rękojeści małego kuchennego noża.

— To ostrze ochroni cię przed wszelkim złem, Luiso — powiedziała czarownica. — I robi nawet więcej. Przecina ono maski ludzi i ujawnia ich prawdziwe oblicza, które tak często starają się ukryć.

Dziewczynka powstrzymywała łzy, ponieważ bardzo kochała matkę, ale wzięła nóż i schowała go w fałdach swojego fartucha.

— Dla ciebie, Miguelu, mam innego rodzaju broń — czarownica zwróciła się do syna, zaciskając jego palce wokół srebrnej rękojeści brzytwy. — Będzie ci służyć tak dobrze jak nóż kuchenny twojej siostrze. Jej ostre zęby uchronią cię przed wszelkimi krzywdami, a gdy dorośniesz i zaczniesz się golić, ta brzytwa nie tylko usunie zarost, ale oczyści cię również z bolesnych wspomnień. Za każdym razem, kiedy jej użyjesz,

sprawi ona, że twoje serce poczuje się tak młodo jak świeżo ogolona twarz. Bądź jednak ostrożny. Niektóre wspomnienia musimy zachować, chociaż ranią nas głęboko. Korzystaj zatem mądrze z mojego daru, synu, i niezbyt często.

Nazajutrz Rocio nie powróciła z tej części lasu, gdzie codziennie zbierała świeże zioła. Dopiero następnego ranka jej dzieci dowiedziały się, że szlachcic rozkazał swoim żołnierzom utopić matkę w młyńskim stawie, nad który kiedyś je zabierała, by wypytać wodę o przeszłość i przyszłość.

Wiedząc, że dzieci czarownicy rzadko zachowuje się przy życiu, Luisa i Miguel pośpiesznie zapakowali swój nieliczny dobytek i opuścili chatę, którą nazywali domem. Odkryli jaskinię po drugiej stronie lasu, w bezpiecznej odległości od młyńskiego stawu, gdzie zmarła ich matka. Jaskinia udzieliła im schronienia przed deszczem i ostrymi pazurami nocy, a dwa ostrza zapewniły dzieciom pożywienie, a nawet ochroniły je przed Bładym Mężczyzną, gdy ten pewnego dnia przemierzał las blisko ich jaskini.

Powietrze już pachniało śniegiem, kiedy dzieci znalazł w lesie kłusownik polujący na króliki. Ponieważ on i jego żona nie mogli mieć potomstwa, zabrał dzieci czarownicy do domu, nie pytając ich, skąd pochodzą. I tak bezdzietna para pokochała i wychowała je jak własne. Gdy dorosły, Luisa została podkuchenną, a Miguel nauczył się fryzjerstwa. W ten sposób dwa ostrza, które wręczyła im matka, w dalszym ciągu ich karmiły i chroniły.

Luisa i Miguel przez całe życie pieczołowicie przechowywali dary od matki, a kiedy, wiele lat później, przekazali je swoim dzieciom, zarówno nóż, jak i brzytwa nadal były tak ostre i błyszczące jak w dniu, w którym Rocio przekazała je swemu potomstwu. Ponieważ oboje mieli tylko córki, brzytwę przekazano zięciowi Miguela, którego serce było mroczne i okrutne. Pewnego dnia w przypływie gniewu mężczyzna ów przycisnął ostrze brzytwy do gardła żony. Brzytwa go nie posłuchała i przecięła mu rękę, od tego dnia jednak, zamiast usuwać bolesne wspomnienia, ostrze sprowadzało je z powrotem na mężczyzn, którzy używali brzytwy, i zatruwało ich własną ciemnością.

22 – Królestwa śmierci i miłości

* * *

Vidal nie spał dobrze, a kiedy się golił, przesuwając brzytwą po świeżo umytej skórze, żywił nadzieję, że ostrze uwolni go zarówno od ciemnego zarostu, jak i od niepokojących snów, które wciąż jeszcze gnieździły się w cieniach malowanych przez poranek w zakurzonej sypialni.

Spływająca po ostrzu woda była biała jak mleko od kremu do golenia. Dlaczego ten widok przypominał mu o nienarodzonym synu i jego krwawiącej żonie? Leżący obok miski zegarek kieszonkowy odliczał minuty życia kapitana. „Śmierć!” — zdawała się ostrzegać srebrna tarcza. Może Śmierć była jedyną miłością Vidala. Jego największym romanssem. Nieporównywalnym z niczym. Tak wielkim i wszechogarniającym, jakby miało oznaczać całkowite poddanie się ciemności. Nawet ze Śmiercią łączyła się jednak obawa porażki, strach, że zniknie niezauważony, że skończy pozbawiony chwały, z twarzą w błocie albo umrze jak jego matka, w łóżku, pokonany przez chorobę zżerającą ciało. Ale tak umierają kobiety. Nie mężczyźni.

Popatrzył na swoje odbicie. Z resztkami kremu do golenia twarz wyglądała, jakby ciało Vidala jużgniło. Podniósł brzytwę tak blisko do lustra, że ostrze niemal podrzyło jego odbiciu gardło. Czy widział w swoich oczach lęk?

Nie.

Nagle opuścił rękę, przywołując maskę pewności siebie, która stała się jego drugą twarzą, bezlitosną, zdeterminowaną. Śmierć to kochanka, której należy się obawiać, i istniał tylko jeden sposób przezwyciężenia tego strachu — trzeba było stać się katem Śmierci.

Może teraz, stojąc zupełnie sam przed lustrem, flirtując ze swoją brzytwą, wyczuł, że do młyna rzeczywiście przybyła Śmierć. Może usłyszał jej ciche kroki na schodach prowadzących do pokoju, gdzie jego ciężarna żona rzucała się niespokojnie w przesiąkniętej potem pościeli.

Ofelia również usłyszała kroki Śmierci. Śmierć stała przy łóżku matki, gładząc twarz Carmen. Matka była tak rozgrzana, jak gdyby życie wewnątrz niej spalało się na popiół. Czy nienarodzony brat Ofelii też się bał? Dziewczynka położyła rękę na wybrzuszeniu, które jego małe ciało stworzyło pod kocami. Czy chłopczyk czuł na maleńkiej buzi żar gorączki matki? Ofelia była zmęczona własną wściekłością na brata. To nie on, lecz to miejsce wywoływało u matki chorobę, nie on; jedynym winnym był Wilk. Właściwie dziewczynka przyłapała się na tęsknocie za towarzystwem brata — chciałyby go trzymać w ramionach i troszczyć się o niego tak, jak wyrzeźbiona w kolumnie z labiryntu postać dziewczyny troszczyła się o dziecko trzymane na rękach. Czasami jesteśmy w stanie zrozumieć własne uczucia dopiero wtedy, gdy zobaczymy ich odzwierciedlenie.

Ofelia przyszła do pokoju matki, chcąc wypełnić polecenie fauna. Przyniosła ze sobą miskę mleka i mandragorę, którą jej dał, chociaż korzeń nadal napawał ją obrzydzeniem. W chwili, gdy dotknął mleka, zaczął się poruszać, a rozciągając blade kończyny, wyglądał jak noworodek. „Ręce” i „nogi” miał grube jak niemowlę; nawet odgłosy, które wydawał, przypominały stłumione piski dziecka. A kiedy Carmen jęknęła w łóżku, korzeń mandragory odwrócił się w kierunku dźwięku niczym dziecko nasłuchujące głosu matki.

Mimo odrazy dziewczynka nie mogła powstrzymać uśmiechu. Kiedy niosła miskę do łóżka, korzeń ciągle cicho piszczał. Ofelii nie było łatwo umieścić miskę pod łóżkiem, nie rozlewając przy tym mleka. Musiała się wczołgać pod łóżko i wsunąć miskę głęboko, z dala od ludzkich spojrzeń, przez chwilę martwiła się też, czy mandragora nie obudzi matki, gdy zacznie płakać jak dziecko. Głodne dziecko... No tak, oczywiście! Ofelia wbiła sobie zęby w palec i gryzła tak długo, aż do mleka spadły dwie krople krwi. Właśnie wtedy, leżąc jeszcze pod łóżkiem, usłyszała czyjeś kroki.

Ktoś przyszedł i stanął przy łóżku matki. Dziewczynka z ulgą rozpoznała buty doktora Ferreiro.

Ale lekarz nie przyszedł sam.

— Capitán — Ofelia usłyszała, jak powiedział. — Temperatura jej spadła! Nie wiem jak, ale tak się stało.

Doktor był wyraźnie zadowolony. Odkąd dziewczynka znalazła zakrwawioną matkę, niepokoił się, że mała wkrótce zostanie sierotą i że stracą także jej nienarodzonego brata. Bardzo starał się ukryć swoje obawy przed Ofelią, ale widział strach w ciemnych oczach dziewczynki. Wiedział, że jeśli Carmen umrze, on nie będzie w stanie ochronić Ofelii przed człowiekiem, który teraz stał u jego boku.

A Ofelia z bijącym szaleńczo sercem leżała właśnie pod łóżkiem matki...

— No i? Ona ciągle gorączkuje. — Dziewczynka nie dosłyszała w głosie Wilka ani ulgi, ani zmartwienia. Ani miłości.

— Tak, ale to dobry znak — odpowiedział lekarz. — Jej ciało reaguje na kurację.

Ofelia poczuła, jak matka porusza się nad nią we śnie.

— Posłuchaj mnie, Ferreiro... — Głos Wilka był taki zimny. — Jeśli będzie pan musiał dokonać wyboru, uratuje pan dziecko. Zrozumiano?

Dziewczynka nie mogła oddychać. Jej serce krzyczało. Każde słowo, które Wilk wypowiedział, było jak policzek w rozgorączkowaną twarz jej matki.

— Ten chłopiec — ciągnął Wilk — będzie nosił moje nazwisko. I nazwisko mojego ojca. Musi go pan uratować. Jeśli on...

Uciszył go nagły wybuch. Ofelia była pewna, że odgłos dochodzi z lasu. Śmierć znajdowała się zatem nie tylko wewnątrz młyna.

*

Kiedy Vidal wybiegł z domu, zastał na podwórzu zebranych tam żołnierzy. Nad sklepieniem drzew rosła ognista kula, malując niebo szarym dymem.

Ofelia, wypełzając spod łóżka, usłyszała jeszcze dwie eksplozje. Nic jej to nie obchodziło.

Oblicze matki było spokojne po raz pierwszy, odkąd jej koszula nocna zabarwiła się krwią, i dziewczynka delikatnie przyłożyła ucho do ciężowego brzucha.

— Bracie! — wyszeptała. — Mały braciszku, jeśli mnie słyszysz, sytuacja tutaj nie przedstawia się najlepiej. Ale wkrótce i tak będziesz musiał wyjść. — Była już bardzo zmęczona płaczem, a jednak łzy ponownie wypełniły jej oczy. — Przez ciebie mama jest bardzo chora.

„Jeśli będzie pan musiał dokonać wyboru, uratuje pan dziecko”. Słowa Wilka na nowo rozpały jej gniew, ale Ofelia już nie chciała się gniewać. Od tej pory będzie tak: ich troje przeciwko niemu. Matka, siostra, brat. Musi tak być.

— Chcę cię prosić o jedną przysługę! — błagała. — Wtedy, gdy będziesz wychodził. Tylko jedną. Proszę, nie skrzywdź mamy. — Jej łzy malowały mokre plamy na kocu matki, jakby cały smutek i strach, które dziewczynka czuła, zmieniły się w płyn. — Zobaczysz, kiedy ją spotkasz — ciągnęła. — Mama jest bardzo ładna, choć czasami przez wiele dni się smuci. A kiedy się uśmiecha... Wiem, że ją pokochasz. Jestem pewna, że tak! — Nie otrzymała odpowiedzi, była jednak przekonana, że pod skórą matki słyszy bicie serca brata. — Słuchaj! — mówiła poważnym tonem, jakiego wymaga uroczysta obietnica. — Jeśli zrobisz to, o co proszę, zabiorę cię do mojego królestwa i uczynię księciem. Obiecuję! Będziesz księciem.

Pod łóżkiem cicho zapiszczał korzeń mandragory.

23 – Jedyńy sposób na honorową śmierć

* * *

Partyzanci wysadzili tory kolejowe na wzgórzach i jeden z pociągów transportujących zapasy dla wojska stacjonującego w pobliskim garnizonie. Silnik pociągu, który wypadł z szyn, spowijały teraz pasma stopionego żelaza, jego metalowe boki pokrywały popiół i kawałki ziemi.

— Gwizdałem na nich, ale nie reagowali! — Inżynier z całych sił pragnął przekonać wszystkich, że nie ponosi winy. Towarzyszył Vidalowi i oficerowi Serrano, którzy przechodzili obok uszkodzonych wagonów. — Próbowałem ich zatrzymać! Przysięgam! Ale było za późno.

Idiota. Tylko winni mówią tak szybko. Kapitan miał ochotę wepchnąć go pod rozbity pociąg lub kopać inżyniera tak długo, aż znieruchomieje jak ten silnik. Ale ten głupiec mówił dalej, pospiesznie się usprawiedliwiając:

— Razem ze strażakiem wyskoczyliśmy w ostatniej chwili, ale popatrzcie na bałagan, jakiego narobili ci ludzie!

Vidal zmierzył wzrokiem wysadzone szyny i wykolejony pociąg. Zniszczony. Nieczynny. Tego właśnie te sukinsyny z lasu chciały. Chaosu. Kapitan zatrzymał się przed wagonikiem, który wyglądał na nienaruszony.

— Co ukradli? — zapytał jednego z mężczyzn nadzorujących transport.

— Nic, capitán. Nie otworzyli ani jednego wagonu. — Mężczyzna starł sadzę z twarzy. Był o wiele spokojniejszy niż inżynier. I przekazywał dobre wieści.

— Co ty, do diabła, mówisz?

— Cały ten bałagan... Nie otworzyli żadnego z wagonów. Nic nie zabrali. Bóg jeden wie, czego chcieli. Poza zmarnowaniem naszego czasu.

Vidal obserwował żołnierzy rojących się wokół rozbitego pociągu jak mrówki wokół zdeptanego mrowiska. „Zmarnowanie naszego czasu”. To zdanie zabrzmiało mu strasznie fałszywie. Nie. Partyzanci nie użyliby cennych materiałów

wybuchowych tylko po to, żeby go rozdrażnić. A może jednak...? Zanim zdążył dokończyć pytanie, nadeszła odpowiedź, przetaczając się przez las.

Na odgłos kolejnej eksplozji wszyscy się obrócili. Nad drzewami wzniosła się następna ognista kula i nie było wątpliwości, gdzie nastąpił wybuch.

Oszukani! Cała ta akcja z pociągami była podstępem, próbą odwrócenia uwagi!

Oznaczało to jednak, że teraz naprawdę zaczęła się wojna.

*

Gdy dotarli do młyna, walki nadal się toczyły — wybuchy rozrywające żołnierskie jeepy, ciężarówki i namioty, a podwórze usiane było zakrwawionymi ciałami. Vidal ledwo rozpoznał pokrytego krwią i sadzą Garcesa wyłaniającego się z dymu.

— Zjawili się jak spod ziemi, *capitán!*

Vidal odepchnął go na bok.

Deszcz padał intensywnie, jakby niebo przyłączyło się do tych okropnych bestii. Właśnie tak będzie ich od tej pory nazywał. Bestiami z lasu. Deszcz mieszał się z dymem i utrudniał wykrycie, skąd nadchodzi atak, ale Vidal nie zdjął okularów przeciwsłonecznych. Własne odbicia w tych ciemnych szklach — tylko to powinni zobaczyć jego ludzie do czasu, aż on, ich kapitan, odzyska kontrolę nad emocjami. Miał trudności z utrzymaniem maski dowódcy, a oczy jako pierwsze zdradziłyby ukryte pod nią wściekłość i strach.

Partyzanci podeszli ich niczym lis stadko królików, redukując sprzęt Vidala, jego ludzi, wszystko... do nasiąkniętych deszczem śmieci leżących teraz w nieładzie. Kapitan słyszał niemal, jak las się z niego naigrawa, las i ci tchórze, którzy ukrywali się wśród drzew.

— Mieli granaty, *capitán!* — Garces wytrzeszczył ze strachu oczy. — Nie mogliśmy nic zrobić.

Wszyscy żołnierze wiedzieli, że dowódca będzie szukał winnego, który zapłaci za to życiem.

Dopiero teraz Vidal zauważył otwarte na oścież drzwi stodoły.

Niemalże zgniótł okulary, gdy zdejmował je dłońmi w rękawiczkach. Garces nie

odważył się wejść za nim do pomieszczenia. Zapasy, leki... Partyzanci zabrali wszystko, nawet jego tytoń. A jednak drzwi wyglądały na nienaruszone. Żadnego śladu materiałów wybuchowych. Vidal skontrolował zamek. Brak śladów włamania.

— *Capitán!* — Serrano podbiegł do Vidala. Ledwie potrafił ukryć ulgę, że to Garces, a nie on był odpowiedzialny za ochronę młyna tego ranka. — Otoczyliśmy małą jednostkę. Schronili się na wzgórzu.

Wzgórze. Dobrze. To zmieni bestie w słabe króliki. Vidal poprawił czapkę na mokrych włosach. Tak. Tym razem nie pozwoli im uciec.

*

Wzgórze, na które uciekli, nie było zbyt wysokie. Kilka skał na szczycie stanowiło jedyną ochronę.

Vidal osobiście prowadził atak na partyzantów, strzelając i biegnąc od drzewa do drzewa. Tym razem wszystkich wybije, zanim las ponownie zdoła ich osłonić. Jak zawsze, kiedy ruszał do bitwy, kapitan trzymał zegarek w lewej ręce. To był jego talizman, ten przedmiot, którego popękane szkiełko wbijało mu się w dłoń, a tykanie popychało go naprzód. Czasami brzmiało jak metaliczny szept: „No dalej, Vidal. Widziałem śmierć twojego ojca. Chcę zobaczyć twoją. Jak długo każesz mi czekać?!”.

Rozkazał swoim żołnierzom ze wszystkich stron zaatakować pozycje partyzantów. Wszędzie wokół nich od drzew w krzyżowym ogniu odpryskiwała kora, kapitan wiedział jednak, że wrogom wkrótce zabraknie amunicji. Było ich prawdopodobnie kilkunastu, może mniej. Vidal i jego ludzie mieli ogromną przewagę liczebną.

Polowanie nie cieszyło go tak jak zawsze. Vidal dał się oszukać zdobywczy. Żadna zemsta nie wymaże tego wstydu. Ale przynajmniej mógł dopilnować, żeby nie było świadków, wtedy nikt nie przekaże tej historii. Schował się za drzewem i przeładował broń. Serrano ukrył się za innym drzewem, po jego lewej stronie.

— Śmiało, Serrano — ryknął kapitan, wysuwając się i oddając jeszcze kilka strzałów. — Nie musisz się bać. To jedyny sposób na przyzwoitą śmierć!

Znowu się ukrył i wciągnął głęboko powietrze, po czym wsunął zegarek do kieszeni. Amulet wciąż go chronił. Oczywiście, jego czas jeszcze się nie skończył.

Podczas kolejnej wymiany strzałów kule minimalnie go omijały, podczas gdy jego żołnierze krzyczeli, padali na plecy, a później nieruchomieli z pustymi oczami wpatrzonymi w górę, w gałęzie i w niemiłosierny deszcz. Vidal schował się za innym drzewem i ładował pistolet, a po następnym ostrzale dotarł aż na wzgórze, gdzie wyganiał swoje ofiary zza skał, zamierzając sprawić, by pożałowały, że ośmieliły się zrobić z niego głupca.

Ukrył się po raz ostatni. Strugi deszczu lały mu się w oczy z daszka czapki. Ciała leżały na skałach z rozrzuconymi rękami i nogami; wyglądały jak wyrwane z ziemi blade korzenie. Tylko dwaj partyzanci nadal walczyli, ale kiedy Vidal zarządził kolejny atak, padli, wydając stłumione okrzyki, trafieni licznymi pociskami.

Och, ta cisza Śmierci. Nie było drugiej takiej. Kapitan często żałował, że nie może jej nagrać na płytę gramofonową i słuchać podczas porannego golenia. Tę ciszę zakłócał jedynie dźwięk kropli deszczu ściekających wśród drzew i spadających na nieruchome zwłoki, mocząc ubrania zabitych, aż wydawały się wtapiać w ziemię.

Przemierzył ostatni odcinek na szczyt wzgórza, za nim szli żołnierze, którzy przeżyli atak.

Ich straty były nieporównywalnie małe wobec strat partyzantów. Pierwszy mężczyzna, przy którym Vidal się zatrzymał, nie poruszył się. Mimo to kapitan się upewnił, że tamten nie żyje, strzelając dwukrotnie w jego milczącą twarz. Przyjemne uczucie. Każdy strzał neutralizował jakąś część trucizny, którą pozostawił w krwi Vidala wstyd spowodowany świadomością, że dał się oszukać. Musiał jednak znaleźć kogoś, kto nadal był w stanie mówić.

Zjawił się Serrano, jak zawsze, ilekroć Vidal go wezwał, przybiegając niczym dobrze wyszkolony pies. Wśród skał na szczycie wzgórza odkryli kolejnych zabitych partyzantów. Byli tylko chłopcami, mieli może po piętnaście lat. Jeden nie żył, lecz drugi nadal się ruszał. Przyciskał sobie prawą rękę do rany postrzałowej na szyi, a pistolet leżał obok niego. Vidal kopnął broń na bok.

— Pozwól, że zobaczę — rzucił, odrywając zakrwawioną dłoń chłopca od rany. Powiedział to niemal łagodnie. Delektował się własnym opanowaniem.

Chłopiec wciąż jeszcze próbował stawiać opór, lecz kapitanowi bez trudu udało się

odciągnąć jego rękę od rany. Młodemu partyzantowi nie zostało już wiele sił ani życia. Szyję miał zalaną krwią.

— Możesz mówić?

Chłopiec z trudem łapał powietrze, patrząc w górę, w chmury, które pokrywały jego twarz deszczem.

— Niech to szlag. — Vidal wstał i wyciągnął pistolet.

Kiedy wycelował broń w jego głowę, głupi młokos położył zakrwawioną rękę na wylocie lufy i starał się ją od siebie odsunąć, a jego gasnące oczy wypełniło nieposłuszeństwo, niemal kpina. Vidal wyrwał pistolet z uścisku tamtego i ponownie wycelował. I tym razem chłopak przycisnął dłoń do wylotu lufy, lecz kula łatwo przeszła przez ciało i kości. Kolejną Vidal umieścił w głowie buntownika.

— Są beużyteczni. Żaden z nich nie może mówić. — Vidal pomachał w kierunku ciał pokrywających ziemię. — Zastrzel ich wszystkich.

Serrano niespokojnie obserwował, jak kapitan dobija chłopca. Vidal podejrzewał, że jego oficer czasami wyobrażał sobie własną głowę pod pistoletem dowódcy. Garces na pewno nie miewał takich myśli. Robił, co mu rozkazano, i już.

— Capitán — zawołał teraz. — Ten żyje. Jest tylko ranny w nogę.

Vidal podszedł do rannego. Jedno spojrzenie na partyzanta wystarczyło i jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Tak, ten się nada.

24 – Złe wieści, dobre wieści

* * *

Zołnierze zwykle są milczący po przegranych bitwach, jednak ludzie Vidala krzyczeli i śmiali się, wracając z lasu. Mercedes wiedziała, że musiało się stać coś strasznego. Kiedy przybiegła do kuchni, pozostałe służące stały w drzwiach i obserwowały panujące na podwórzu zamieszanie.

— Co się stało? — Była tak zdenerwowana, że ledwie mogła mówić. Kiedy ostatnio oddychała spokojnie? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

— Złapali jednego. Mają jednego żywego. — Głos Rosy był przenikliwy, nieprzyjemny i pełen paniki. Plotkowano, że miała w lesie bratanka. — Zabierają go do stodoły!

Wszyscy wiedzieli, co to znaczy.

Gdy Mercedes wybiegła na zewnątrz, w ulewny deszcz, Mariana wołała ją, mając nadzieję, że powstrzyma Mercedes, ona jednak nie umiała się zmusić do ostrożności. Nie dzisiaj. Lęk, który odczuwała, był bestią pożerającą jej serce.

— Mercedes! Wracaj! — Głos Mariany był ochrypły. Pozostałe służące zebrały się wokół kucharki jak stadko przerażonych kur, ich twarze stężyły zarówno ze strachu, jak i nadziei: strachu, że ludzie Vidala wciągną Mercedes do stodoły, i nadziei, że zdoła się ona dowiedzieć, kogo schwytano.

Kogo?

„Pedra?!”

Mercedes bezgłośnie wyszeptała imię brata, kiedy jej stopy ślizgały się po błocie.

„Pedro!”

Już prawie dotarła do stodoły, kiedy zobaczyła żołnierzy wciągających przez otwarte drzwi więźnia, którego nogi wlekły się za nim bezradnie, orząc błotnisty grunt. Mercedes zrobiła kolejny krok i zerknęła na wnętrza stodoły, lecz zobaczyła jedynie żołnierzy, których peleryny przeciwdeszczowe połyskiwały w ciemnościach,

gdy mężczyźni przywiązywali bezwładną postać do jednej z drewnianych belek wewnątrz.

— Mercedes?

Vidal stał za nią z Serranem u boku.

— Capitán. — Była zaskoczona, że dźwięk, który wydobył się z jej ust, miał w ogóle jakikolwiek sens. Niemal nie mogła oderwać wzroku od więźnia. Jego głowa zwisała, twarz była skryta pod ciemną czapkę. Jej brat nosił taką czapkę...

— Muszę... sprawdzić stan zapasów w magazynie.

Vidal na pewno zauważył, że jest zrozpaczona. Nawet ona sama słyszała, że jej głos brzmi jak głos zagubionej dziewczynki.

Na szczęście kapitan był aż nazbyt chętny, by dopaść swego więźnia, więc nie zwracał na nią uwagi.

— Nie teraz, Mercedes — odparł niecierpliwie. — Nie chcę nikogo widzieć na podwórzu ani w stodole. Jeśli łaska, sprawdź, co u mojej żony...

Posłusznie skinęła głową. Ale nie była w stanie się ruszyć. Po prostu stała i patrzyła, jak Vidal zdejmuje czapkę z opadającej głowy więźnia. Chłopiec uniósł twarz i spojrzał na nią.

Tarta.

Oczy miał tak szeroko otwarte jak prowadzony na rzeź baranek. Szeroko otwarte, bo wiedział, co go czeka. Mercedes poczuła jego wzrok niczym sięgającą ku niej rękę, ale Tarta w żaden sposób jej nie zdradził. Nie błagał o pomoc, lecz zacisnął usta, zdecydowany pozostać dzielny; biedny jąkała.

Mercedes ciągle stała w deszczu, gdy Serrano zamknął drzwi stodoły. Wstydziła się ulgi, że żołnierze schwytali Tartę, a nie Pedra. Ulga trwała jednak tylko przez chwilę. Tarta wiedział, gdzie jest jej brat. I wiedział o niej, i o lekarzu.

Wiedział wszystko.

Mercedes zdumiała się, że jej stopy znalazły drogę z powrotem do kuchni. Pozostałe służące siekały warzywa na zupę, którą podadzą mordercom. „Czy mój brat wciąż żyje?” — zastanawiała się. Dołączyła do pozostałych kobiet i wraz z nimi cięła korzeń pietruszki i natkę. A co z innymi? Czy oni wszyscy zginęli w lesie i ich krew

mieszka się z deszczem? „Nie! — powiedziała sobie. — Nie, Mercedes, gdyby żołnierze zabili wszystkich, nie zostawiliby Tarty przy życiu”.

Powoli, jakby nie ufając własnym palcom, pokroiła nożem z fartucha kolejny korzeń w blade plastry. Wszystkim, co widziała przed sobą, była ostra klinga noża. Co się działo w stodole? Z całych sił starała się nie myśleć o chłopcu z wytrzeszczonymi oczami i nie wyobrażać sobie, co z nim zrobią.

Mariana, której okrągłą twarz życie naznaczyło głębokimi zmarszczkami, obserwowała Mercedes.

— Za dużo, kochanie — wytknęła, kiedy Mercedes zsunęła pokrojone warzywa na stół i sięgnęła po kolejny korzeń. Jaki ślad życie rysowało w tym momencie na ich twarzach? Tyle zmarszczek, bruzd, strachu, zmartwienia... Mercedes była zaskoczona, że wszystkie od tego nie zbrzydły...

Mariana podniosła tacę z jedzeniem, które przygotowała dla Ofelii i jej matki.

— Mam to zanieść na górę? — Mariana nie miała bliskich wśród partyzantów w lesie, ale była matką dwóch synów, którzy byli prawie w tym samym wieku co Tarta.

— Ja to zrobię — zaoferowała się Mercedes, zabierając tacę; zrobiłaby wszystko, byle tylko powstrzymać szalejącą wyobraźnię, ale nowe zadanie nie pomogło.

„Co się stało z Pedrem?” — Pytanie w jej myślach powtarzało się wraz z każdym stopniem, który pokonywała. — I co im mówi Tarta?”

*

U matki Ofelii był doktor Ferreiro. Gdy Mercedes weszła, podniósł głowę znad szklanki z lekarstwem, które przygotowywał.

„Pamiętasz Tartę? — chciała go zapytać. — Tego, który denerwował innych, ponieważ nie potrafił wystarczająco szybko przeczytać gazety? Jeśli zmuszą go do mówienia, może wydać nas wszystkich”.

Ofelia nie zauważyła strachu Mercedes.

Była zbyt szczęśliwa, aby cokolwiek zauważyć. Jej matka czuła się dzisiaj na tyle

dobrze, że mogły zagrać w karty, a kiedy doktor Ferreiro podał jej szklanę z lekiem, pokręciła głową.

— Zdaje mi się, że go nie potrzebuję, doktorze — powiedziała. — Czuje się dużo lepiej.

— Właśnie dlatego daję ci tylko połowę dawki i, tak, rzeczywiście, miewasz się o wiele lepiej — odpowiedział z uśmiechem lekarz. — Nie rozumiem, skąd taka poprawa, ale się cieszę.

Ofelia wiedziała. Spojrzała na dzbanek świeżego mleka, który Mercedes przyniosła. Mandragora wkrótce będzie go potrzebowała. Wraz z kilkoma kroplami krwi. Wszystko będzie dobrze, mimo iż ona, Ofelia, nie posłuchała fauna i przyczyniła się do śmierci jego wróżek. Wciąż słyszała ich krzyki w swoich snach, ale matka znów się uśmiechała, a poza tym — mimo wszystko — drugie zadanie zostało zaliczone i Ofelia przyniosła sztylet Białego Mężczyzny.

Tak, faun zrozumie.

W głębi duszy dziewczynka wiedziała, że tak się nie stanie, lecz była tak szczęśliwa, że nie chciała o tym myśleć.

25 – Tarta

* * *

Vidal się nie śpieszył. Przesłuchiwanie jeńca było procesem złożonym. Przypominało taniec — jeden powolny krok do tyłu, a następnie jeden szybki do przodu i znowu do tyłu. Wolny, szybki, wolny.

Więzień się trząsł, a po jego twarzy spływały strużki potu, chociaż na razie tylko trochę go sponiewierali. Jak do tej pory chłopaka przede wszystkim dręczył własny strach, strach przed tym, co nadejdzie. Łatwo będzie złamać tego młodego człowieka.

— Cholera, ten papieros jest dobry. Prawdziwy tytoń. Trudno taki znaleźć. — Vidal trzymał papierosa tak blisko twarzy jeńca, że chłopak czuł ciepło palącego się tytoniu.

Tarta odchylił głowę do tyłu, kiedy jego prześladowca starał się przycisnąć papierosa do drżących warg więźnia.

— I-i-idź do piekła.

— Możesz w to uwierzyć, Garces? — Vidal zwrócił się do swojego oficera. — Łapiemy jednego jedyne, a ten okazuje się jakałą. Będziemy tu tkwić całą noc.

— Tak długo, jak będzie trzeba — odpowiedział Garces.

Chłopak widział, że oficer nie cieszy się tą sytuacją tak bardzo jak jego dowódca, bo ten był rodzajem diabła w mundurze, którego on, Tarta, zawsze obawiał się spotkać. Wpadł teraz w ręce wrogów i wiedział, co mu te ręce zrobią.

„Jeśli kiedykolwiek cię schwytają, pomyśl o kimś, kogo musisz chronić — uczył go Pedro, kiedy ćwiczyli, jak milczeć na torturach. — Kogoś, dla kogo byś umarł. Może to nie pomoże, ale nieważne. Pomyśl o kimś takim, Tarta”. O kim? Może o matce. Tak. Choć myślenie o niej może pogorszyć sprawy, ponieważ mógłby sobie tylko wyobrazić, jak matka będzie płakała, jeśli go straci.

Spuścił głowę. Gdyby tylko ręce i nogi przestały mu się trząść. Nawet jeśli rada Pedra pomagała mu oderwać umysł od terażniejszości, ciało zdradzało strach ogarniający Tartę.

— Garces ma rację — przyznał Vidal. — Spędzimy tu tyle czasu, ile będzie trzeba. Z papierosem zwisającym z ust rozpiął sobie koszulę. Tarta zastanowił się, czy kapitan ją zdejmuje, ponieważ nie chce pobrudzić się jego krwią.

— Lepiej powiedz nam wszystko. Dla pewności jednak przyniosłem ze sobą kilka narzędzi. Ot, kilka przedmiotów, które złapałem po drodze.

Vidal podniósł młotek. Wcześniej ułożył narzędzia równiutko na starym drewnianym stole.

Chłopiec zadrżał. Czy nie mówi się, że można umrzeć ze strachu? Tarta chciałby wiedzieć, jak skłonić własny strach, by go zabił.

— Na początku nie będę mógł ci zaufać. — Diabeł ważył w dłoni młotek. Ten mężczyzna był wyraźnie dumny ze swojego talentu do tortur. — Ale gdy go użyję, przyznasz się do kilku rzeczy. Kiedy przejdziemy do tych... — podniósł szczypce. — ...osiągniemy... Jak mógłbym to określić...?

Chłopak dostrzegł cień zakłopotania, może nawet współczucia na twarzy drugiego oficera. Mężczyzna miał takie same wąsy jak ojciec Tarty.

— Powiedzmy to w ten sposób. — Diabeł otworzył i zamknął szczypce. — Do tej pory staniemy się sobie bliżsi, prawie jak... bracia. A kiedy weźmiemy ten... — podniósł śrubokręt. — uwierzę we wszystko, co mi powiesz.

Tarta zaczął szlochać. Tak bardzo starał się nie płakać, lecz miał w sobie tyle lęku, tyle poczucia samotności i rozpacz. Wszystko to musiało przybrać jakiś kształt, nawet jeśli były to łzy.

Oprawca po raz kolejny z zadowoleniem zaciągnął się papierosem, a następnie położył śrubokręt z powrotem na stole. Potem ponownie podniósł młotek i podszedł do więźnia.

— Proponuję ci umowę — powiedział, przyciskając ciężką główkę młotka do drżącego ramienia chłopca. — Jeśli zdołasz doliczyć do trzech bez zająknięcia, będziesz mógł odejść.

Tarta uniósł głowę i spojrzał na swojego kata, chociaż wiedział, że oczy zdradzają, jak rozpaczliwie jego sterroryzowane serce pragnie promyka nadziei. Poszukał jej na twarzy Garcesa.

...Garces, tak, tak się nazywał. Tarta cieszył się, że partyzanci nie podawali sobie

prawdziwych imion; zbyt łatwo je zapamiętywał.

Wąsata twarz Garcesa pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

— Nie patrz na niego! — warknął Diabeł. — Spójrz na mnie. To ja tu dowodzę. Garces?

— Tak, capitán?

— Jeśli powiem, że ten gnojek może odejść, czy ktoś mi się przeciwstawi?

— Nikt, capitán. Jeśli tak powiesz, będzie mógł odejść. — Garces popatrzył na drżącego młokosa.

„To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić — zdawały się mówić jego oczy. — Że nie odwrócę wzroku”.

Vidal znów zaciągnął się papierosem. Och, jak bardzo mu smakował.

— A więc mamy umowę. — Po raz kolejny przysunął swoją twarz do twarzy Tarty. — No dalej. Policz do trzech.

Drżące usta chłopca próbowały wypowiedzieć pierwsze słowo, a jego ciało kulilo się ze strachu.

— ...Raz.

— Dobrze!

Tarta wpatrywał się w ziemię, jakby mógł tam znaleźć resztki godności. Jego wargi spróbowały ponownie, a potem wypchnęły sylabę.

— ...Dwa.

Vidal się uśmiechnął.

— Dobrze! Jeszcze chwila i będziesz wolny.

Tarcie zadrżały usta z wysiłku, by wyraźnie wymówić „trzy”. Tym razem wszakże język nie był mu posłuszny. Znów zaczął się jąkać:

— T-t-t... — Drzenie złamanego człowieka.

Spojrzał na Diabła, błagając oczami o litość.

— Szkoda — podsumował Vidal, przywołując nutę współczucia dla ukoronowania swojego występu.

Później uderzył młotkiem w błagalnie wykrzywioną twarz.





Introligator

Dawno, dawno temu żył introligator Aldus Caraméz, który był takim mistrzem swojego rzemiosła, że władczyni Podziemnego Królestwa powierzyła mu oprawę wszystkich ksiązek ze słynnej kryształowej biblioteki. Całe życie Caraméza łączyło się z tymi tomami, ponieważ gdy był jeszcze chłopcem, królowa poprosiła go o oprawienie pierwszej ksiązki: woluminu zawierającego rysunki jej matki.

Introligator wciąż pamiętał, jak trzęsły mu się dłonie, kiedy rozkładał na stole w swoim warsztacie delikatne portrety wrózek, ogrów i krasnali, ropuch (do których królowa matka żywiła szczególne uczucia), ważek i ciem gnieźdzących się w korzeniach drzew, które pokrywały pałacowe sufity jak zasłony z oddychającej koronki. Na oprawę Caraméz wybrał skórę bezokiej jaszczurki, bo jej łuski odbijały światło świec niemal tak pięknie jak srebro. Te jaszczurki były groźnymi, dzikimi stworzeniami, lecz myśliwi króla od czasu do czasu zabijali je, gdy próbowały polować na pawie królowej i Caraméz zawsze żądał ich skór do swojego rzemiosła, wyobrażając sobie, że na okładkach doda im oczy; pomysł nie był zbyt wyrafinowany, ale jemu się podobał.

Królowa tak bardzo pokochała pierwszą ksiązkę, jaką dla niej oprowił, że przechowywała ją na stoliku nocnym, wraz z tomem, który Caraméz oprowił dla jej córki, Moanny, zaledwie kilka tygodni przed zniknięciem dziewczynki. Stworzył bowiem dla zaginionej księżniczki całą bibliotekę, w której znajdowały się setki niezwykle bogato ilustrowanych ksiązek o zwierzętach Podziemnego Królestwa, jego bajecznych stworzeniach, cudownych roślinach, rozległych podziemnych krajobrazach oraz najróżniejszych ludach i władcach.

Gdy Moanna skończyła siedem lat — och tak, Caraméz bardzo dobrze pamiętał te czasy — poprosiła o ksiązkę o Górnym Królestwie.

— Jakie historie opowiadają tam dzieciom, Aldusie? — spytała. — Jak wygląda księżyc? Ktoś mi powiedział, że wisi na niebie jak ogromna latarnia. I co ze słońcem? Czy to prawda, że jest wielką ognistą kulą pływającą w oceanie błękitnego nieba? A gwiazdy... czy naprawdę przypominają świetliki?

Caraméz pamiętał ostry ból, który przeszył mu serce, kiedy młoda księżniczka go wypytywała. Wiele lat wcześniej jego starszy brat zadawał te same pytania, a rok później zniknął i nigdy nie wrócił. Gdy introligator podzielił się swoimi obawami z królową, odpowiedziała: „Stwórz i opraw książkę, o którą prosi Moanna. Upewnij się, że tom będzie zawierał wszystko, co dziewczynka chce wiedzieć, ponieważ w ten sposób nie będzie próbowała na własne oczy zobaczyć księżycy i słońca”.

Ale król nie zgadzał się z żoną. Zabronił introligatorowi spełnić życzenie córki, królowa zaś postanowiła nie sprzeczać się z mężem, ponieważ musiała przyznać, że prośba córki ją również zaniepokoiła.

Księżniczka Moanna ciągle jednak zadawała pytania.

— Kto ci powiedział o Górnym Królestwie, moja księżniczko? — zapytał Caraméz, kiedy dziewczynka po raz kolejny odwiedziła jego pracownię, prosząc przynajmniej o wykonanie małej książeczki o ptakach Górnego Królestwa. Moanna wszak nigdy nie widziała żadnego ptaka. Jedynymi latającymi stworzeniami w Podziemnym Królestwie były nietoperze. I wróżki.

Księżniczka odpowiedziała na pytanie Caraméza, wręczając mu książkę. Oczywiście! Biblioteka jej rodziców! Biblioteki nie dochowują tajemnic; raczej je odsłaniają. Dzieło, które Moanna podała introligatorowi, zawierało relacje przodków matki, którzy niegdyś podróżowali po Górnym Królestwie.

— Zatrzymaj ją — powiedziała Moanna, kiedy introligator pośpiesznie schował książkę za plecami. — Nie potrzebuję jej. Posłucham sobie korzeni drzew. Wiedzą wszystko o Górnym Królestwie!

Wtedy po raz ostatni Caraméz rozmawiał z księżniczką. Ciągle pamiętał głosik Moanny, choć były dni, kiedy nie mógł sobie przypomnieć jej oblicza. Od czasu do czasu nadal łapał się na tym, że przygotowuje dla niej książkę wypełnioną opowieściami, które przekazały mu wróżki albo opowiadaniem szeptanymi przez skóry bezokich jaszczurek.

Może faun usłyszał o tych dziełach. Na ogół bowiem nie przychodził do pracowni Caraméza.

Faun nie wierzył w książki. Był dużo starszy od najstarszych rękopisów w bibliotece królowej i miał prawo twierdzić, że wie o świecie więcej niż ich poźółkłe

stronice. Ale pewnego dnia nagle stanął w drzwiach warsztatu introligatora. Caraméz nieco obawiał się fauna. Nigdy nie był pewny, czy może zaufać tym jasnoniebieskim oczom. Właściwie... Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że fauny zjadają introligatorów.

— Caraméz, chcę, żebyś oprawił dla mnie książkę — oznajmił cicho faun. Potrafił mówić głosem miękkim jak aksamit lub ostrym jak kły jaszczurki.

— Jakiego rodzaju książkę, mój rogaty panie? — zapytał introligator, wykonując pełen uszanowania ukłon.

— Książkę, która zawiera wszystko, co wiem, ale będzie pokazywać tylko to, co każe jej ujawnić.

Caraméz zmarszczył brwi. Nie był pewny, czy podoba mu się ten pomysł.

— Ta książka pomoże księżniczce Moannie znaleźć drogę powrotną — dodał faun. Naturalnie! Faun wiedział, jak Caraméz lubił zaginioną księżniczkę. Faun wiedział wszystko.

— Postaram się ze wszystkich sił — zapewnił go introligator.

Faun kiwnął rogatą głową, jakby to było wszystko, o co prosi, a potem podał mu plik kartek.

Caraméz przyglądał się im zaskoczony.

— Ale te strony są puste! — zauważył.

— Nie, nie są — odpowiedział faun z tajemniczym uśmiechem. — Ten papier wykonano z szat, które księżniczka Moanna po sobie pozostawiła, a dodany klej zawiera całą moją wiedzę o Górnym Królestwie.

Wyciągnął w górę rękę ze szponiastymi palcami i wyjął, nie wiadomo skąd, rulon brązowej skóry.

— Tę skórę — wyjaśnił — zdjęto ze zwierzęcia, które żywiło się prawdą i nieustraszonymi mężczyznami. Chcę, żebyś jej użył na okładkę książki. W ten sposób skóra da księżniczce odwagę, ilekroć dziewczynka jej dotknie.

Caraméz rozwinął skórę na stole i potarł palcami puste strony. Oba materiały były najlepszej jakości. Stworzą piękną książkę, nawet jeśli papier pozostanie pusty.

— Natychmiast się zabierz do pracy — polecił mu faun. — Właśnie się dowiedziałem, że być może już wkrótce będę tej książki potrzebował.

Introligator posłuchał i od razu rozpoczął pracę. Ale dodał jeden składnik, o którym nie powiedział faunowi: wmieszał do kleju na oprawę kilka swoich łez, bo był pewny, że księżniczkę z powrotem sprowadzi nie tylko odwaga i wiedza, lecz także miłość.

26 – Tylko dwa winogrona

* * *

Tym razem Ofelię obudził śmiech, cichy, ochrypły śmiech rozbrzmiewający echem w ciemnościach, które zalewały jej pokój jak czarne mleko.

— Widzę, że twoja matka czuje się znacznie lepiej, Wasza Wysokość. — Faun był z siebie bardzo zadowolony. — Na pewno kamień spadł ci z serca!

Wyglądał teraz na jeszcze młodszego, choć jego kozie nogi ciągle skrzypiały wraz z każdym krokiem, gdy szedł w stronę jej łóżka. Pomimo starożytnych wzorów na jego policzkach i czole skórę miał teraz tak gładką, że odbijała światło księżyca, który już prawie osiągnął pełnię.

— Tak, dziękuję ci — odpowiedziała dziewczynka, rzucając nerwowe spojrzenie na wystającą spod jej koca torbę fauna. — Sprawy nie przedstawiają się jednak tak dobrze... To znaczy, nie wszystkie.

— Ach? Nie? — Niebieskie kocie oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Ofelia była pewna, że faun już o tym wie. Sądziła, że wiedział wszystko — o tym świecie i o każdym innym.

— Zdarzył się... Zdarzył się wypadek — mruknęła, wręczając mu torbę. Wewnątrz świergotała jedyna ocalała wróżka. Ofelia nie ośmieliła się jej wypuścić, obawiała się bowiem, że i jej może się coś stać.

— Wypadek?! — faun powtórzył słowo z nieskrywanym niedowierzaniem.

Otworzył torbę i warknął.

Wróżka sfrunęła i wylądowała na jego ramieniu. Im dłużej faun jej słuchał, tym bardziej miał złowróżbną minę, aż w końcu obnażył ostre zęby i gniewnie zamruczał.

— Złamałaś zasady! — ryknął, celując w Ofelię pazurem.

— To były tylko dwa winogrona! — zawołała pośpiesznie, wyciągając spod poduszki owinięty w czerwony aksamit sztylet. — Myślałam, że nikt nie zauważy!

Faun szybkim ruchem chwycił sztylet i ze złością pokręcił głową.

— Popełniliśmy błąd!

— Błąd? — Ofelia ledwie słyszała własny głos.

— Zawiodłaś nas! — warknął faun, stając nad nią. — Nigdy nie będziesz mogła wrócić!

Ofelia odniosła w tym momencie wrażenie, że noc otwiera paszczę i ją połyka.

— Ale to był wypadek!

— Nie! — wrzasnął faun, mrużąc oczy z wściekłości i pogardy. — Nie będziesz mogła wrócić! Nigdy! — Każde słowo uderzało Ofelię jak kamień. — Księżyc będzie w pełni za trzy dni! Twój duch na zawsze pozostanie wśród ludzi. — Pochylił się ku niej. Jego twarz niemal dotknęła twarzy Ofelii. — Będziesz się starzeć jak oni. Umrzesz jak oni! I całą pamięć o tobie... — Cofnął się o krok, podniósł rękę, jakby chciał wymusić prorocstwo. — ...zatrze czas. A jeśli chodzi o nas... — Wskazał oskarżycielsko na wróżkę i na własną pierś. — ...zникniemy wraz z tobą. Nigdy więcej nas nie zobaczysz!

Potem ciało fauna wtopiło się w noc, jakby nieposłuszeństwo Ofelii zmieniło jego i wróżkę w cienie rozpuszczone przez światło rosnącego księżyca. A dziewczynka siedziała na łóżku, rozpaczliwym szlochem wypełniając ciszę, którą po sobie pozostawili.

27 – Złamany

* * *

Doktor Ferreiro wiedział, dlaczego Vidal go potrzebuje, gdy tylko Garces zapukał do jego drzwi. Przez chwilę lekarza kusiło, by udawać, że nie usłyszał pukania, chociaż wiedział, że w tym obskurnym pokoju nigdzie nie zdoła się ukryć.

„Co mnie w ogóle przywiodło do tego bastionu piekła? — zastanawiał się, wychodząc za Garcesem na deszcz. — przeznaczenie czy własne decyzje?” Padało przez całą noc i zapowiadał się kolejny dzień pod płaczącym niebem.

Trafne.

Kapitan stał przed stodołą i mył ręce w misce z wodą. Ferreiro nie zdziwił się, widząc krew na palcach kapitana. Tak, zobaczy dokładnie to, czego się spodziewał. Następnego złamanego człowieka.

— Dzień dobry, doktorze. — Vidal po raz kolejny przybrał pozę twardego faceta. Czasami trudno było się z niej nie śmiać, lecz kapitan był osobą zbyt przerażającą, żeby ktokolwiek brał pod uwagę taką gafę. — Przepraszam, że budzę pana tak wcześnie — podjął, opuszczając rękawy. — Ale myślę, że potrzebujemy pańskiej pomocy.

Koszulę miał czystą. Zawsze dbał o swój strój. Ferreiro wiedział, jak ważny jest wygląd dla tych, którzy rzadko zdejmują maski, a on nigdy nie widział prawdziwej twarzy kapitana. Jak Vidal wyglądał jako dziecko? Czy już wtedy jego wzrok był tak kompletnie pozbawiony emocji jak teraz? Czy kiedykolwiek nazwał kogoś swoim przyjacielem? Maską tego nie powie.

Gdy podążył w deszczu za Garcesem, próbował się przygotować, wyobrażając sobie, co żołnierze zrobili więźniowi. Jego wyobraźnia nie dorównała wszakże rzeczywistości. Niemal nie rozpoznał tego chłopca, który nie tak dawno próbował im przeczytać gazetę w leśnej jaskini.

Otwierając swoją torbę, lekarz ledwie mógł opanować drżenie rąk. Kiedy

wyjmował bandażę i środki dezynfekujące do oczyszczenia ran zadanych przez narzędzia Vidala, czuł wielką wściekłość, smutek i pełną obrzydzenia bezradność. Młodziutki partyzant siedział na podłodze, oparty plecami o belkę, do której go przywiązali, tuląc dłoń... o ile nadal można ją było nazwać dłonią. Z ust płynęła mu krew, a jedno z jego oczu było tak opuchnięte, że Ferreiro nie miał pewności, czy ciągle jest w oczodole.

Tarta... Tak, to był pseudonim, którym nazwali go pozostali. Chłopak jęknął, gdy doktor delikatnie wziął go za rękę, chcąc obejrzeć roztrzaskaną dłoń. Wszystkie palce wyglądały na zmiażdżone. Jeden z nich był tylko skrwawionym kikutem.

— Na Boga, co mu zrobiliście? — Te słowa po prostu wyrwały mu się z ust, chociaż wiedział, jak bardzo nierozsądny jest taki komentarz. Ale to, co zobaczył, nawet mądrość uczyniło niczym poza głupotą, bezużytecznym odwróceniem uwagi od ludzkiego okrucieństwa.

— Co mu zrobiliśmy? Niewiele. — W głosie kapitana usłyszał wyraźny ślad dumy. — Ale jesteśmy na dobrej drodze.

Vidal podszedł do torby doktora i wyjął z niej fiolkę dokładnie taką samą jak te, które znalazł przy ognisku partyzantów. Klęcząc obok rannego, Ferreiro tego nie zauważył. Widział jedynie opuchniętą twarz chłopca i obserwujące go jedno otwarte oko, zamglone ze strachu i bólu.

— Lubię mieć pana pod ręką, doktorze — powiedział stojący za lekarzem kapitan. — To ma swoje zalety.

Ferreiro był zbyt zajęty, więc nie dosłyszał szyderstwa. Tarcie złamano cztery żebra, prawdopodobnie kopniakiem. Do uszu lekarza dotarło, że Vidal nakazuje Garcesowi powrót wraz z nim do domu.

„Dobrze! Odejdź! — pomyślał Ferreiro, gdy zostawili go samego z udręczonym chłopcem. — Zanim ci powiem, kim jesteś. Jeśli uda mi się znaleźć odpowiednie określenie”.

— Mówiłem — wymamrotał młody więzień. — Niewiele. A-a-ale mówiłem...

W widocznym oku Tarty dostrzegł prośbę o wybaczenie. Na ten widok serce mu pękało niczym kawałek starej zużytej szmaty. Tyle mroku. Zbyt dużo.

— Przykro mi, synu — wyszeptał. — Tak mi przykro.

Wargi pokryte krwią starały się ponownie utworzyć słowa. Niedawne tortury nie ułatwiły chłopcu mówienia, lecz ostatecznie litery złożyły się w całość.

— Za-zabij mnie! — powiedział błagalnie Tarta. — Zabij mnie teraz. Proszę.
Zbyt dużo.

28 – Magia nie istnieje

* * *

Fiolki, które Vidal znalazł przy ognisku w lesie, trzymał w szufladzie swego stołu. Kiedy wrócił do pokoju, by je porównać z fiolkami, które właśnie wyjął z torby doktora Ferreiro, nie był zaskoczony, gdy okazały się identyczne.

— Sukinsyn! — syknął pod nosem.

Dał się ogłupić łagodności na twarzy dobrego lekarza. Kolejny błąd. Ale naprawi tę pomyłkę.

Ferreiro nadal był u Tarty, gdy kapitan schował fiolki z powrotem do szuflady.

Lekarz klęczał obok chłopca, nieświadomy, że Vidal odkrył jego zdradę. Płyn, który nabrał do strzykawki, był równie złoty jak klucz odebrany ropusze przez Ofelię. Tarta zamknął oko, to, które oprawcy pozostawili mu w nienaruszonym stanie, lecz usta miał rozchylone. Każdy oddech był aktem odwagi, ponieważ niósł ze sobą wielki ból, a kiedy Ferreiro wahał się, czy wbić igłę, chłopiec chwycił go za rękę zdrową dłonią, ponieważ pragnął mieć pewność, że strzykawka znajdzie jego ciało. Uniósł głowę na ostatnie spojrzenie — nieme podziękowanie od młodego człowieka, który nie może żyć, bo nie chciał go słuchać własny język. A na koniec ten język zmienił go w zdrajcę wobec tych nielicznych przyjaciół, których kiedykolwiek miał.

— Zobaczysz, po tym przestaniesz czuć ból. — Rozmowa z chłopcem jak ze zwyczajnym pacjentem przyniosła doktorowi Ferreiro przynajmniej trochę spokoju. Tarta ponownie zamknął oczy i tylko krew nadal ściekała mu na twarz spod czarnych włosów. — Tak, to prawie koniec — oznajmił cicho lekarz.

Powiedział to do siebie. Śmierć już zarzuciła na ramiona chłopca swój miłosierny płaszcz.

*

Vidal nie rozumiał takich ludzi jak Ferreiro. Nie miał wątpliwości, że człowiek,

który pomaga partyzantom, bez wątpienia zabije również jego nienarodzone dziecko.

Ofelia leżała pod łóżkiem matki, sprawdzając, jak się miewa mandragora, gdy kapitan wpadł po schodach na górę, pragnąc się upewnić, że jego syn wciąż żyje. Pospieszne kroki mężczyzny wypełniły młyn echem jego strachu, lecz dziewczynka ich nie słyszała. Była zbyt zaniepokojona stanem korzenia. Już się nie poruszał, chociaż dała mu świeżego mleka i kolejne kilka kropli krwi.

— Jesteś chory?

Pochylała się właśnie nad miską, kiedy nagle poczuła czyjeś ręce chwytające ją za nogi. Ręce w rękawiczkach. Wilk wyciągał ją brutalnie za kostki, a ona bezradnie wysuwała się spod łóżka.

— Co tam robiłaś? — Szarpał i potrząsał nią tak brutalnie, że dziewczynka poczuła nagle nienawiść do tego człowieka.

Oczywiście, znalazł miskę. Powąchał mleko i aż się wzdrygnął z odrazy.

— Co to jest, do diabła?!

Ofelia tylko pokręciła głową. Nie zrozumiałby.

Krzyknęła, kiedy wyjął z miski mandragorę i próbowała mu ją odebrać, ale Vidal trzymał korzeń poza jej zasięgiem; mleko spływało mu po jednej ręce, drugą ciągle trzymał Ofelię.

Krzyk Ofelii obudził matkę.

— Co robisz? Ernesto, zostaw ją — powiedziała słabo, odrzucając koce. — Zostaw ją, proszę!

Wilk wyciągnął w kierunku Carmen ociekającą mlekiem mandragorę.

— Spójrz na to! — Mleko obryzgało nocną koszulę Carmen, a kapitan wpychał korzeń w dłoń żony. — Co o tym myślisz? No?! Ukrywała to pod łóżkiem!

Ofelia nie potrafiła znieść spojrzenia matki. Jej twarz była blada z obrzydzenia.

— Ofelio?! — spytała, prosząc wzrokiem o wyjaśnienie. — Co ta... rzecz robiła pod moim łóżkiem?

Wilk podszedł do drzwi zeszywniałym ze złości krokiem.

— To magiczny korzeń — szlochała dziewczynka. — Faun mi go dał.

— To z powodu tych wszystkich bzdurow, które pozwalasz jej czytać. — Wilk stał w drzwiach, ale Ofelia nadal czuła na ramieniu ślady po jego palcach.

— Proszę, zostaw nas! Ja z nią porozmawiam, mi amor!

Ofelia nienawidziła czułości, którą słyszała w głosie matki, i jej chęci przypodobania się temu człowiekowi, choć on ledwo na nią patrzył.

Dzieci zauważają takie szczegóły, ponieważ mogą jedynie obserwować. I ukrywać się przed burzami, które wywołują dorośli. Burzami i lodowatymi zimami.

— Jak chcesz — odpowiedział Vidal, przypominając sobie, że są ważniejsze sprawy niż pertraktacje z samotną wdową, która rozpieściła swoją córkę.

Kiedy urodzi się jego syn, sytuacja ulegnie diametralnej zmianie.

Gdy wreszcie zostawił je same, Ofelia cała się trzęsła. Tyle gniewu: najpierw ze strony fauna, a teraz ze strony Wilka. Nie potrafiła wskazać, który z nich bardziej ją przerażał.

— Obiecał, że ci się polepszy! — zawołała. — I tak się stało!

— Ofelio... — Matka upuściła korzeń na łóżko i głaskała jej twarz. — Musisz słuchać swojego ojca! Musisz przestać się tak zachowywać!

„Ojca”. Och, tak ciężko było nie znienawidzić matki za to, że nazywała Vidala w ten sposób. I za słabość, z powodu której nie była w stanie jej ochronić. Objęła kobietę i przycisnęła twarz do jej ramienia. Koszula nocna matki wciąż pachniała miejscem, które kiedyś nazywały domem, gdzie Ofelia czuła się bezpieczna i szczęśliwa.

— Proszę, zabierz mnie stąd! — błagała. — Proszę, po prostu wyjedźmy! Proszę!

Były to jednak niewłaściwe słowa.

Matka uwolniła się z jej uścisku.

— Sprawy nie są takie proste, Ofelio. — Teraz nie było w jej głosie czułości. Był ostry ze zniecierpliwienia. — Jesteś coraz starsza. Wkrótce zobaczysz, że życie nie przypomina tego z twoich baśni. — Złapała korzeń mandragory i podeszła z nim do kominka, a każdy jej krok był boleśnie powolny. — Świat jest okrutny, Ofelio. I musisz się tego nauczyć. Nawet, jeśli to boli.

Potem wrzuciła mandragorę do ognia.

— Nie! — Dziewczynka usiłowała sięgnąć po osobliwą roślinę, ale matka chwyciła ją za ramiona.

— Ofelio! Magia nie istnieje! — Jej głos był zachrypnięty ze zmęczenia i gniewu

na wszystkie marzenia, które się nie ziściły. — Ani dla ciebie, ani dla mnie, ani dla nikogo innego!

Przenikliwy pisk podniósł się od ognia. To była mandragora — płonąca, wijąca się z bólu, krzycząca jak noworodek, kiedy płomień zjadał jej blade kończyny.

Carmen stanęła naprzeciw kominka i przez chwilę Ofelia mogłaby przysiąc, że matka dostrzega rozgrywającą się na jej oczach magię, że słyszy krzyki, widzi, jak korzeń się skręca...

Ale potem kobieta straciła oddech i złapała się wezgłowia. Nogi się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę, wytrzeszczając oczy z niedowierzania i paniki, podczas gdy korzeń mandragory nadal pisał w płomieniach.

Krew. Krew ściekała spomiędzy nóg Carmen, plamiąc jej skórę, koszulę nocną, podłogę.

— Mamo! — Ofelia opadła na kolana u jej boku. — Pomocy! — zawołała. — Pomocy!

Na dole w kuchni służące upuściły noże. Wszystkie martwiły się o Carmen i jej nienarodzone dziecko. „Lekarz pomoże” — pocieszały się w myślach.

Ale doktor Ferreiro przebywał obecnie w stodole, gdzie z pustą strzykawką w ręku klęczał obok martwego chłopca.

29 – Człowiek innego typu

* * *

Słyszając kroki zbliżające się przez deszcz, Ferreiro wstał. Jako pierwszy do stodoły wszedł Garces, mocno zbudowany, gruboskórny Garces, który potrafił utrzymać ból innych w wygodnej odległości od własnego serca. Oficer zagapił się na umęczonego chłopca, którego oszpecona twarz była teraz spokojna i pośmiertnie wygładzona, a tymczasem inni żołnierze zebrali się przed drzwiami stodoły, kryjąc się przed ulewnym deszczem pod parasolami, które dziwnie kontrastowały z ich mundurami.

Vidal przybył ostatni. Ukląkł przy boku Tarty i przyglądał się bacznie martwemu ciału, podczas gdy doktor Ferreiro wkładał strzykawkę z powrotem do torby, którą następnie zamknął. Opanowany, spokojny... Spełnił swój obowiązek.

— Dlaczego pan to zrobił? — Vidal wstał.

— To była jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić.

— Co ma pan na myśli? — W głosie kapitana usłyszał nutę zaskoczenia. Zaskoczenia, może ciekawości... — Mógł pan mi się przecież podporządkować!

Podszedł do lekarza powoli jak drapieżnik tropiący zdobycz i zatrzymał się tuż przed nim. Doktorowi nie było łatwo stać i po prostu na niego patrzeć. Ale istnieje wiele rodzajów odwagi. Ferreiro obawiał się tego człowieka od tak dawna, był świadkiem jego rzezi, leczył zadane przez niego rany. I teraz czuł ulgę, bo nie musiał już udawać, że jest po jego stronie.

— Tak, to prawda, mogłem się podporządkować — odparł spokojnie. — Ale się nie podporządkowałem.

Vidal obserwował doktora Ferreiro niczym dziwne zwierzę, jakiego nigdy przedtem nie widział.

— Tak by było dla pana lepiej. Wie pan o tym. Dlaczego mnie pan nie posłuchał?

W jego głosie i zaciśniętych wąskich ustach można było dostrzec strach. W jego

królestwie ciemności wszyscy odczuwali strach, dlaczego więc nie ten łagodny okularnik, który do tej pory w jego obecności ledwo odważył się odezwać?

— Być posłusznym... — lekarz dobierał słowa ostrożnie — ...ot tak, w imię samego posłuszeństwa, bez kwestionowania... to coś, co mogą robić tylko ludzie tacy jak pan, capitán.

Odwrócił się, podniósł torbę, po czym wyszedł na deszcz. Wiedział oczywiście, co się wydarzy, ale dlaczego nie miał się podelektować choć jedną chwilą całkowitej wolności od lęku? Odchodząc, poczuł na twarzy krople zimnego deszczu. Takie drogocenne kilka kroków, taka wolność, taka zgoda z samym sobą.

Zerknął przez ramię, dokładnie w momencie, w którym Vidal wyszedł ze stodoły pewnym siebie krokiem myśliwego. Kiedy kapitan wyjmował pistolet, Ferreiro nie odwrócił się ani nie zatrzymał. Nadal szedł. Gdy kula trafiła go w plecy, zdjął okulary i przetarł oczy, chociaż wiedział, że wypełniająca je mgła jest tchnieniem śmierci. Zrobił dwa kolejne kroki. Wtedy nogi ugięły się pod nim i upadł w błoto i w słabnący już deszcz. Słyszał własny oddech. Było mu zimno. Bardzo zimno. Nie przyszło do niego żadne wspomnienie, żadne uspokajające słowa. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zauważył tylko jedno — pająka ukrytego wśród kamieni kilka metrów dalej. Zwierzątko ukazało się jego oczom jak cud: widział każdy jego staw, każdy włosik i każdy element chitynowego oskórka. Szczegóły budowy pająka, jego gracia, jego piękno i jego głód, wszystko to składało się na jedną rzecz: ostatnią żywą istotę. Ferreiro wciągnął powietrze i bezwiednie zaczerpnął łyk mętnej wody. Próbował ją wykaszleć, lecz w połowie kaszlnięcia jego serce się zatrzymało.

Jeden czysty strzał.

Vidal podszedł do rozciągniętego ciała i zgniótł butem leżące obok niego okulary. Ciągle nie rozumiał, dlaczego ten głupiec go nie posłuchał, ale czuł dziwną ulgę, że dobry doktor nie żyje i że już nigdy więcej nie będzie musiał patrzeć w te łagodne, zamyślane oczy.

— *Capitán!*

Przed stodołą stały dwie służące, obu twarze pobladyły ze zmartwienia. Vidal wepchnął pistolet z powrotem do kabury. Ledwie mógł zrozumieć, co mówią. Jego żona nie czuła się dobrze — oto co w końcu wywnioskował z ich przestraszonej

paplaniny — i jego syn był w drodze, a lekarz, który miał mu pomóc w przyjsciu na świat, leżał martwy w błocie.





Gdy faun się zakochał

Jest taki las w Galicji, las tak stary, że niektóre drzewa pamiętają czasy, gdy zwierzęta przybierały kształty ludzi, a ludziom wyrastały skrzydła i sierść. Niektórzy ludzie — szepczą drzewa — stawali się nawet dębami, bukami i wawrzynami, a potem wbijali swoje korzenie tak głęboko w ziemię, że nie pamiętali nawet swoich imion. Rośnie tam drzewo figowe, którego historię szczególnie lubią opowiadać inne drzewa, kiedy pod wpływem wiatru szemrzą ich liście. Figowiec ów stoi na wzgórzu w samym sercu lasu. Można go łatwo dostrzec, ponieważ dwie z jego głównych gałęzi wyginają się jak rogi kozła, a pień jest rozszczepiony tak, jakby drzewo urodziło coś, co wyrosło pod jego korą.

„Tak! — szepcze las. — Dlatego pień jest rozwany jak rana. To drzewo naprawdę rodziło, ponieważ kiedyś było kobietą, która tańczyła i śpiewała pod koronami moich drzew. Zrywała moje jagody i wplatała we włosy moje kwiaty. Ale pewnego dnia poznała faunę, który lubił grać na flecie w świetle księżyca. Faun ów stworzył flet z kości palców ogra, a jego melodia mówiła o ciemnym Podziemnym Królestwie, skąd pochodził, tak odmiennym od światła, które niosła w sobie kobieta”.

Wszystko to było prawdą, a kobieta i tak zakochała się w faunie, miłością tak głęboką i nieprzeniknioną jak studnia, faun zaś odwzajemnił uczucie. Jednakże kiedy w końcu poprosił kobietę, aby poszła z nim do podziemnego świata, ta wystraszyła się na myśl o spędzeniu reszty życia w świecie, w którym już nigdy nie zobaczy gwiazd ani nie poczuje wiatru na skórze. Więc zdecydowała się zostać i obserwowała, jak faun odchodził.

Miłość wypełniła ją wszakże taką tęsknotą, że stopy kobiety zmieniły się w korzenie, które podążyły za ukochanym pod ziemię, natomiast jej ramiona sięgnęły nieba i gwiazd, które zamiast niego wybrała.

Och, jakże cierpiała. Z tego powodu jej miękka skóra stwardniała w kore, a westchnienia zmieniły się w szelest wiatru w tysiącach liści i gdy faun wrócił pewnej księżycowej nocy, aby zagrać dla ukochanej na flecie, znalazł jedynie drzewo szepczące imię, którego nie wyznał nigdy nikomu poza nią.

Usiadł między korzeniami drzewa i poczuł na twarzy — niczym rosę — własne łzy. Gałęzie obsypały go kwiatami, lecz kochanka nie mogła mu już zarzucić ramion na szyję ani go pocałować. Tak wielki ból targnął jego dzikim i nieustraszonym sercem, że kiedy gładził drzewo własną skórą — niegdyś pokrytą jedwabistym futrem — stała się ona tak szorstka i drewniana jak kora jego utraconej miłości.

Przesiedział pod drzewem całą noc, aż słońce wzeszło i go przepędziło, nigdy bowiem nie przyzwyczał się do jego jaskrawego blasku. A kiedy wrócił w ciemne czeluście ziemi, drzewo w smutku pochylało gałęzie coraz niżej i niżej, aż przypominało rogatą głowę kochanka.

Osiem miesięcy później, w noc z księżycem w pełni, pień drzewa rozszczepił się z cichym jękiem i wyszło dziecko. Był to chłopiec urodziwy jak matka, a rogi w zielonych włosach i kopytka na smukłych nóżkach zdradzały, kim jest ojciec. Chłopiec brykał i tańczył, zbiegając ze wzgórza, tak jak jego matka swego czasu tańczyła pod drzewami, sam też wykonał z kości ptaków flet i wypełniał las piosenką o miłości i stracie.

Głęboko pod ziemią, gdzie akurat uczył księżniczkę dworskiej etykiety, faun usłyszał muzykę fletu. Wymówił się i przez znane tylko sobie sekretne korytarze popędził do Górnego Królestwa. Ale kiedy przybył, nigdzie nie usłyszał dźwięku fletu, znalazł jedynie ślady małych kopytek na mokrym mchu, zmytych po kilku tanecznych krokach przez deszcz.

30 – Nie skrzywdź jej

* * *

Matka krzyczała. Ofelia siedziała na ławce, którą jedna ze służących ustawiła przed sypialnią chorej, więc słyszała krzyk przez ścianę. Wilk siedział obok niej, ledwie na długość wyciągniętego ramienia i wpatrywał się ślepo w drewnianą balustradę, przez którą Ofelia czasami obserwowała służące w holu na dole.

„Czy on też — zastanowiła się dziewczynka — ma ochotę rzucić się przez tę balustradę przy każdym kolejnym udręczonym odgłosie, który wydaje matka?” Roztrzaskać zbolące serce na kamiennych płytach i znaleźć ukojenie, uciekając przed strachem i cierpieniem? Ale życie jest silniejsze niż śmierć, więc Ofelia pozostała na ławce obok Wilka, który zwabił jej matkę do tego domu, aby tu krzyczała i krwawiła.

Dziewczynka była pewna, że wszystko byłoby dobrze, gdyby matka nie wrzuciła do ognia mandragory. Albo gdyby ona sama lepiej korzeń ukryła. I gdyby się powstrzymała i nie zjadła winogron ze stołu Białego Mężczyzny...

Znów krzyk.

Czy życzyła swojemu bratu śmierci za to, że tak bardzo krzywdził matkę? Nie potrafiła odpowiedzieć. Niczego nie była już pewna. Od tego lęku i bólu jej serce dziwnie odrętwiało. Czy brat kazał matce krzyczeć, bo był równie okrutny jak jego ojciec? Nie. Prawdopodobnie nic nie mógł na to poradzić. Nikt go przecież nie zapytał, czy pragnie się urodzić. Może był szczęśliwy tam, gdzie przebywał przedtem. Może żył w tym samym świecie, z którego zdaniem fauna ona pochodziła. Jeśli tak, będzie musiała wyjaśnić bratu, jak trudno będzie mu tam powrócić.

Jedna ze służących przebiegła obok z dzbankiem wody.

Vidal podążył za nią wzrokiem.

Jego syn. Straci syna. Nie dbał o kobietę, która krzyczała obok w pokoju. Żona krawca... Błędne wybory... przez całe życie. Powinien się domyślić, że jest zbyt słaba, aby zapewnić bezpieczeństwo jego synowi. Synowi, którego potrzebował.

W sypialni Mercedes walczyła z atakiem Śmierci. Wraz z lekarzem wojskowym i innymi służącymi.

Wszystko było czerwone od krwi: pościele na łóżku, ręce lekarza przyzwyczajonego do krzyków rannych żołnierzy, lecz nie do bólu spowodowanego przychodzeniem na ten świat, a także biała koszula nocna, którą dla Carmen uszył ojciec Ofelii.

Mercedes odwróciła się od łóżka.

Krew... była chyba wszędzie. Do tej pory kobieta usłyszała już o doktorze Ferreiro leżącym w błocie, gdzie jego krew mieszała się z deszczem, i o Tarcie, którego krew barwiła słomę na podłodze stodoły. Mercedes poszła zamknąć drzwi sypialni, chociaż wiedziała, że dziewczynka siedząca za nimi i tak może usłyszeć krzyki przez ścianę. Jakże współczuła tej małej. Ból dziecka zawsze rani bardziej niż ból matki.

Kolejny krzyk.

Ofelia odczuła go tak, jakby nóż odcinał kawałek jej serca. Jedna ze służących wybiegła na korytarz, trzymając stopy przesiąkniętego krwią płótna. A wtedy... krzyki i jęki osłabły... aż ucichły.

Straszna cisza przesączała się przez ścianę i wypełniła korytarz.

Następnie przebił ją przenikliwy głos płaczącego dziecka.

Lekarz wyszedł z pokoju, fartuch i ręce miał pokryte krwią.

Wilk wstał.

— Pańska żona nie żyje.

Lekarz obniżył głos, ale Ofelia i tak go usłyszała.

Świat okazywał się miejscem tak twardym i niewygodnym jak ławka, na której dziewczynka siedziała, równie surowym jak pobielone ściany wokół niej. Niczym zimny deszcz poczuła na twarzy łzy. Dopiero teraz zrozumiała, co to znaczy być samą, zupełnie samą.

Jakoś udało jej się wstać i powoli ruszyła po drewnianych deskach podłogowych, do gładkości wytartych krokami ludzi z przeszłości, w stronę pokoju matki, gdzie płakało dziecko. Odgłosy wydawane przez chłopca brzmiały jak piski mandragory. Udało się. Może mimo wszystko magia istniała? Przez chwilę Ofelia miała nawet

wrażenie, że brat ją woła, potem jednak zobaczyła pustą twarz matki. Jej nieprzejrzyste oczy, zmatowiały jak stare lustro.

Nie, na świecie nie było magii.

*

Carmen pochowano następnego dnia, tuż za młynem. Był to szary poranek, a Ofelia, stojąc przy grobie, czuła się tak, jakby nigdy nie miała matki. Albo może jakby matka właśnie poszła do lasu. Ofelia nie mogła jej sobie wyobrazić w tej prostej trumnie, pośpiesznie zbitej z kilku desek przez cieślę, którego Wilk wezwał z jednej z pobliskich wsi.

Ksiądz był niewysokim starcem. Wyglądał tak, jak gdyby to jego następnego miała dopaść Śmierć.

— *Ponieważ w Jego słowach i Jego tajemnicy kryje się istota Jego miłosierdzia...*

Ofelia usłyszała te słowa, ale nie znalazła w nich sensu. Była sama, zupełnie sama, choć Mercedes stała za nią i chociaż miała teraz brata. Wilk trzymał go w ramionach. Dać mu syna... to było wszystko, do czego była mu potrzebna matka.

Ksiądz nadal mówił, a Ofelia wpatrywała się w dół, który żołnierze wykopali w błotnistej ziemi. Może od początku tak było — może po to wraz z matką przyjechały do młyna: żeby znaleźć ten grób, żeby ponownie spotkać się ze Śmiercią. Nie było miejsca, do którego można było przed nią uciec. Śmierć rządziła wszędzie. Ofelia zadała sobie pytanie, od kiedy matka wiedziała, że nigdy nie opuści tego miejsca?

— *Ponieważ Bóg daje nam znaki i naszym zadaniem jest ich zrozumienie.*

Słowa księdza brzmiały jak wyrok, dokładnie tak samo jak te, które wcześniej wykrzyczał do dziewczynki rozwścieczony faun. Tak, matkę Ofelii również osądzono. Dziewczynka nie potrafiła się pozbyć tej myśli, kiedy patrzyła na brata śpiącego w ramionach ojca. Nie chciała na nich patrzeć. To oni zabili jej matkę.

— *W ziemi pozostaje tylko nasza pusta i pozbawiona czucia powłoka. Dusza jest już bowiem daleko stąd, żyjąc w wiecznej chwale...*

Ofelia nie chciała, żeby dusza matki była daleko. Ale teraz, kiedy wróciła do

sypialni Carmen, nie mogła jej tam znaleźć. Daleko, daleko stąd...

Niektóre książki nadal leżały na stoliku nocnym, jak gdyby nic się nie zmieniło... i jakby wciąż miała matkę.

„Ponieważ to w bólu... — głos księdza wyszeptał w jej głowie — ...znajdujemy sens życia i stan łaski, który tracimy w chwili narodzin”. Buteleczka z kroplami na sen od doktora Ferreiro stała na stoliku. Ofelia podniosła ją do okna, pozwalając bursztynowej cieczy schwytać tę odrobinę porannego światła.

„Bóg w swojej nieskończonej mądrości umieszcza w naszych rękach rozwiązanie”.

Ofelia włożyła buteleczkę do walizki od Mercedes już wypełnionej kilkoma ubraniami matki, a potem wzięła swoje książki. Nie było innej walizki na stole, przy którym jej matka stawiała herbatę, a pod oknem stał wózek.

„Ponieważ tylko Jego fizyczna nieobecność potwierdza miejsce, które Bóg zajmuje w naszych duszach”.

Kiedy dziewczynka spoglądała na pusty wózek inwalidzki, obok okna przeleciały dwa kruki, takie piękne, takie swobodne. Dokąd poszła matka? Czy była teraz z ojcem Ofelii? Czy on jej wybaczy, że umarła, rodząc dziecko innemu mężczyźnie?

Ofelia odwróciła się plecami do okna.

Nie było żadnego Boga. Nie było magii.

Była tylko Śmierć.

31 – Kocur i myszka

* * *

Nadeszła noc, spowijając resztki dnia. Mercedes znajdowała się w pokoju Vidala, trzymając dziecko osierocone przez matkę, i pragnęła, żeby chłopiec stracił również ojca, pragnęła, żeby nigdy nie spotkał człowieka, który siedział teraz za stołem, cały i zdrowy, nieporuszony śmiercią żony. Mercedes nie знаła własnego ojca, ale patrząc na tego mężczyznę, uważała się za szczęściarę. Jakim człowiekiem będzie jego syn, dorastając w takim mroku?

Delikatnie włożyła chłopca z powrotem do kołyski i przykryła go kocykiem. Jego ojciec trzymał w ręku jedną z płyt gramofonowych, które odtwarzał w dzień i w nocy. Mercedes słyszała tę muzykę już nawet w snach. Z płytami kapitan obchodził się tak delikatnie, iż można było niemal uwierzyć, że użył innej pary rąk do połamania kości Tarcie i strzelenia lekarzowi w plecy. Mercedes tęskniła za doktorem Ferreiro. Tylko jemu w całym młynie mogła zaufać.

— Dość dobrze znałaś doktora Ferreiro, prawda?

Vidal wytarł płytę rękawem od munduru, munduru, który czyściła przez kilka godzin, zanim zdołała usunąć z niego ślady krwi.

„Nie okazuj strachu, Mercedes”.

— Wszyscy go znaleźliśmy, *señor*. Wszyscy tutaj.

Ledwie na nią spojrział. Och, jak dobrze znała te jego gierki.

„Nie okazuj strachu, Mercedes”.

— Jąkała wydał informatora — rzucił mimochodem, jakby omawiali, co będzie na kolację. — Tutaj... w młynie. Możesz to sobie wyobrazić? — Gdy przechodził obok Mercedes, musnął jej ramię. — Tuż pod moim nosem.

Wpatrywała się w swoje stopy. Nie czuła ich. Zdrętwiały ze strachu. Vidal umieścił płytę na gramofonie.

„Nie patrz na niego, Mercedes. Spojrzy i będzie wiedział!”

Panika ścisnęła jej gardło i chociaż kobieta bardzo się starała przełknąć ślinę, własny lęk dusił ją jak sznur. Chłopczyk zaczął się cicho skarżyć, wydając niemal stłumione odgłosy, jakby jeszcze nie umiał płakać.

— Mercedes, proszę. — Vidal wskazał na fotel przed swoim stołem.

Ciężko było zmusić stopy do ruchu, chociaż Mercedes wiedziała, że zdradzi ją każda sekunda wahania. Może i tak było już na to za późno. Może Tarta wydał ich wszystkim. Słaby, złamany Tarta.

— Co ty o mnie myślisz? — Vidal nalał do szklanki brandy z butelki, którą trzymał w dolnej szufladzie.

Kocur bawił się z myszką; Mercedes знаła kapitana zbyt długo, by mieć jakiegokolwiek złudzenia co do rezultatu tej gry. Strach wypełnił jej gardło jakby potłuczonym szkłem i usiadła bokiem, dzięki czemu nie musiała patrzeć wprost na Vidala. I uległa złudzeniu, że może się zerwać i uciec.

— Na pewno uważasz mnie za potwora. — Wyciągnął w jej stronę szklaneczkę.

„Tak! — chciała krzyknąć. — Tak! Bo nim jesteś”. Ale ustom udało się wypowiedzieć słowa, które kapitan najprawdopodobniej pragnął od niej usłyszeć:

— Nie ma znaczenia, co myśli ktoś taki jak ja, *señor*.

Szybko chwyciła szklaneczkę, mając nadzieję, że mężczyzna nie zauważy drżenia jej dłoni. Vidal napełnił kolejną szklankę, dla siebie, po czym ją wypił. Mercedes wciąż nie tykała swojego trunku. Jak mogła pić, gdy strach ścisnął jej gardło?

„On wie...”

— Przynieś mi więcej alkoholu. Ze stodoły. — Wepchnął korek do butelki. — Proszę.

— Tak, *señor*. — Mercedes odstawiła na stół nietkniętą szklaneczkę. — Dobranoc, *señor*.

Wstała.

— Mercedes...

Biedna myszka. Kot zawsze daje ten moment nadziei.

— Nie zapomniałaś o czymś?

— *Señor*? — Odwróciła się powoli jak mucha złapana w bursztyn, jak owad wokół którego zastyga żywica drzewa.

Kapitan otworzył górną szufladę swojego stołu.

— Klucz. — Wyciągnął go. — Mam jedyny egzemplarz, prawda?

Przerażenie usztywniło jej kark, na szczęście udało jej się skinąć głową.

— Tak, *señor*.

Wstał z fotela i wając klucz w rękę, obszedł stół.

— Wiesz, jest pewien dziwny szczegół, który mnie dręczy. Może nie jest to ważne, ale... — Zatrzymał się tuż przed nią. — Tego dnia, gdy partyzanci włamali się do stodoły z tymi wszystkimi granatami i materiałami wybuchowymi... sam zamek nawet nie został naruszony.

Spojrzenie mu w oczy wymagało od Mercedes całej posiadanej odwagi. Całej.

— Ale jak wspomniałem... — oczy Vidala były czarne jak lufa pistoletu, z którego zastrzelił doktora Ferreiro — ...to pewnie bez znaczenia. — Kiedy podawał jej klucz, objął jej palce swoimi, tymi palcami, którymi masakrował Tartę. — Bądź bardzo ostrożna.

Kocur wyraźnie nie chciał jeszcze zakończyć zabawy z myszką. Inaczej by jej przecież nie ostrzegał. Tak. Chciał patrzeć, jak Mercedes ucieka, i strzelić jej w plecy tak jak doktorowi Ferreiro. Albo gonić ją jak wypłoszonego z ukrycia jelenia.

Vidal poluźnił uścisk, lecz nie spuszczał z niej wzroku.

— Dobranoc, *señor*. — Ponownie się odwróciła, zaskoczona, że własne nogi w ogóle stosują się do jej poleceń.

„Idź, Mercedes!”

*

Vidal obserwował, jak odchodziła. Wszystkie kocury chętnie pozwalają myszkom uciec. Na chwilę. Po tym, jak myszki poczują ich pazury.

Podszedł do gramofonu i opuścił igłę na czarną płytę. Można było do tej muzyki tańczyć. Odpowiednia, ponieważ właśnie rozpoczął kolejnego morderczego walca i tym razem ofiara była wyjątkowo piękna.

Vidal zbliżył się do kołyski i spojrzał na syna.

Kobieta, która go urodziła, również była piękna, ale Mercedes była silniejsza.

Co oznaczało, że o wiele przyjemniej będzie ją złamać, na pewno znacznie przyjemniej, niż torturować tego jakaś lub strzelać do szlachetnego lekarza idioty. I miał teraz syna. Kogoś, kogo nauczy, o co chodzi w życiu.

Nauczy go tego okrutnego tańca. Krok po kroku.

32 – To nic

* * *

Chociaż Mercedes pragnęła uciec, zeszła powoli po schodach, martwiąc się, że potknie się z powodu drżących kolan.

Kapitan nie poszedł za nią, jeszcze nie, ale nie zostało jej dużo czasu.

Odsunęła na bok kafelek w kuchennej podłodze i wyjęła ostatni plik listów, które zobowiązała się dostarczyć ludziom w lesie, listów od ich matek, ojców, sióstr i ukochanych. Z góry, z pokoju Vidala, słychać było kobiecego głosu, śpiewającego cicho o miłości i jej katuszach, jakby kapitan drażnił ją swoją muzyką, a Mercedes każdą nutę odczuwała jak czubek noża przyciskany do jej szyi.

„On wie”.

Tak, wiedział, a ona skończy jak Ferreiro z twarzą w błocie — choć Vidal pewnie wolałby, żeby umarła na plecach jak matka Ofelii, jednocześnie dając mu drugiego syna. Przez chwilę Mercedes tylko stała w ciemnej kuchni, wstrzymywana przez płynący z góry utwór, jakby wciąż za rękę chwytały ją palce kapitana, te zakrwawione palce mordercy.

„Idź, Mercedes. On nie może związać cię piosenką”.

Nie, nie mógł, ale ona nie mogła też zostawić tu dziewczynki. Nie bez pożegnania.

Kiedy wślizgnęła się do pokoju na poddaszu, w noc po pogrzebie matki, Ofelia spała, choć pora była jeszcze wczesna. Rozpacz wyczerpuje ludzkie serce. W muzyce Vidala utonęły zdradzieckie skrzypnięcie drzwi i odgłos kroków Mercedes, kiedy podeszła do łóżka dziewczynki. Zazwyczaj wydawało się, że stary młyn stoi po stronie żołnierzy, ale czasami Mercedes widziała w starym domu przyjaciela.

— Ofelio! Ofelio, obudź się! — Nie odrywając oczu od drzwi, chwyciła dziewczynkę za ramię. — Ofelio.

„Proszę, obudź się, proszę...”

Powieki dziewczynki, ciężkie od snu, w końcu się uniosły. Kobieta pochyliła się

nad nią, łapiąc ją za rękę.

— Odchodzę, Ofelio.

Oczy otworzyły się szeroko, piękne oczy, tak piękne jak oczy matki Ofelii, ale piękno to na tym świecie niebezpieczny dar.

— Dokąd idziesz?

— Nie mogę ci powiedzieć. Nie mogę.

Mercedes rzuciła kolejne spojrzenie na drzwi. Muzyka nadal się sączyła, jakby kapitan tkął swoją sieć, oplatając noc.

— Zabierz mnie ze sobą! — Dziewczynka złapała ją za ramię. — Proszę!

— Nie, nie! — szepnęła Mercedes, gładząc jej przerażoną twarz. — Nie mogę!

Ofelia zarzuciła jej rękę na szyję. Była zbyt młoda, by pozostać sama na świecie, zbyt młoda.

Ucałowała jej włosy, tak kruczoczarne jak jej własne, i trzymała małą w ramionach. Tak kiedyś chciałaby trzymać własną córkę.

— Nie mogę, moje dziecko! Wrócę po ciebie, obiecuję.

Ale dziewczynka jej nie puszczała. Trzymała ją tak mocno, że Mercedes czuła bicie jej serca.

— Zabierz mnie ze sobą! — błagała. — Zabierz mnie ze sobą! — powtarzała.

Jak ktoś mógłby odmówić w obliczu takiej samotności?

*

Potykając się przez noc, poszły wzdłuż strumienia, drząc pod kroplami kolejnej marznącej ulewy. Stary parasol, który wzięła Mercedes, ledwo osłaniał je przed deszczem. W pewnej chwili kobiecie się wydawało, że słyszy za sobą kroki doktora Ferreiro, i musiała sobie przypomnieć, że lekarz nie żyje, tak jak Tarta i wielu innych. „Nie żyją”. Czy te słowa stawały się bardziej czy mniej realne za każdym razem, gdy trzeba je było połączyć z ukochaną osobą?

— Czeka! — Mercedes się zatrzymała, a jej ręka zacisnęła się mocniej wokół ramion Ofelii.

Miała wrażenie, że słyszy parskanie koni, ale kiedy wsłuchiwała się intensywnie

w odgłosy nocy, do jej uszu docierało jedynie bębnienie deszczu o drzewa i kapanie kropli z liści nad nimi.

— To nic! — szepnęła, przyciskając dziewczynkę do swojego boku. — Nie martw się. Chodźmy.

Ale gra już się skończyła.

Kiedy Mercedes się odwróciła, podnosząc parasol, zobaczyła twarz Vidala. Za nim stał Garces i co najmniej dwudziestu żołnierzy. Jak to możliwe, że ich nie usłyszała? Czy noc zawsze jest po stronie tych, którzy polują?

— Mercedes. — Kapitan zmienił jej imię w łańcuch na szyi. Jego wzrok wędrował po twarzy kobiety, stężalej ze strachu, a później w dół, do dziewczynki. — Ofelia.

Nie próbował ukryć swojej nienawiści.

Złapał dziewczynkę za ramię, a kobietę zostawił Garcesowi.

*

„Zabiją ją. — To była jedyna myśl, która kołatała się w głowie Ofelii, gdy Wilk ciągnął ją z powrotem do młyna, przez las, przez pokryte błotem podwórze, do domu, gdzie zmarła jej matka. — Zabiją Mercedes, tak jak zabili moją mamę”.

Rękoma jak z żelaza męczyzna ciągnął ją po schodach. Jednemu ze swoich żołnierzy rozkazał pilnować drzwi, po czym wepchnął dziewczynkę brutalnie do jej pokoju.

— Od kiedy o niej wiedziałaś?

Uderzył ją w twarz. Ofelia zastanowiła się, czy jej buzia jest wciąż mokra od deszczu, czy też krople, które czuła na policzkach, to łzy. Odpowiedź nie miała znaczenia. Krople deszczu również były łzami. Cały świat płakał.

— Od jak dawna się ze mnie śmiejesz, mała czarownico?!

Potrząsnął nią, a ona wyczuła, że chciałby ją złamać. Zaszlachtować niczym jednego z królików, które kucharz przygotowywał w kuchni. W końcu puścił dziewczynkę, obrzuciwszy ją siarczystym przekleństwem, a później zdjął czapkę i oddychając ciężko, przygładził sobie włosy. Po raz pierwszy w masce na jego twarzy pojawiło się pęknięcie, które przstraszyło Ofelię bardziej niż napad furii fauna. Wilk

nigdy jej nie wybaczy, że widziała go w chwili słabości — tak jak nie wybaczy, że nie powiedziała mu o działalności Mercedes.

— Uważaj na nią! — warknął kapitan do stojącego przy drzwiach żołnierza. — A jeśli ktoś spróbuje wejść... — Przesunął sobie czapkę na tył głowy, poprawił ją i słabość na jego twarzy zniknęła. — ...Zabij ją jako pierwszą.

Policzek parzył Ofelię, jakby Wilk swoim ciosem przeciął jej skórę. Gdy mężczyzna zamknął drzwi, zaczęła płakać wszystkimi tymi nagromadzonymi łzami: za matką, za Mercedes, za utraconym życiem.

33 – Tylko kobieta

* * *

Gdy na zewnątrz wstawał nowy dzień, Mercedes tkwiła w stodole, przywiązana do belki poplamionej krwią Tarty. Nie patrzyła na Garcesa, kiedy zaciskał sznury i wiązał jej ręce w ten sam sposób, w jaki wcześniej związał dłonie młodzieńskiemu partyzantowi.

Vidal był zajęty przeszukiwaniem jej torby. Zdjął rękawiczki. Często to robił, kiedy przesłuchiwał więźnia. Bardzo ciężko jest usunąć krew ze skóry. Mercedes wiedziała. Próbowwała wiele razy.

— Chorizo... — Rzucił kiełbasę na ziemię. — Nie zamierzałaś nią nakarmić tylko siebie i dziewczyny, prawda? A tego na pewno nie ukradłaś dla niej. — Powąchał małą paczkę. — Mój najlepszy tytoń. Trzeba było o niego poprosić. Dałbym ci go, Mercedes.

Garces uśmiechnął się i zawiązał kolejny węzeł, podczas gdy kapitan grzebał wśród listów, które Mercedes miała dostarczyć ludziom w lesie.

— Chcę nazwiska tych, którzy je napisali. Jutro chcę ich tu widzieć. — Podał listy Garcesowi.

— Tak, capitán.

Dlaczego nie zostawiła tych listów? Ci wszyscy bliscy partyzantów, po których żołnierze teraz pójda...

Nic nie sprawiłoby większego bólu mężczyznom w lesie. Wszystkie te słowa miłości zmieniają się teraz w broń przeciwko ludziom, których miały pocieszyć.

Mercedes próbowała zapanować nad łzami. Rozpacz wzbierała w jej sercu niczym zatruta woda. Miłość jest skuteczną pułapką, a najokrutniejsza prawda o wojnie jest taka, że zmienia ona uczucie w śmiertelne zagrożenie.

„Zabijemy twoją matkę. Zgwałcimy twoją siostrę. Połamiemy kości twojemu bratu...”

Oparła głowę o rozszczerzone drewno. Co za różnica, czy zabiją ją akurat teraz? Za długo się tego bała. Była tak wyczerpana strachem, że nie czuła niczego oprócz żalu związanego z listami i współczucia dla ludzi, którzy wkrótce usłyszą pukanie do drzwi.

Vidal rozpiął guziki koszuli, którą wcześniej wyprała i wyprasowała. Jak często przeklinała plamy krwi pochodzące z ciała innej osoby? Czy jej krew poplamia rękawy koszuli kapitana czy też mężczyzna ją zdejmie? „Tak, Mercedes, myśl o koszulach do prania. Nie pozwól się skupić umysłowi na rozważaniach, co Vidal ci zrobi”.

— Możesz odejść, Garces.

Nie była pewna, co wyczuwa w spojrzeniu, które posłał jej oficer. Niektórzy żołnierze nie lubią torturować kobiet. Vidal z pewnością nie miał takich wątpliwości. Podejrzewała, że nawet wolał poddawać torturom kobiety niż mężczyzn.

— Jest pan pewny, capitán?

Mercedes nie mogła sobie przypomnieć, czy wcześniej słyszała śmiech Vidala.

— Na litość boską! To tylko kobieta.

Mercedes spojrzała na drewniane ściany stodoły. To będzie ostatnie, co zobaczy w życiu. Części martwych pni drzew, podczas gdy żywy las na zewnątrz był poza jej zasięgiem. Garces zamknął za sobą drzwi stodoły.

— Nie docenia pan kobiet. Dlatego tak długo wszystko uchodziło mi na sucho. Byłam dla pana niewidoczna.

Mercedes nadal wpatrywała się w ścianę, dzięki czemu oprawca nie mógł zobaczyć lęku w jej oczach. Ale Vidal podszedł do niej z boku i uniósł podbródek kobiety, zmuszając, by na niego spojrzała.

— Cholera jasna. Odkryłaś moją słabość. Dumę. — Przyjrzał się z uwagą jej twarzy niczym kawałkowi pięknego steku. Mógł z nią zrobić, co chciał. — Na szczęście to moja jedyna.

„Kłamca”. Mercedes poczuła, jak jego palce wciskają się w jej policzki. Tak bardzo się cieszył widokiem jej bezradności, delektując się myślą, że może... przejąć jej urodę, niszcząc ją.

— A teraz dowiedzmy się, jakie są twoje słabe punkty.

Puścił jej twarz i podszedł do stołu, gdzie leżały jego narzędzia.

— To bardzo proste — podjął, odwracając się do niej plecami i podnosząc młotek. — Na pewno mi wszystko wyznasz... — Odłożył młotek z powrotem na stół i zmierzył wzrokiem pozostałe narzędzia, jakby niepewny, którego z nich użyć. — Ale muszę wiedzieć, że to, co powiesz... — Podniósł żelazny hak i przyjrzał mu się z czułością. — ...Jest prawdą.

„Mów dalej” — modliła się Mercedes, podczas gdy jej palce bezgłośnie szukały noża ukrytego w fartuchu.

Czy nóż do krojenia marchewki i cebuli okaże się wystarczająco ostry, by przeciąć więzy?

— Tak, wszystko mi powiesz. Mamy tu kilka przedmiotów, które pomogą nam w osiągnięciu pożądanego celu.

Nadal stał odwrócony do niej plecami.

Mercedes była pewna, że Tarta słyszał te same słowa. Vidal lubił się przechwalać. Mimo wszystko, stacjonując w opuszczonym młynie w środku galicyjskiego lasu, nie miał zbyt wielu powodów do chwały poza własnym okrucieństwem. Duma? Nie, to była raczej próżność — jego słabością była próżność: chęć stałego udowadniania sobie i innym, że nic ani nikt nie może mu się przeciwstawić i że jego serce nie zna ani lęku, ani litości. Kłamca! Bał się wszystkiego. Zwłaszcza samego siebie.

Nie spuszczała wzroku z pleców Vidala, kiedy ciąła włókna liny.

— Nie będziemy stosować niczego szczególnego... to nie będzie konieczne. Mam w tym doświadczenie.

O tak, lubił słuchać własnego głosu. Był dumny z tego, że potrafi zachować spokój nawet wówczas, kiedy serce bije mu zbyt szybko z wściekłości albo z podniecenia. Mercedes była pewna, że biło szybciej na myśl o roztrzaskaniu młotkiem jej twarzy, na którą tak często patrzył, i tych rąk, których niby od niechcienia dotykał, gdy podchodziła do niego blisko. Niewidoczna. Tak. Mercedes, siostra Pedra, córka od dawna nieżyjących rodziców... Prawdziwe „ja” Mercedes było dla Vidala niewidzialne. Ale zawsze zauważał piękno jej ciała.

Już! Poczwała przy swojej skórze ostrze noża. Ręce miała wolne. Ale mogła jeszcze inaczej wykorzystać nóż.

— Na początek... — Kapitan uniósł szczypcę. — Tak, myślę, że te wystarczą.

W dalszym ciągu stał odwrócony do niej plecami.

Mercedes cicho poluzowała linę wokół nóg. Kiedy chwilę później podchodziła do swojego kata, jej stopy zapadały się głęboko w słomę.

Pchnęła nożem przez białą koszulę w jego plecy. Użyła wszystkich sił, jakie jej pozostały, ale cienkie ostrze było krótkie, a mięśnie i ciało nie tak łatwo jest przeciąć jak włókna liny.

Vidal jęknął i chwycił się za ranę, podczas gdy Mercedes odskoczyła i próbowała złapać oddech.

Nigdy przedtem nie wbiła noża w ludzkie ciało i ta broń wydawała jej się równie delikatna jak jej ciało.

Vidal, kiedy wreszcie odwrócił się do Mercedes, z niedowierzania aż wytrzeszczył oczy. Była przecież tylko kobietą. Tym razem kobieta wbiła mu nóż w pierś. Gdy wyszarpnęła ostrze, kapitan upadł, zauważyła jednak, że trafiła go pod ramieniem, o wiele za wysoko na kontakt z sercem — gdyby takowe miał — zresztą nóż był po prostu za krótki. Zatopiła ostrze jeszcze raz, chociaż palce miała już śliskie od krwi Vidala.

Tym razem ostrze weszło między otwarte usta mężczyzny i Mercedes przycisnęła je do kącika ust.

— Widzisz? Nie jestem jakimś staruchem, hijo de puta^[3] — syknęła na niego. — Ani rannym więźniem.

Ciachnęła nożem w górę policzka kapitana. Potem przycisnęła mu jego własną dłoń do krwawiących ust i spuściła wzrok na jego kolana.

— Nie waż się tknąć dziewczynki. — Ledwo rozpoznała własny głos. — Nie będziesz pierwszą świnią, jaką wypatroszę.

Jej kolana mówiły zupełnie innym tonem. Chyba zgromadził się w nich cały strach, a mimo to zdołała podejść do drzwi stodoły i otworzyła je szarpnięciem. Kiedy wyszła na zewnątrz, nawet nie zauważyła, że wciąż trzyma w ręku zakrwawiony nóż. Ukryła go ponownie w fartuchu, a potem ruszyła przed siebie. Minęła żołnierzy na podwórzu. Żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi.

Niewidoczna.

Tylko jeden mężczyzna odwrócił głowę. Któryś z oficerów. Serrano. Popatrzył za

nią, ale Mercedes ciągle szła. Przed stajniami ryczało radio, ogłaszając zwycięskie numery, które padły w loterii, na którą kucharka zawsze wydawała zarobione pieniądze.

„Ciągle idź”.

— Hej, widziałeś to? — Serrano zawołał do Garcesa, który marszczył brwi, patrząc z rozczarowaniem na kupon loterii, który znalazł w lesie i zatrzymał. — Możesz w to uwierzyć? — Twarz oficera Serrano była skonsternowana z oszołomienia. — Puścił ją.

Wskazał na nią. Garces zmiął w rękę kupon loterii i rzucił go na ziemię.

— O czym ty mówisz?

Mercedes szła teraz szybciej. Czuła na plecach oczy Garcesa. Może nie lubił tortur tak bardzo jak jego dowódca, ale na pewno nie miał nic przeciwko zabijaniu.

— Hej! — zawołał do niej. — Hej ty! Zatrzymaj się!

Mercedes zaczęła biec.

Och, to było łatwe.

Garces wyjął pistolet z kabury.

Znacznie łatwiejsze niż zdzielenie młotkiem związanego więźnia.

Wycelowował tak starannie jak ojciec Ofelii, gdy przetykał przędzę przez ucho igielne.

— Łapcie ją, Garces!

Ale Garces zapomniał o Mercedes. Opuścił pistolet i wpatrywał się w kapitana, który wychodził ze stodoły, zataczając się jak pijany; koszulę miał całą pokrytą krwią, a rękę przyciskał sobie do ust.

— No dalej! — Trudno było zrozumieć, co Vidal mówi z ręką na ustach. — Przyprawdźcie ją do mnie!

Garces ani drgnął. Tylko patrzył na krew sączącą się przez palce rannego.

— Capitán, co...

— Przyprawdź ją do mnie, do cholery!

Tym razem ręka opadła. Usta, które krzyczały na Garcesa, otworzyły się szeroko, rozcięte aż do lewego policzka. Niełatwo było oderwać wzrok od tego krwawego uśmiechu, ale Garces ostatecznie zdołał spuścić oczy.

— Na koń! — krzyknął do żołnierzy.

*

Kiedy Mercedes usłyszała Garcesa wykrzykującego rozkaz, właśnie docierała do drzew.

„Dlaczego go nie zabiłam, gdy miałam szansę?” — zastanawiała się, oglądając się za siebie i widząc Vidala. Zrobiłaby to, gdyby miała lepszy nóż. Tak, zrobiłaby. Przedzierała się teraz przez wilgotne paprocie, których liście muskały jej skórę i ubranie. Nie biegła tak szybko, odkąd była małą dziewczynką, ale wtedy bieganie sprawiało jej radość.

Radość. Jakie to uczucie? Nie mogła sobie przypomnieć...

Wkrótce musiała się oprzeć o drzewo, aby złapać oddech, chociaż słyszała za sobą parskanie koni, odgłos kopyt tratujących paprocie, krzyki jeźdźców. Było ich tak wielu i podczas gdy ona ciągle potykała się o korzenie i kamienie, zbliżali się coraz szybciej.

W tym momencie między drzewami otworzyła się polanka. Wysokie sosny rosły w szerokim kręgu, jakby zebrały się, żeby popatrzeć na jej śmierć. Żołnierze na koniach otoczyli Mercedes, kiedy ledwo przekroczyła połowę polany. Kobiecie włosy wypadły z koka i poczuła się mała i bezbronna jak dziecko.

Garces uśmiechnął się do niej, w jego wzroku dostrzegła równocześnie szyderstwo i podziw. Dla tych mężczyzn wszystkie kobiety były zdobyczą.

„Spójrz na nią — mówiły oczy Garcesa. — Bardzo piękna jak na służącą”. Uspokoił konia, gładząc kark zwierzęcia, jakby był szyją Mercedes. Zsiadając z siodła, bynajmniej się nie śpieszył. Zabawa dopiero się zaczynała.

— Ciii — powiedział, podchodząc do niej. Ręce trzymał w górze, jakby uspokajał dziecko.

Mercedes zawsze sądziła, że Garces jest mniej okrutny od Vidala, ale jakie to miało teraz znaczenie? Był jednym z nich. Sięgnęła po nóż, którego ostrze nadal było czerwone od krwi kapitana. Wycelowała jego czubek w mężczyznę.

Garces, ciągle uśmiechnięty, jakby się do niej zalecał, zdjął czapkę od munduru.

— Zamierzasz mnie zakłuć? Tym małym nożykiem?

Och, jak bardzo żałowała, że nie jest mężczyzną.

— Będzie lepiej, jeśli pójdziesz z nami po dobroci. Capitán mówi, że jak będziesz grzeczna... — Gdy mężczyzna poluje na kobietę, jego głos może brzmieć jak mruczenie kota.

Mercedes przycisnęła sobie ostrze do gardła. Tarta nie miał takiej szansy. Biedny Tarta.

— Nie rób głupstw, kochanie. — Garces zrobił kolejny krok w jej stronę.

Mercedes przycisnęła nóż tak mocno, że poczuła na skórze ukłucie ostrza. Garces nadal szedł.

— Jeśli ktoś ma cię zabić — zamruczał — chciałbym to być ja.

Ciągle się uśmiechał, gdy runął na ziemię i... umarł.

Kula trafiła go w plecy. Inni żołnierze próbowali uciekać, lecz jeden po drugim spadali z koni, podczas gdy Mercedes ciągle przyciskała sobie nóż do gardła. Kiedy w końcu opuściła ostrze, ogłuszyły ją strzały i krzyki. Wokół niej wystraszone zwierzęta ślizgały się w trawie, zrzucając jeźdźców z grzbietów. Polana pokrywała się ciałami umierających mężczyzn.

Mercedes nie potrafiła powiedzieć, czy któremuś z żołnierzy udało się uciec. Jeśli tak, nie było ich wielu. Zobaczyła jedynie kilka koni galopujących w las, po raz pierwszy w życiu dzikich i wolnych. Zobaczyła też Pedra. Kiedy podszedł do niej, prowadząc swoich ludzi, odniosła wrażenie, że brat wyłania się ze snu, — dla odmiany — z dobrego snu. Wziął ją w ramiona, a ona się rozplakała; trzymając go mocno, płakała i płakała, a tymczasem partyzanci strzelali do żołnierzy, którzy nadal się poruszali wśród zdeptanych paproci.

Strzały i szlochy... dźwięki świata. Pewnie istniało coś więcej, ale o tym zapomniała. Objęła Pedra i wydawało jej się, że nigdy nie przestanie płakać.





Krawiec, który targował się ze śmiercią

W mieście La Coruña mieszkał kiedyś młody krawiec Mateo Hilodoro, który był szczęśliwie żonaty z Carmen Cardoso, kobietą, którą kochał od dzieciństwa. Czuł się

najbogatszym człowiekiem na świecie, a kiedy urodziła im się córka, pokochał ją tak bardzo jak jego żona. Nazwali dziewczynkę Ofelią. Mateo szył jej wszystkie ubrania sam i wykonywał sukienki dla jej lalek, kopiując szaty, które w baśniach córki nosiły księżniczki.

Mateo Hilodoro był naprawdę bardzo szczęśliwym człowiekiem. Niestety w noc urodzin Ofelii jego ręka rzuciła cień czaszki na zielone płótno, które ciął na nową sukienkę dla córki. Gdy odszedł od swojego stołu, dostrzegł stojącą za nim Śmierć. Jej twarz była biała jak suknia, którą nosiła.

— Mateo — powiedziała. — Twój czas się skończył. Władczyni Podziemnego Królestwa potrzebuje krawca i wybiera ciebie.

— Powiedz jej, że nie jestem aż taki dobry! — błagał. — Powiedz, że trzęsą mi się ręce, a szwy robione przeze mnie pękają już po kilku dniach!

Śmierć pokręciła głową, choć jej blada twarz zdradzała ślad współczucia.

— Twoje szwy są doskonalsze niż śpiew słowika, Mateo — odrzekła. — I nie może istnieć taka doskonałość w tym świecie.

— Jeśli mnie zabierzesz, odetnę sobie palce! — zawołał krawiec. — I jaki będzie ze mnie wtedy pożytek?

— Tam, gdzie cię zabiorę, nie będziesz potrzebował swego ciała — tłumaczyła Śmierć. — Wymagane jest jedynie twoje rzemiosło, a tego nie możesz z siebie wyciąć, bo stanowi twoją esencję. Nieśmiertelną iskrę, można by rzec.

Hilodoro zwiesił głowę i przeklął dar, który przez całe życie uważał za błogosławieństwo. Jego łzy spadły na materiał, który ciął na nową sukienkę dla Ofelii. Wyglądałaby w niej tak pięknie, ta dziewczynka z ciemnymi włosami swojej matki i wielkimi, zamyślonymi oczami, w których wiecznie czały się pytania.

— Pozwól mi tylko dokończyć ten strój! — błagał. — Obiecuję, że kiedy zszyję ostatni ścieg, pójdę z tobą z własnej woli i będę szył najpiękniejsze szaty dla królowej Podziemnego Królestwa.

Śmierć westchnęła. Była przyzwyczajona do tego, że ludzie proszą o kolejne kilka lat lub miesięcy. Zawsze było coś niedokończonego, coś nierozwiązanego, coś, czego jeszcze nie przeżyli. Śmiertelnicy nie rozumieją, że życie to nie książka, którą zamyka się dopiero po przeczytaniu ostatniej strony. W Księdze Życia nie ma ostatniej strony,

ponieważ ostatnia jest zawsze pierwszą stroną innej historii. Ale krawiec ją wzruszył. Było w nim tak wiele miłości... i życzliwości, a te cechy — jak Śmierć odkryła — nie zdarzały się często wśród ludzi.

— Niech tak będzie. Ukończ sukienkę — zgodziła się z lekką nutą zniecierpliwienia w głosie, przede wszystkim zniecierpliwienia na siebie samą za to, że uległa prośbie krawca. — Wróć.

Kiedy Hilodoro podszedł znów do swego stołu, drżały mu ręce i szwy wyszły nierówne. Musiał spruć je wszystkie, ponieważ odzwierciedlały jego rozpacz tak, jak kiedyś odzwierciedlały jego szczęście. Gdy przecinał nitkę i wyrywał ją z delikatnej tkaniny, podniósł głowę pod wpływem pewnej odważnej myśli.

Co się stanie, jeśli nie ukończy sukienki? Jeśli nigdy jej nie ukończy?!

Zaczął co noc zostawać w warsztacie do późna i nie chciał słuchać, kiedy Carmen prosiła, żeby się przespał, pragnął bowiem przekonać Śmierć, iż pracuje nad sukienką zarówno w dzień, jak i w nocy. Po ukończeniu każdego ściegu potajemnie pruć inny, mając nadzieję, że Śmierć go na tym nie przyłapie.

Sześć tygodni później jego ręka znów rzuciła cień czaszki na zielone płótno wciąż niedokończonych sukienki. Śmierć stała za nim, lecz tym razem miała na sobie czerwoną szatę.

— Mateo — obwieściła głosem zimnym jak grób. — Ukończ sukienkę przed wschodem słońca albo zabiorę także dziecko, dla którego ją szyjesz.

Hilodoro poczuł, jak igła przebija mu skórę, gdyż najwyraźniej zacisnął ją w rękę, i kropla krwi spadła na rękaw, który zszywał. Jego córka, Ofelia, często będzie się zastanawiała, skąd wzięła się ta ciemna plama.

— Ukończę ją przed wschodem słońca — wyszeptał. — Przysięgam. Ale, proszę, nie tykaj mojej córki. Jest taka młoda.

— Nie mogę ci tego przyrzec — odpowiedziała Śmierć. — Ale złożę ci inną obietnicę: jeżeli dziś w nocy ukończysz ten strój, owinie on córkę twoją miłością. Ilekroć założy sukienkę i tak długo, jak owa sukienka będzie na nią pasowała, ja po dziewczynkę nie przyjdę.

34 – Ostatnia szansa

* * *

Stuk, stuk, stuk... Strażnik chodził w tę i z powrotem przed drzwiami pokoju Ofelii. W tę i z powrotem, starając się nie zasnąć. Okrągłe okno, które za dnia wyglądało jak bliźniak księżycyca w pełni, poczerniało przez noc, która położyła kres wszelkim nadziejom na wypełnienie wyznaczonych przez faun zadań. Wszystko stracone. Ofelia nigdy się nie dowie, czy powiedział jej prawdę, że jednak istnieje miejsce, do którego mogłaby wrócić i nazwać je domem.

Miejsce, gdzie nadal miała matkę i ojca.

„Uważaj na nią. A jeśli ktoś spróbuje wejść, zabij ją jako pierwszą”.

— Zabić ją?

Czekała, aż ktoś to zrobi, odkąd Wilk wyszedł. Tak, oparta plecami o łóżko siedziała w koszuli nocnej na podłodze, pod którą chodził Błady Mężczyzna, czekała, aż ktoś przyjdzie i poderżnie jej gardło.

Postawiła obok siebie walizkę z ubraniami matki w nadziei, że może ten widok trochę ją pocieszy, lecz ubrania jedynie szeptały: „Odeszła. Wszyscy odeszli: twoja matka, Mercedes... Nawet faun cię opuścił”. To była prawda. Pozostał tylko stary młyn wypełniony duchami i straszny człowiek, który był odpowiedzialny za śmierć jej matki i który zabije także Mercedes. Tak, na pewno ją zabije. Ofelia zastanawiała się tylko, czy kobieta już nie żyje, czy też może Wilk najpierw ją torturuje, tak jak podobno zrobił z młodziutkim partyzantem.

Pomiędzy odgłosami kroków żołnierza za drzwiami słyszała dochodzący z gabinetu Wilka płacz braciszka. Chłopczyk wydawał się strasznie zagubiony i samotny. Jego płacz był jak łkanie serca Ofelii i tworzył wśród nocy więź między rodzeństwem, chociaż dziewczynka wciąż obwiniała malca o śmierć matki.

Podniosła głowę.

Usłyszała kolejny dźwięk — szelest skrzydeł w kształcie uschniętych liści.

Wróżka fruwała nad nią, stanowiąc żywe przypomnienie zmarłych sióstr i zaniedbań Ofelii.

Wylądowała na ręce dziewczynki i przyłgnęła do jednego z jej palców. Ważyła mniej niż ptak, a dotyk jej delikatnych dłoni przepełnił serce Ofelii światłem i ciepłem.

— Postanowiłem dać ci jeszcze jedną szansę. — Faun wyszedł z cienia, wyciągając ręce, jakby niósł cenny dar.

Ofelia niezdarnie się podniosła.

— Ostatnią szansę. — Wąskie usta gościa ułożyły się w wyrozumiałe uśmiezek.

Dziewczynka zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w długie jasnożółte włosy fauna. Miała wrażenie, że obejmuje drzewo, a śmiech fauna był jak tętniące życiem źródło dostarczające radości zrozpaczonemu sercu. Faun pogładził ją po włosach, przyłożył do głowy Ofelii wzorzysty policzek. Ofelia poczuła się bezpieczna, mimo żołnierza za jej drzwiami, mimo Wilka, mimo walizki z niepotrzebnymi już ubraniami matki. Ogromne ciało fauna osłaniało ją przed światem, który stał się tak mroczny. Może jednak powinna mu zaufać. Kto inny mógłby jej pomóc? Nie miała nikogo.

— Tak, dam ci jeszcze jedną szansę — faun szepnął jej do ucha. — Ale czy tym razem obiecujesz wypełnić wszystkie moje polecenia?

Odstąpił o krok, choć ręce wciąż trzymał na ramionach Ofelii i spojrzał na nią pytająco.

Skinęła głową. Oczywiście. Wszystko! Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by faun chronił ją przed Wilkiem, który zaciągnął ją tu, do pokoju, jak złapanego w lesie królika.

— Wszystko? — Faun pochylił się i spojrzał jej prosto w oczy. — Bez zastrzeżeń?

Pogładził twarz dziewczynki szponiastymi palcami, a Ofelia znowu kiwnęła głową, choć tym razem wyczuła w jego pytaniu coś groźnego.

— To twoja ostatnia szansa. — Podkreślał wagę każdego słowa.

Dziewczynka przypomniawszy sobie winogrona na złotych talerzach. Nie! Tym razem będzie silniejsza. Pokiwała głową.

— Wobec tego posłuchaj, Wasza Wysokość. — Figlarnie pacnął ją pazurem w nos. — Weź swojego brata i przynieś go do labiryntu najszybciej, jak się da.

To było zadanie, którego się nie spodziewała.

— Mojego brata?

Bezwiednie zmarszczyła brwi.

„Co on mnie obchodzi? — zapytała samą siebie. — Wydaje się wprawdzie równie samotny jak ja, lecz jest synem Vidala, a gdyby nie on, moja matka nadal by żyła”.

Nie po raz pierwszy inny głos w jej głowie szepnął: „Nie mógł przecież nic na to poradzić. Musiał przyjść na ten świat, nawet jeśli bał się go tak bardzo jak ty”.

— Tak — powiedział faun. — Potrzebujemy go teraz.

Do czego?

„Och, Ofelio! — mawiała z westchnieniem jej matka. — Za dużo tych pytań! Nie możesz choć raz po prostu zrobić tego, o co proszę?”

— Ale... — zaczęła ostrożnie.

Palec fauna wystrzelił ostrzegawczo w górę.

— Żadnych dodatkowych pytań. Tak uzgodniliśmy, prawda?

„Obiecujesz wypełnić wszystkie moje polecenia?” Wszystkie... Ofelia westchnęła głęboko. W tym pytaniu czaiło się coś groźnego, ale czy miała wybór?

— Drzwi do pokoju Vidala są zamknięte.

Pokój Wilka był stale zamknięty, odkąd mężczyzna przeniósł tam syna.

— W takiej sytuacji... — podsunął faun, uśmiechając się złośliwie — ...jestem pewny, że pamiętasz, jak stworzyć własne drzwi.

Kreda, która pojawiła się znikąd, była tak samo biała jak kawałek, który dał jej, gdy wchodziła do legowiska Białego Mężczyzny.

35 – Ranny wilk

* * *

Vidal stał przed lustrem, opłukując rozciętą twarz, kiedy usłyszał tętent kopyt na zewnątrz. Z lasu wróciło dwóch żołnierzy, ale nikt nie odważył się powiedzieć mu, że pozostali leżą martwi na polanie wśród drzew, gdzie ich krew kapie z liści paproci, podczas gdy Mercedes, kobieta, która pocięła go jak świnie, żyje i chodzi wolno.

Skontrolował groteskowy uśmiech, który tej kobiecie zawdzięczał. Nóż kuchenny pokroił jego skórę równie skutecznie jak siekane nim warzywa. Gdy kapitan próbował otworzyć usta, od ostrego bólu aż zamknął oczy, wciąż jednak przed oczami miał Mercedes z cienkim ostrzem wystającym z jej ręki jak żądło osy.

Jedna ze służących zostawiła mu na stole zakrzywioną igłę do szycia, o którą poprosił. Mercedes prawdopodobnie zszywała nią jego ubrania. Podniósł igłę i przeciągnął ją sobie przez dolną wargę.

Krzywił się przy każdym szwie, ale przeciągał czarną nić przez swoje ciało raz za razem, usiłując pozbyć się uśmiechu, który sprawił, że własna twarz z niego drwiła, bo okazał się głupcem.

*

Ofelia słuchała jęków Vidala przez drzwi, które otworzyła w swojej podłodze dzięki kredzie od fauna. Widziała nawet Wilka stojącego przed lustrem, a tuż pod nią stała drabina oparta niedbale o stertę kartonów, które zbierały kurz na tyłach pomieszczenia. Faun zadbał o to, żeby mogła bez trudu dotrzeć do kołyski brata. Kołyska znajdowała się zaledwie kilka kroków od drabiny i chociaż dziewczynka nie widziała chłopca, słyszała, jak cicho popłakiwał. Może wołał matkę. Ich matkę... „Nie myśl o niej, Ofelio! Pamiętaj, gdzie jesteś!”

Wsunęła buty na stopy i naciągnęła na koszulę nocną ciemny wełniany płaszcz.

Kiedy schodziła po drabinie, Wilk chyba jej nie słyszał. Wciąż stał przed swoim lustrem, odwrócony do Ofelii plecami i jęczał z bólu. Na koszuli miał krew. Dziewczynka nie wiedziała, kto go zranił, ale była wdzięczna temu, kto ośmielił się go zaatakować, choć teraz czuła bijący od Wilka gniew. Natychmiast kiedy zeszła z drabiny na podłogę, pospiesznie wślizgnęła się pod stół, starając się ukryć przed wzrokiem mężczyzny, na wypadek gdyby się odwrócił.

Ale Vidal się nie odwracał.

Dokładnie przyjrzał się efektom pracy, którą wykonały igła z nitką. Uśmiech wycięty przez kuchenny nóż Mercedes już zniknął. Teraz lustro pokazywało jedynie cienką, biegnącą od lewej strony jego ust w górę policzka, krwawą kreskę, haftowaną czarną nicią. Zakrył ją bandażem i po raz ostatni z uwagą przyjrzał się swojemu obliczu. Potem podszedł do stolika.

*

Ofelia nie odważyła się oddychać. Kiedy Wilk nalewał sobie szklaneczkę brandy, mogła niemal dotknąć jego nóg.

Braciszek słabo zakwilił w kołysce, a Wilk jęknął, gdy ostry alkohol przesączył się przez jego bandaż. Dziewczynka słyszała, jak mężczyzna nalewa sobie kolejną szklankę i... stawia ją na stole.

Poczuła, że stopy i dłonie robią jej się zimne ze strachu.

Kreda. Gdzie była kreda od fauna?

Leżała wśród papierów Vidala na stole. Kapitan podniósł ją i rozkruszył w palcach, lustrując wzrokiem gabinet w poszukiwaniu intruza, który ją tam zostawił.

Och, jak bardzo Ofelia się obawiała, że łomoczące w piersi serce ją zdradzi!

I może Wilk naprawdę usłyszał jego bicie.

Wyciągnął pistolet, obszedł stół i rzucił okiem podeń. Ale dziewczynka była szybka. Wilk niczego tam nie znalazł. Z pomocą przyszedł jej też brat, który zaczął płakać. Vidal włożył pistolet do kabury i podszedł do kołyski. Jego syn... Czy będzie władał myślami chłopca tak samo, jak jego ojciec ciągle rządził jego myślami? Czy syn będzie pragnął go zadowalać nawet, gdy Vidal umrze?

— *Capitán!* Za pozwoleniem...

Nie pamiętał nazwiska żołnierza, który wpadł do pokoju. Umierali zbyt szybko.

— Co jest?

Wszyscy wiedzieli, jak surowa może ich spotkać kara za zakłócanie spokoju dowódcy, gdy przebywał w swoim pokoju.

— Wrócił Serrano. Jest ranny.

— Ranny? — Vidal ciągle przeszukiwał wzrokiem pomieszczenie.

Jego syn płakał, jakby coś lub ktoś przeszkadzał mu we śnie.

„Proszę, bracie! — błagała Ofelia. — Wydasz mnie!”

Ale stos pustych worków jutowych, za który się wcześniej wślizgnęła, chronił ją przed wzrokiem Wilka i w końcu usłyszała, jak mężczyzna odchodzi w kierunku drzwi.

Nie opuściła kryjówki, póki nie dotarły do niej jego kroki na schodach. Vidal zostawił na stole na wpół opróżnioną szklaneczkę z brandy. Widok ten przypomniał Ofelii inne szklanki — te, w których doktor Ferreiro podawał leki jej matce, aby mogła zasnąć. Wsunęła rękę do kieszeni. Tak, miała tę buteleczkę z lekarstwem, tę samą, którą zabrała z pokoju matki. Nalała tylko kilka kropel do trunku, obawiając się, że jeśli doda zbyt dużo, Wilk wyczuje smak lekarstwa. Doktor Ferreiro, jej matka, jej ojciec, Mercedes... Może oni wszyscy czekają na nią w Podziemnym Królestwie, o którym opowiadał faun...

Musiała po prostu wykonać dokładnie polecenie fauna, a wtedy znów ich wszystkich zobaczy.

Z kołyski dobiegało kwilenie. Brat. Nikt jeszcze nie nadał mu imienia. Jakby matka zabrała jego prawdziwe imię do grobu. Ofelia pamiętała, jak z nim rozmawiała, gdy wciąż jeszcze przebywał w matczynym łonie. Ostrzegała go przed tym światem. Tak, tak, ostrzegała go.

Pochyliła się teraz nad kołyską i wzięła dziecko w ramiona. Było takie maleńkie.

36 – Siostra i brat

* * *

Jak oni wszyscy na niego patrzyli, kiedy wszedł do jadalni. Przeminięła chwała i już nie uważali go za niezwykłego. Ostatnio zebrali się, gdy świętowali zwycięstwo odniesione nad ludźmi z lasu. Dla Vidala zakrwawiony bandaż na policzku był jak piętno. Dowód niepowodzenia... widoczny jako cięcie od kuchennego noża.

Serrano siedział na krześle przy kominku, przygnębiony i mocno pochylony.

— Gdzie Garces?

Serrano potrząsnął głową. Vidal usiadł na krześle obok niego.

— Ilu ich tam było?

— Pięćdziesięciu. Przynajmniej. Uciekłem tylko ja i García. Reszcie się nie udało.

Ledwo na niego patrzył.

— Nasze posterunki obserwacyjne również nie odpowiadają — dodał żołnierz, który wcześniej przyniósł mu złe wieści. Vidal wciąż nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

— Ilu ludzi nam zostało?

— Dwudziestu. Może mniej.

Vidal poszukał palcami zegarka kieszonkowego, ale okazało się, że zostawił go w pokoju na stole. Zaczął się zastanawiać, czy zbliżającą się śmierć ojca zegarek obwieścił głośniejszym tykaniem. Próbował zakpić z tej myśli i się uśmiechnąć, lecz ból spowodowany uśmiechem tylko mu przypominał, jak wiele spraw poszło nie tak.

Jeśli nie zdoła schwytać Mercedes, zabije dziewczynę.

*

Ofelia nadal stała w pokoju Vidala, trzymając brata na rękach. Taki mały, taki

ciepły, z tak niewinną buzią pod białą czapeczką, którą zrobiła dla niego ich matka i spod której patrzyły na nią jasne, ufne oczka.

Siostra. Brat.

Ofelia nigdy przedtem nie była niczyją siostrą, była jedynie córką i dziewczynką, która zniszczyła w lesie nową sukienkę, ciągle też nie miała pewności, co oznacza znamię w kształcie księżyca na jej lewym ramieniu.

„Siostra”. To słowo zmieniło wszystko.

— Odchodzimy — szepnęła braciszкови do ucha. — Razem. Nie bój się.

Chłopczyk nieśmiało zakwilił.

Ofelii wydawało się, że słyszy z ust malucha: „To wszystko jest dla mnie nowe. Proszę, chroń mnie, siostró”.

— Nic ci się nie stanie. — Przytuliła go mocno do ramienia.

Obietnica bardzo trudna do spełnienia.

Dziewczynka szła właśnie w stronę drzwi, kiedy usłyszała na schodach głos ojczyrna. Och, dlaczego nie wyszła chwilę wcześniej?

— Kiedy reszta oddziału wróci, niech się natychmiast u mnie zameldują. — Głos Wilka był blisko. Zbyt blisko.

Ofelia schowała się za drzwiami.

„Nie płacz, braciszku! — błagała w myślach. — Nie wydaj nas!”

A przecież już raz jej nie posłuchał, gdy prosiła, żeby nie krzywdził ich matki.

— Wezwij posiłki przez radio — usłyszała słowa Wilka. — Od razu.

I już był z powrotem w pokoju.

„Wstrzymaj oddech, Ofelio”.

Mężczyzna podszedł do stołu, podniósł i włożył do kieszeni leżący obok szklanki zegarek. Potem sięgnął po alkohol. Dziewczynka wymknęła się za drzwi w chwili, gdy odwrócił się do niej plecami i przełykał brandy. Brat spał spokojnie w ramionach Ofelii i jego ufność pozwoliła jej uwierzyć we własne szczęście. Niestety, los nie był łaskawy. Ledwie stanęła za drzwiami, gdy eksplozja wstrząsnęła murami młyna. Odgłos dochodził z podwórza. Blask płomieni rozerwał płaszcz nocy i zabarwił ściany wokół dziewczynki jaskrawymi czerwieniami i bielą. Wilk obrócił się i zobaczył

Ofelię stojącą w drzwiach z jego synem w ramionach, sparaliżowaną jak ścigany jeleni.

— Zostaw go! — głos Vidala był nożem, młotkiem, kulą...

Wytrzymała spojrzenie Wilka i pokręciła głową. Tylko tyle zdołała zrobić.

Mężczyzna postąpił krok w jej stronę, ale zachwiał się, z trudem utrzymując równowagę, a Ofelia wysłała modlitwę dziękczynną do doktora Ferreiro za obronę przed tym mordercą.

Potem się odwróciła. I uciekła.

*

Vidal poszedł za nią, ale dotarł jedynie do drzwi. W głowie mu się kręciło. Co się z nim działo? Nie podejrzewał brandy, był też zbyt dumny, by rozważyć myśl, że odurzyło go dziecko. Nie, winne były rany, które zadała mu ta druga czarownica. Znajdzie ją i zabije, ale najpierw dziewczynę. Wiedział, że ta mała przyniesie mu pecha, w momencie, gdy wysiadła z samochodu. Oczy miała jak ten las, a twarz tak pełną ciszy. Nie mógł się doczekać, aż złamie jej kark.

Wciąż stała na schodach, kiedy wytoczył się ze swojego pokoju, ale ledwie był w stanie wyciągnąć pistolet, a nim zdążył wycelować, ta okropna dziewczyna była już za drzwiami wyjściowymi. Widział, jak znikwała za drzewami, gdy wreszcie udało mu się zejść po schodach i wyszedł na zewnątrz. Dlaczego zabrała mu syna? Zaniesie go partyzantom, żeby mogli go zabić w zemście za śmierć matki?

Nie. Ponieważ partyzanci już przybyli do młyna. Ciężarówka i namioty płonęły, dym i ogień były wszędzie i wszędzie wokół walczyli ludzie. Ich czarne sylwetki wyglądały jak papierowe wycinanki na tle czerwonych płomieni. Trzeba było zabić dziewczynę. I Mercedes. Ponieważ kobieta dotrzymała złożonego Ofelii przyrzeczenia. Wróciła po małą wraz z bratem i jego ludźmi.

Ale kiedy Mercedes i Pedro weszli do pokoju Ofelii, zobaczyli, że jest pusty. Kobieta wołała dziewczynkę, nie otrzymała jednak odpowiedzi. Nie znaleźli niczego poza jej jasnozieloną sukienką oraz naznaczonym białą kredą na podłodze rysunkiem drzwi.



Echo zbrodni

Dawno, dawno temu pewien szlachcic wysłał pięciu swoich żołnierzy, by aresztowali czarownicę o imieniu Rocio. Kazał im ją utopić w młyńskim stawie, głęboko w starym lesie, gdzie czarownica mieszkała. Trzeba było aż dwóch mężczyzn, aby zaciągnąć ją do zimnej wody, i jednego, ażeby ją przytrzymał, dopóki nie przestała oddychać. Nazwisko tego ostatniego brzmiało Umberto Garces.

Garces zabijał już wcześniej, ale jego pan do tej pory nigdy nie wydał mu rozkazu zabicia kobiety. Zadanie było straszne, choć równocześnie żołnierz czuł podniecenie, może dlatego, że wiedźma była bardzo piękna.

Po zabójstwach Garces zazwyczaj niczym się nie przejmował. Był zatem zaskoczony, że tej nocy nie mógł zasnąć.

Nie mógł też zasnąć przez dziesięć kolejnych nocy i za każdym razem, gdy kładł się do łóżka, czuł na skórze zimną wodę, a przed oczami miał unoszące się na powierzchni stawu włosy czarownicy. Kiedy jedenastej nocy te wizje znów zaczęły go prześladować, żołnierz wstał z łóżka, osiodłał konia i przez oświetlony księżycem las pojechał z powrotem do młyna.

Żywił nadzieję, że zyska spokój, jeśli zobaczy, że wody stawu pozostają nieporuszone, a ciało czarownicy zniknęło, jakby nigdy nie istniała. Kiedy jednak podszedł bliżej wody, pożałował, że w ogóle tu wracał. Woda była równie czarna jak jego grzech, a drzewa zdawały się szeptać wyrok:

„Morderca!”

O tak, kobieta z pewnością była czarownicą. Czyż nie był to dowód? Coś takiego mogło być wyłącznie jej sprawką! Te szepczące drzewa, te wizje i emocje, które go nawiedzały... Na pewno rzuciła na niego klątwę. Mieli rację, że ją zabili. Tak!

Garces odkrył, że z jego serca znikają poczucie winy, obrzydzenie do samego siebie i żal. Może powinien przyłączyć się do łowców czarownic, którzy oczyszczali z nich

kraj. Kościół bardzo dobrze im płacił, a ponieważ on, Garces, już jedną zabił, następnym razem przyszłoby mu to łatwiej. Tak. Byłby w stanie znów to zrobić.

Roześmiał się. Odwrócił się, chcąc ruszyć do swojego konia.

Ale nie mógł zrobić nawet kroku.

Błoto trzymało jego buty tak mocno, jakby złapały je czyjeś palce.

„Niech ją szlag!” — Był pewny, że to ona.

— Zrobiłbym to jeszcze raz! — krzyknął ku cichej wodzie. — Słyszysz mnie?

Jego buty zatoneły głębiej w błocie, a ręce zaczęły go swędzieć. Podniósł je do twarzy. Skórę miał pokrytą brodawkami i zobaczył błony pławne rosnące mu między palcami — tymi palcami, którymi przytrzymał czarownicę pod powierzchnią wody.

Z przerażenia wrzasnął tak głośno, że ten krzyk obudził młynarza i jego żonę. Nie ośmielili się jednak wyjść na zewnątrz i sprawdzić, skąd dochodzi hałas.

Garces znowu krzyknął. Ale głos już mu się zmienił, więc z gardła wydobył się raczej ochryply rechot, zaś jego kręgosłup skręcał się i wyginał, aż mężczyzna upadł na kolana, wbijając pletwiaste palce w błoto.

Potem wskoczył do tego samego mętnego stawu, w którego wodach utopił czarownicę.

37 – Ostatnie zadanie

* * *

Tym razem wróżka nie przyszła, by poprowadzić Ofelię. Dziewczynka sama musiała znaleźć drogę przez labirynt.

Ostatnie zadanie zawsze jest najtrudniejsze.

Wybuchy w młynie nadal rozrywały ciszę nocy, lecz braciszek spał spokojnie w jej ramionach i część tego spokoju trafiła do serca dziewczynki. Ofelia była przekonana, że Wilk podąża za nią, chociaż nie widziała go przez dym unoszący się nad młynem. Wilk... Nie, on nie był wilkiem. Baśnie się myliły, nadając złu kształt tego wspaniałego dzikiego stworzenia. Zarówno Ernesto Vidal, jak i Błady Mężczyzna byli ludźmi, którzy żywili się sercami i duszami innych, bo utracili własne.

Mury labiryntu z zadowoleniem powitały Ofelię niczym troskliwe objęcia znajomej osoby i wkrótce otoczona przez kamienne kręgi poczuła się bezpiecznie mimo ścigającego ją prześladowcy.

„Nie znajdzie cię tutaj — zdawały się szeptać kamienie. — Ukryjemy cię przed nim”.

Ale Vidal — choć wciąż się potykał po zażyciu kropli od doktora Ferreiro — był tuż za nią, tak blisko, że widział, jak przechodziła pod łukiem i wkraczała do labiryntu. Ofelia była szybka i młoda, lecz niosła brata, a nocne powietrze pomogło kapitanowi odzyskać jasność myśli. Kiedy przemierzał korytarze labiryntu, podążając za odgłosem kroków dziewczynki niczym pies myśliwski za zapachem jelenia, jego palec objął spust pistoletu. Jednak za każdym razem, gdy sądził, że jest blisko, trafiał na kolejny narożnik, kolejny zakręt, kolejną ścianę... jak gdyby sam stał się ofiarą schwytaną w pułapkę.

„Gdzie ona się podziała? — Kręcąc głową i starając się rozproszyc otaczającą mu umysł mgłę, parł naprzód, w jednej ręce zaciskając pistolet, drugą po omacku obszukując omszałe ściany. — Dlaczego przyszła akurat tutaj?”

Zatrzymał się, chcąc złapać oddech, i nasłuchiwał kroków dziewczyny. Tam! Takie lekkie, takie szybkie... ale oddychała już ciężko. Nic dziwnego, niosła wszak jego syna.

Ofelia słyszała za sobą kroki Vidala, lecz była pewna, że polana ze studnią i schodami jest blisko, bardzo blisko. Tuż za rogiem. Odwróciła się — i znalazła się przed murem.

Źle skręciła. Wybrała niewłaściwy kierunek. Wszystko na marne.

Tyle że labirynt czekał na nią od bardzo dawna, więc kiedy spojrzała bezradnie na korytarz, z którego przyszła, kamienie za nią zaczęły się przesuwać. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, jak ściana, która jeszcze przed chwilą blokowała jej drogę, rozstępuje się, a korzenie drzew, sięgające ku powiększającej się rozpadlinie niczym drewniane pazury, uprzątają dla niej ścieżkę. W pośpiechu przecisnęła się przez szczelinę tak wąską, że korzenie muskały jej ramiona i nogi, i nagle miała ją przed sobą: polanę, której szukała, a w środku polany była studnia i schody prowadzące w dół, do monolitu, gdzie po raz pierwszy spotkała fauna.

Ściana zamknęła się za Ofelią i jej bratem w momencie, gdy dziewczynka przeszła. Kiedy Vidal dotarł w to miejsce, zobaczył przed sobą jedynie solidny kamień. Ten mężczyzna w koszuli przesiąkniętej krwią z ziejących ran, które zadał nóż Mercedes, rozglądał się teraz z niedowierzaniem. Dziewczynka słyszała, jak kapitan przeklina po drugiej stronie kamiennego muru. Ledwo odważyła się zaczerpnąć tchu w obawie, że ściana się otworzy i pozwoli mu przejść, ale kamienie ani drgnęły. Kroki Vidala ucichły, a przez cienką tkaninę nocnej koszuli Ofelia wyczuwała jedynie bicie serca braciszka i jego ciepły oddech na ramieniu.

Spokój.

Miłość.

— Szybko, Wasza Wysokość, oddaj go mnie.

Odwróciła się.

Faun stał po drugiej stronie studni. Księżyc obrysował jego sylwetkę srebrem. Kiedy dziewczynka do niego podchodziła wzdłuż płaskiego kamiennego muru otaczającego studnię, była już pełna wątpliwości.

— Wasza Wysokość, księżyc jest wysoko na niebie!

Ofelia nigdy nie widziała fauna w tak dobrym nastroju.

— Możemy otworzyć wejście! — zawołał, wskazując na studnię.

W drugiej ręce fauna zauważyła sztylet Białego Mężczyzny.

— Dlaczego trzymasz go w dłoni? — Miała wrażenie, że zimne ostrze dotyka jej skóry.

Faun wydał z siebie cichy pomruk.

— Ach, ten... — Delikatnie pogłaskał sztylet. — No cóż... — rzucił niby przypadkowo, lecz słyszała w jego głosie przeprosiny. — Wejście otwiera się tylko wówczas, gdy ofiarujemy krew kogoś niewinnego. Wystarczy jedna kropla. — Zamachał rękami, wyraźnie próbując umniejszyć wagę słowa „krew”. — Ukłucie, nic więcej! — dodał, wesoło muskając swoją dłoń ostrym czubkiem sztyletu. — To jest... — Wyrysował w nocnym powietrzu palcem zamknięty okrąg. — ...ostatnie zadanie.

Zimno. Ofelii było tak zimno.

— No dalej. — faun wskazał na jej brata, a palce aż mu się rwały do dziecka. — Pośpieszmy się! Księżyc nie będzie czekał.

— Nie! — Dziewczynka zrobiła krok w tył i potrząsnęła głową, przyciskając chłopczyka do piersi tak mocno, że przez chwilę martwiła się, czy go nie obudzi. Ale jej brat nadal spał tak spokojnie, jakby jej ramiona stanowiły najbezpieczniejsze miejsce na ziemi.

Faun pochylił się, a jego kocie oczy zwęziły się z gniewu i jawnej groźby.

— Obiecałaś posłuszeństwo! — Wyszczrzył zęby w srogim grymasie. — Daj mi chłopca! Daj mi chłopca!

— Nie! Mój brat zostaje ze mną. — Posłała mu najtwardsze spojrzenie, na jakie potrafiła się zdobyć. Tylko tyle mogła zrobić: wstrzymywać fauna wzrokiem, skłonić go, by zrozumiał, że ona nie zmieni swojej decyzji, mimo iż cała się trzęsła.

Jej rozmówca wydał kolejny pomruk. Tym razem jednak w głosie fauna pobrzmiwało zaskoczenie. Opuścił sztylet, pochylił rogatą głowę i przyjrzał się dziewczynce.

— Poświęciłabyś swoje święte prawa dla tego smarkacza, którego ledwie znasz?

— Tak. — Z powodu łez, które stanęły jej w oczach, oblicze fauna się rozmazywało. Czy te łzy wezbrały teraz, czy raczej były tam od śmierci jej ojca?

Sama już nie wiedziała. — Tak, poświęcam je — wymamrotała, przyciskając policzek do małej główki brata, tak ciepłej pod białą czapeczką, którą matka zrobiła dla niego.

— Oddałabyś swoje królestwo za dziecko, które sprowadziło na ciebie taką niedolę? — Tym razem faun nie wydawał się rozzłoszczony. Każde słowo brzmiało wręcz jak obwieszczenie świata dziwnej decyzji podjętej przez dziewczynkę o imieniu Ofelia. — Takie upokorzenie — dodał, raz jeszcze rzucając jej wyzwanie.

— Tak, zrobię to — powiedziała Ofelia.

„Tak, zrobię to...” — To były słowa, które Vidal usłyszał, kiedy wreszcie chwiejnie wkroczył na polanę.

Może drogę wskazał mu głos Ofelii, może gniewna przemowa fauna. A może labirynt zbudowano właśnie w tym celu — żeby każde z nich odegrało swoją rolę w historii napisanej dawno, dawno temu.

Vidal w ogóle nie widział fauna. Być może własna ciemność uczyniła go ślepy na zbyt wiele rzeczy.

Może wierzył w zbyt dużo nonsensów dla dorosłych i nie był już w stanie zobaczyć niczego innego. Nie miało to większego znaczenia. Liczył się jedynie fakt, że kapitan znajdował się o kilka kroków od dziewczynki, która zdawała się mówić do siebie.

— Tak, zrobię to — powtórzyła Ofelia załamującym się od szlochów głosem.

Odsunęła się od sztyletu, od studni, od fauna, nieświadoma obecności stojącego za nią mężczyzny.

— Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. — Faun rozłożył ręce w geście porażki, a jego palce wyrysowały w nocnym powietrzu jej przyszłość.

Nadal rozpuszczał się w ciemnościach, kiedy dziewczynka poczuła, że czyjaś ręka chwyta ją za ramię. Wilk stał za nią, bandaże na jego twarzy były mokre od krwi. Wyrwał z ramion Ofelii swego syna i popatrywał na niego, jak gdyby musiał się upewnić, że go nie skrzywdziła.

„Chroniłam go! — chciała krzyknąć Ofelia. — Faun pragnął jego krwi! Nie słyszałeś?” Ale kiedy się odwróciła, okazało się, że faun zniknął, a ona znowu była sama. Zupełnie sama, nawet bez brata, którego ciepło mogłoby ją pocieszyć.

— Nie! — krzyknęła. — Nie!

Jej ramiona były teraz takie puste i tak strasznie było zobaczyć chłopca w objęciach Vidala, że przez chwilę żałowała, iż mimo wszystko nie oddała malca faunowi. Ale jaka by to była różnica? Obaj byli potworami spragnionymi krwi innych.

Vidal z dzieckiem w ramionach cofnął się o krok. Nie wysilił się, by starannie wycelować.

Strzelił Ofelii w pierś, nie podnosząc nawet ręki.

Krew dziewczynki rozlała się po koszuli nocnej niczym rozkwitający kwiat, a kapitan włożył pistolet do kabury i odszedł wraz z synem.

Ofelia podniosła rękę i patrzyła, jak krew kapie z jej palców. Kolana się pod nią ugięły i upadła tuż przy studni. Przyciskała dłoń do rany, którą wyrwał pocisk, lecz krwi było zbyt dużo i nie mogła powstrzymać jej wypływu. Krew malowała czerwone wzory na jej koszuli nocnej i spływała po ręce wyciągniętej bezradnie nad studnią. Powietrze wznoszące się z głębin studni chłodziło jej skórę, a tymczasem krew ciągle kapiała z jej palców, głęboko w dół, w łono ziemi.

Żadna z baśni nie kończyła w ten sposób. Matka miała rację: magia nie istniała.

A ona, Ofelia, nie zdołała uratować brata. Wszystko stracone.

Oddychała coraz płycej. Zadrzała... ziemia była taka zimna...

38 – Imię jego ojca

* * *

Vidal z łatwością znalazł drogę powrotną. Labirynt nie próbował go zatrzymać. Mężczyzna postąpił tak, jak przepowiedziano, lecz jego los nie miał się wypełnić wewnątrz tych niekończących się kręgów. Zajmie się nim świat na zewnątrz.

I tak było. Czekali na niego — Mercedes, jej brat Pedro i inni ludzie z lasu. Wyznaczali koniec drogi Vidala własnymi ciałami, stojąc przed labiryntem jedno obok drugiego w półkolu, które odzwierciedlało kamienny łuk. Ten moment wreszcie nadszedł — kapitan miał wrażenie, że przeżył go wcześniej tysiąc razy w snach. Moment, gdy udowodni, że jest synem swego ojca, i pokaże własnemu synowi, o co chodzi w życiu mężczyzny.

Wychodząc spod łuku, Vidal przyjrzał się wrogim twarzom partyzantów, jednej po drugiej, aż jego wzrok napotkał oblicze Mercedes. Nie poruszyła się, gdy podszedł do niej z synem. Pedro stał przy boku siostry. Kapitan nie wiedział wcześniej, że walczył z obojgiem rodzeństwa. Wyciągnął syna w stronę kobiety, która pocięła mu skórę, lecz go nie zabiła.

— Mój syn. — Świat musiał to usłyszeć jeszcze raz. I to dziecko musiało przeżyć, bo on będzie żył przez nie, tak jak jego ojciec żył w nim, wraz z każdym zaczerpniętym przez Ernesta oddechem.

Mercedes przyjęła niemowlę. Oczywiście. Była kobietą, nie skrzywdziłaby dziecka, nawet dziecka Vidala.

Powoli — ponieważ był to rytuał jego życia — kapitan wyjął z kieszeni zegarek i ułożył go w dłoniach.

„To jest to — pomyślał. — Koniec przynoszący chwałę”.

Wiedział, że stoi nad krawędzią, i był gotów zrobić krok naprzód. Mimo iż stracił wielu żołnierzy oraz młyn, który płonął, czerwieniąc niebo, nie czuł strachu.

Wypełnił go duch ojca. Dopełnił go.

Mercedes cofnęła się z dzieckiem w ramionach do boku brata, podczas gdy Vidal patrzył na rozbite szkiełko zegarka i wskazówki, które odmierzały jego ostatnie chwile tak skrupulatnie, jak je odmierzały przez te wszystkie lata od śmierci ojca. Nadal słyszał tykanie, nawet gdy zacisnął palce wokół srebrnej koperty.

Odchrząknął, przelękając lęk, który jednak próbował nad nim zapanować. Nie, nie zobaczą ani śladu bojaźni na jego tężejącej twarzy.

— Powiedz mojemu synowi... — Westchnął głęboko. To nie było tak proste, jak sobie wcześniej wyobrażał, tęskniąc za tym momentem przed lustrem, gdy z brzytwą w dłoni igrał ze Śmiercią. — Powiedz mojemu synowi, o której godzinie zmarł jego ojciec. Powiedz mu, że ja...

— Nie! — przerwała mu Mercedes, przyciskając do piersi maleństwo. — On nigdy nie pozna twojego imienia.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło go przerażenie. To była chwila, o której zawsze marzył — chwila, którą ćwiczył każdego ranka przed lustrem. Chwila godnej śmierci. Nie mogło pójść tak źle, po prostu nie mogło.

Myślał pospiesznie.

Pedro podniósł pistolet i strzelił mu w twarz. Kula roztrzaskała Vidalowi kość policzkową i rozerwała nerw wzrokowy biegnący do mózgu. Tam utkwiała w tylnej części czaszki. Rana wejściowa uwolniła tylko jedną kroplę krwi. To była taka nieistotna rana, a jednak Śmierć już się w niej mościła.

Z jękiem żalu kapitan upadł u stóp mężczyzn, na których przybył zapolować. I tak zmarł.

A jego syn zaczął w ramionach Mercedes płakać.





Chłopiec, który uciekł

Dawno, dawno temu, ale i nie tak dawno, żył w starym lesie pożeracz dzieci. Mieszkańcy wioski, którzy — chcąc przetrwać zimę — zbierali pod drzewami opadłe gałęzie, nazwali go Bładym Mężczyzną. Miał na sumieniu tyle ofiar, że ich nazwiska

pokrywały liczne ściany korytarzy, które wykopał pod powierzchnią lasu. Z kości zabitych dzieci robił meble równie delikatne jak ich ręce i nóżki, a ich krzyki stały się muzyką, która towarzyszyła mu w biesiadowaniu przy tym samym stole, na którym je uśmiercił.

Kręte korytarze legowiska Błady Mężczyzna zaprojektował w sposób uprzyjemniający mu polowanie. Dzieci potrafią biegać zaskakująco szybko, o czym pożeracz doskonale wiedział — sam przecież był kiedyś człowiekiem, lecz zabijanie zmieniło go w coś innego, bezmiennego i ponadczasowego, jedyne w swoim rodzaju.

Okrucieństwo było jego rzemiosłem już w dzieciństwie. Nawet wtedy ludzie nazywali go *Pálido*^[4], ponieważ nie lubił przebywać na słońcu. Dlatego jego skóra zawsze była blada jak zamglony księżyc. Zabijanie najpierw ćwiczył na owadach, potem na ptakach, w końcu na kotach swojej matki.

Pierwsze dziecko uśmiercił, kiedy miał trzynaście lat. Ofiarą był jego młodszy brat, wobec którego czuł zarówno miłość, jak i zazdrość.

Potem zaczął pracować dla kapłana, przedstawiciela hiszpańskiej inkwizycji, straszliwego narzędzia, które Kościół katolicki stosował, by prześladować i zabijać wszystkich kwestionujących jego dogmaty. Kapłan nauczył Pálida niezwykle interesujących rzeczy na temat tortur i licznych metod zabijania. Po trzech latach chłopak prześcignął w tych sprawach swojego mistrza, więc na nim przećwiczył swoje umiejętności. Spożył serce kapłana, gdy wciąż jeszcze biło, ponieważ przeczytał, że w ten sposób może zwielokrotnić moc własnego okrucieństwa. I rzeczywiście, po posiłku poczuł w sobie jeszcze większą przebiegłość, mroczność oraz — wzmocnioną prawością i misyjną gorliwością kapłana — bezwzględność.

Pewnej nocy, kiedy wyjątkowo bestialsko potraktował kolejną ofiarę, jego własne oczy nie mogły znieść widoku tego czynu. Jak przejrzałe owoce wypadły mu z oczodołów i wówczas Błady Mężczyzna wyciął sobie w dłoniach otwory, dzięki którym od tej pory mógł nosić oczy w rękach. Było to wielkim utrudnieniem podczas polowań. Trojgu dzieciom udało się uciec, ponieważ oczy zawiodły Błatego Mężczyznę. Mimo wszystko nazwiska dwojga zapisał na swoich ścianach. Trzecie wszakże wymazał. Było to nazwisko chudego chłopca, ledwie sześciolatek, którego

porwał z wioski na południe od lasu. „Serafín Avendaño”... Chociaż starł jego nazwisko ze ściany, nigdy nie zdołał go zapomnieć.

Pożeracz dzieci do swoich mordów zawsze używał srebrnego sztyletu ze złotą rękojeścią, narzędzia o niezwyklej ostrości, a miał je od ponad trzystu lat. Był to prezent od Wielkiego Inkwizytora i Błady Mężczyzna owijał sztylet w aksamit w kolorze krwi i przechowywał w zamkniętym schowku w ścianie jadalni. Nigdy natomiast nie ukrywał przed ofiarami miejsca, w którym go trzymał. Po co? W końcu wszystkim im była pisana śmierć.

Serafín Avendaño miał sześciu starszych braci, którzy lubili go gonić i bić, podobnie jak ich ojciec, toteż chłopiec bardzo wcześnie nauczył się szybko uciekać. Wyślizgnął się więc z uścisku Błatego Mężczyzny niczym węgorz i popędził ile sił w nogach. A gdy prześladowca sięgał po swoje oczy, Serafín chwycił z zakrwawionego stołu nie tylko złoty talerz wypełniony jedzeniem, lecz również złoty klucz do schowka, w którym okrutnik przechowywał sztylet. To było wszystko, co mógł zrobić dla innych płaczących i szlochających dzieci uwieczonych w klatkach pod jadalnią potwora.

Korytarz, którym uciekał, wydawał się nie mieć końca, i wkrótce Serafín usłyszał głos Błatego Mężczyzny. Przemykając obok stojących wzdłuż korytarza filarów wykonanych z kości, chłopiec błogosławił braci, których zawsze uważał za przekleństwo swego życia. Słudzy Błatego Mężczyzny codziennie rano czyścili płytki posadzki, dziś jednak przeoczyli jedną krwawą kałużę. Serafín nad nią przeskoczył — sześciolatki ważą wszak znacznie mniej niż liczący sobie trzysta pięćdziesiąt trzy lata mężczyzna — natomiast Błady Mężczyzna poślizgnął się, a kiedy na kolanach szukał swoich oczu, Serafín dotarł do końca korytarza i do jednych z wielu drzwi, przez które potwór wyruszał do lasu i z niego powracał.

Chłopiec wypadł za drzwi i zatrzasnął je za sobą, a później udało mu się je zabarykadować grubym konarem. Wówczas wbiegł w las, dygocząc zarówno ze strachu, jak i z ulgi. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Wiedział tylko, że musi jakoś wrócić do swojej rodzinnej wioski.

Zanim dotarł w okolice młyna, gdzie niegdyś żołnierze możnego pana utopili czarownicę, klucz, który nadal ścisnął w rączce, zaczął mu ciążyć jak przekleństwo.

Co będzie, jeśli ten klucz przyciągnie do niego Białego Mężczyznę? Chłopiec nie zauważył ani ogromnej ropuchy, która go obserwowała, gdy wrzucał klucz do stawu, ani jej ludzkich oczu. Tym bardziej więc nie mógł widzieć, że ropucha połknęła klucz. (Ale to już inna historia).

Serafín Avendaño tego dnia uciekł Białemu Mężczyźnie, a później został artystą i przez resztę życia malował piękne obrazy mające mu rozjaśnić ciemności, których doświadczył jako dziecko.

39 – Powrót księżniczki

* * *

Mercedes nigdy wcześniej nie weszła do labiryntu. Zawsze obawiała się tego, co tam znajdzie, i miała rację. Przekonała się o tym, kiedy zobaczyła leżącą przy studni Ofelię.

Podawała bratu dziecko. Będzie musiała zapomnieć o ojcu chłopczyka, w przeciwnym razie nie mogłaby go pokochać, a to właśnie miłości wszyscy tak rozpaczliwie potrzebowali. Poczowała się dziwnie na myśl, że jakaś kobieta oddała jej pod opiekę dwoje swoich dzieci. Mercedes modliła się, żeby była w stanie zapewnić bezpieczeństwo przynajmniej synowi Carmen. W przypadku córki bez wątpienia zawiodła.

Kiedy uklękła u boku dziewczynki, ból, który rozdzierał jej serce, był tak ostry, jak gdyby Ofelia naprawdę była jej dzieckiem. Dziewczynka umierała. Nie miała nawet siły odwrócić głowy w stronę Mercedes, jej gasnące oczy niewidząco wpatrywały się w krew kapiącą z dłoni do studni.

Krew zaczerwieniła już deszczówkę na dnie studni. Deszcz wypełnił wzory labiryntu otaczającego kolumnę i teraz w płytkiej wodzie unosiło się odbicie księżycy niczym srebrnej kulki, które w studniach gubiły księżniczki z baśni. Jednak krawędzie tej konkretnej kulki barwiła na czerwono krew Ofelii. Niektóre krople znalazły drogę na kamienną kolumnę i z rzeźbionego wizerunku trzymającej niemowlę dziewczynki zdawały się wyrastać szkarłatne kwiaty.

Po twarzy Mercedes płynęły łzy. Zaczęła nucić kołysankę, którą kiedyś śpiewała Ofelii. Melodia uspokoiła mozolny oddech dziewczynki i wypełniła noc wspomnieniami niewinności, nadziei i szczęścia, a księżyc w pełni przykrył Ofelię warstwą srebra. Dziewczynka czuła, jak jego światło chłodzi jej rozpaloną skórę i zbolące serce.

Takie wspaniałe światło.

— Wstań, córko — rozkazał jakiś głos.

Mercedes tego głosu nie słyszała. Lecz Ofelia owszem.

Srebrny blask księżycy zmienił się w płynne złoto, spowijając ją i pieścąc.

Tak łatwo było wstać. Ręce i nogi, jeszcze przed chwilą takie ciężkie w obecności Śmierci, nagle nic nie ważyły, a dziewczynka odkryła, że ma na sobie płaszcz w przepysznych odcieniach szkarłatu i złota. Uszyto go z najcenniejszego czerwonego jedwabiu, tak czerwonego jak krew. Wzór na nim wykonano złotą nicią i ozdobiono klejnotami: rubinami, szmaragdami i opalami. Buciki, również czerwone, idealnie pasowały na jej stopy.

Zniknął ból, cierpienie, a kiedy Ofelia się rozejrzała, zobaczyła, że stoi w sali tak ogromnej, że do sufitu było równie daleko jak do nieba. Na jednej ścianie znajdował się witraż okrągły jak księżyc w pełni, przełamując światło w każdy kolor tęczy, przed oknem zaś puszyły się trzy wspaniałe trony wzniesione ponad złotą podłogą wysoko na filarach wyrzeźbionych w smukłe pnie brzoź.

Usta dziewczynki ułożyły się w dawno niewidziany uśmiech. Kobieta siedząca na tronie po lewicy wyglądała bardzo znajomo.

— Matko! — wykrzyknęła Ofelia. Jej język tak bardzo pragnął znowu wymówić to słowo.

Kobieta na tronie trzymała w rękach niemowlę.

„Mój brat?”

— Ofelio! — zawołał ją zajmujący środkowy tron mężczyzna w koronie.

Nosił strój przywodzący na myśl królewskie szaty z baśni czytanych przez dziewczynkę, lecz jego twarz była znajoma. Pamiętała, jak cierpliwie się pochylał nad kawałkiem tkaniny.

— Ojczy... Och, mój ojczy.

— Woliałaś poświęcić własne życie, niż przelać krew niewiniątka — oznajmił łagodnym głosem, który Ofelia pamiętała, gdy śpiewał jej do snu, zanim zapadł zmrok. — To było ostatnie zadanie i najważniejsze. — Spojrzał na żonę.

Królowa-matka wyglądała młodo i wydawał się taka szczęśliwa. Fruwały wokół niej wróżki... żyły wszystkie trzy! A zza tronu królowej wyszedł faun o ciele złotym

jak ściany komnaty. Rozłożył ramiona z serdecznym uśmiechem, a wróżki zaroily się wokół Ofelii, świergocząc z podniecenia.

— I dobrze wybrałaś, księżniczko! — krzyknął faun, tak nisko pochylając głowę, że rogami niemal dotknął podłogi.

— Chodź tutaj, moja córko! — przywołała ją królowa, wskazując na trzeci tron. — Usiądź obok nas. Zajmij należne ci miejsce. Twój ojciec tak długo na ciebie czekał.

W galeriach nad nimi ludzie zrywali się z miejsc. Wśród oklasków jednakże Ofelia wciąż słyszała łkanie Mercedes, podczas gdy krew umierającej w jej ramionach dziewczynki kapała do studni. Rozpoznała kołysankę, którą nuciła Mercedes.

I wtedy...

Ofelia się uśmiechnęła — och, tak leciutko. I od tej pory nie słyszała już niczego więcej.

A Mercedes pochyliła się nad martwą dziewczynką. Szlochała, szlochała i nie mogła przestać.

Epilog – Małe ślady

* * *

Gdy nasza opowieść się skończyła, lasy znowu po pewnym czasie opustoszały. Minęło kilka lat i mech oraz ziemia przejęły to, co pozostało z młyna.

Historia zapomniała o Vidalu, ale zapomniała też o Mercedes, Pedrze, doktorze Ferreiro i wszystkich bojownikach, którzy poświęcili własne szczęście, a czasami i życie w walce z faszyzmem. Hiszpania pozostawała pod reżimem Franco przez dziesięciolecia, a alianci zdradzili partyzantów, ponieważ nie uważali ich za użytecznych sojuszników przeciwko nowemu wrogowi, Związkowi Sowieckiemu.

Co do Ofelii, rano po jej śmierci na gałęzi starego drzewa figowego, które uwolniła od ropuchy, pojawił się mały blady kwiat. Wyrósł dokładnie w miejscu, w którym podczas wypełniania pierwszego zadania od fauna powiesiła swoje nowe ubrania, by je uchronić przed zniszczeniem. Płatki kwiatu były tak białe jak fartuszek, który uszyła jej matka, a w środku kwiatu pojawiło się żółte słońeczko pełne pyłku i życia.

Kilka lat później obok spalonego młyna i labiryntu przechodził pewien kłusownik. Nie mógł się oprzeć pokusie, przeszedł pod kamiennym łukiem i zagubił się w starych korytarzach. Zaczął się nawet martwić, że nigdy nie znajdzie drogi na zewnątrz. W końcu jednak labirynt doprowadził go z powrotem do łuku, a tam mężczyzna poczuł się tak bardzo zmęczony, że położył się pod drzewem figowym, które do tej pory było już w pełnym rozkwicie, obsypane kwiatami i liśćmi.

Kłusownik zasnął w łagodnym cieniu, we śnie zaś usłyszał opowieść o księżniczce zrodzonej przez księżyc, ale zakochanej w słońcu. Wrócił do swojej wioski i wszystkim, którzy chcieli słuchać, opowiedział, że stare drzewo wyszeptало mu historię i że kończy się ona w ten sposób:

Powiadają, że księżniczka Moanna powróciła do królestwa swego ojca i panowała tam przez wiele stuleci, okazując poddanym sprawiedliwość i dobre serce. Powiadają

też, że Moanna była kochana przez swój lud, a w czasie, który spędziła na ziemi, pozostawiła po sobie drobne ślady widoczne tylko dla tych, którzy wiedzą, gdzie ich szukać.

To prawda, zwykle niewielu jest takich, którzy wiedzą, gdzie szukać i jak słuchać. Lecz w przypadku najlepszych opowieści ci nieliczni z pewnością wystarczą.

Nota autorska

* * *

Wszyscy wiemy, że na podstawie powieści powstają filmy, które jakże często nas rozczarowują, ponieważ obrazy na ekranie nie mogą się równać z niezwykłymi wizerunkami, które w naszych umysłach wywołuje wydrukowana historia. A co się dzieje, jeśli pisarz otrzyma propozycję odwrócenia tego procesu i przekształcenia swojego ulubionego filmu w słowo pisane?

Plakat filmowy EL LABERINTO DEL FAUNO wisiał na ścianie mojego pisarskiego domu na długo przed tym, jak Guillermo del Toro poprosił mnie o przetworzenie swoich magicznych obrazów w słowa. Gdy po raz pierwszy oglądałam ten film, uznałam go za najdoskonalszy przykład tego, co potrafi ludzka fantazja. Labirynt fauna był bowiem potężnym dowodem na to, że fantazja może być zarówno poetycka, jak i polityczna, i że jest doskonałym narzędziem do uchwycenia fantastycznego aspektu naszej egzystencji.

Wyznaczone mi zadanie uznałam oczywiście za niemożliwe do wykonania! Pisarze zbyt dobrze wiedzą, jak niewystarczające mogą być słowa i o ileż więcej można przekazać jednym obrazem. Wszystkie te warstwy znaczeń, które staramy się wyrazić... Obrazy tak dobrze sobie z nimi radzą. I jeszcze ta niezwykła muzyka! Guillermo używa w swoich filmach muzyki z taką samą wirtuozerią jak kamery. Jak mogłabym sądzić, że znajdę słowa, które zastąpią zarówno obraz, jak i dźwięk?

Jest jednak w zadaniach niemożliwych coś, co sprawia, że nie potrafimy się im oprzeć. Wiemy, że jeśli nie spróbujemy, będziemy tego żałować przez resztę życia.

Nie napisałam opowieści filmowej na podstawie scenariusza. Obejrzałam film, sekundę po sekundzie, klatka po klatce. Poznałam jego konstrukcję, a śledząc wszystkie wątki, jeszcze bardziej podziwiałam autora. Stworzyłam sobie listę pytań i spotkałam się z Guillermem przy kolacji, próbując sprawdzić, czy poprawnie

odczytałam myśli jego bohaterów, gesty i spojrzenia jego aktorów, a także symbole (wciąż przechowuję szczypce kraba, którego zamówiliśmy jako danie główne).

Guillermo od początku jasno sugerował, że chce ode mnie czegoś więcej niż tylko spisania fabuły filmu. Z drugiej strony, nie chciałam zmieniać jednolitego rytmu jego dzieła, ponieważ uważam, że film został skomponowany z niezwykłą perfekcją. Zaproponowałam więc dodanie dziesięciu opowieści o kluczowych elementach filmu, a Guillermo nazwał je przerywnikami.

Reszta to magia.

Byłam zauroczona i natchniona, a z podróży po labiryncie genialnego gawędziarza wyniosłam niezliczone ilości skarbów w postaci kreatywności.

Och, nie, czekajcie. Może powinnam wspomnieć o jeszcze jednym fakcie. To pierwsza powieść, którą napisałam po angielsku. Rzeczy, które wynosimy z labiryntów...

Cornelia Funke

Przypisy

[1] Ojáncanu, Cuegle i Nuberu — postaci z wierzeń asturyjskich, kantabryjskich, galicyjskich i północnokastylijskich. (Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki).

[2] Mierda (hiszp.) — cholera.

[3] Hijo de puta (hiszp.) — sukinsyn.

[4] Pálido (hiszp.) — blady.